

Szkoła Pisania KMLU prezentuje

Kurs Pisania Powieści 2019/2020

Antologia tekstów



SZKOŁA
PISANIA
KMLU



KRAKÓW
MIASTO LITERATURY
UNESCO

3 Wstęp**6 Teksty wyróżnione**

- 7** Krystyna Czarnecka – *Czereśnie*
20 Krzysztof Gałaj – *Dzieje Stacha, czyli jak pokochałem bombę*
46 Barbara Woźniak – *Niejedno*

74 Pozostałe teksty

- 75** Łukasz Borowiecki – *Trzymając kota w pudełku*
95 Natalia Ciejka – *Podwójny krąg*
119 Kamila Jarońska – *Ruin and the change*
140 Bogusława Łuka – *Prosto żyć*
152 Michał Łukowicz – *Polot*
163 Suzanne Novaque – *Zemsta starych bogów*
184 Sylwia Zielińska – *Kolacja szczęśliwych par*

208 O autorach**211 Kurs Kreatywnego Pisania****Krakowa Miasta Literatury UNESCO**

Wstęp

„Historie są jak skamieliny znajdujące w ziemi, fragmenty nieodkrytego, dawnego świata. Praca pisarza polega na używaniu narzędzi, które posiada, do wydobycia tych szczątków na światło dzienne, w stanie możliwie nietkniętym” – radził początkującym autorom Stephen King w swojej książce *Jak pisać*. „W większości przypadków u podstaw złego pisania leży strach” – podkreślał.

Zadie Smith z kolei radzi, żeby nie wierzyć w romantyczne podejście do „wenty”. „Albo potrafisz układać piękne zdania albo nie. Nie istnieje coś takiego jak «styl życia pisarza» – liczy się wyłącznie to, co zostawisz na papierze” – pisała w brytyjskim „Guardianie”. „Staraj się czytać swoje teksty z punktu widzenia nieznanego człowieka, a najlepiej z perspektywy wroga” – zaznaczała.

Rad dla młodych pisarzy jest wiele. Każdy autor ma swoje sposoby i swoje podejście do tworzenia. Wszyscy jednak zgadzają się co do jednej kwestii – należy znaleźć swoje miejsce w literaturze. Takie, w którym młody pisarz będzie się czuł dobrze. Bo książka czy opowiadanie, do którego autor nie ma serca, nie przekona również czytelników.

Przez niemal pół roku dziesięciu uczestników Kursu Pisania Powieści poszukiwało właśnie tego miejsca. Uczyło się, jak przezwyciężyć strach przed pisaniem. Jak wydobyć swoje historie na światło dzienne i jak korzystać z narzędzi, o których pisał King. Wyniki tej pracy i tych poszukiwań przedstawiamy w kolejnej antologii, będącej podsumowaniem piątej edycji Szkoły Pisania Krakowa Miasta Literatury UNESCO.

Znajdą Państwo w niej m.in. fragment powieści **Barbary Woźniak**. *Niejedno* to historia Szymona Kowalskiego, pięćdziesięciodwuletniego nauczyciela akademickiego. U jego ojca zdiagnozowano alzheimera, chory nie radzi sobie z codziennymi sprawami, jest coraz mniej samodzielny. Szymon przenosi się więc z Krakowa do Tarnowa, swojego rodzinnego miasta, żeby zaopiekować się tatą. Powieść pokazuje zmagania bohatera z chorobą ojca i jego stopniowym znikaniem.

Niejedno znalazło się pośród trzech wyróżnionych tekstów.

„W trudnym życiu Szymona i jego ojca widać jak na dłoni naszą rzeczywistość – komunikację między ludźmi, złowrogie doświadczenia, lęki i kryzysy XXI wieku. *Niejedno* opowiada obrazami i na poważnie odwołuje się do emocji – w tym splocie jest ogromna siła. Tak samo jak w wątku choroby cywilizacyjnej, jaką jest samotność, a także motywach zamknięcia i powikłanych relacji rodzinnych” – piszą w rekomendacji Karolina Macios, Magdalena Zielińska i Filip Modrzejewski – redaktorzy zaangażowani w organizację kursu.

Z kolei **Krystyna Czarnecka**, także wyróżniona w antologii tekstów reporterskich wydanej po naszym Kursie Reportażu 2018/2019, zajęła się historią chłopca porzuconego przez matkę. Zatytułowała ją *Czereśnie*. „Pokazanie całego życia emocjonalnego w literackim mikroświecie złożonym z czereśni i dwóch domów przedzielonych płotem – od poczucia beztróskiego szczęścia i pełni, aż po dojrzwanie w cieniu zdrady, samotności i walki z samym sobą – wymaga naprawdę czułego spojrzenia” – tak o jej tekście piszą nasi jurorzy.

Sama autorka zapowiada, że *Czereśnie* to tylko część książki, w której każde z opo-

wiadań będzie dotyczyło straty i strategii jej osvajania.

Trzecim wyróżnionym tekstem jest fragment prozy **Krzysztofa Gałaja** – *Dzieje Stacha, czyli jak pokochałem bombę*. To część powieści, która zaczyna się od rozmowy głównego bohatera z przypadkową kobietą na lotnisku w Kopenhadze. Początkowo niepozorna wymiana zdań prowadzi do zwierzenia i wspomnień bohatera, które naznaczyły jego los.

„Ta opowieść to alternatywna historia współczesnej Polski. Rok panowania ultranacjonalistycznej partii Godni, która niespodziewanie wygrywa wybory i przypuszcza szturm na fundamenty demokracji. Wojtek, dwudziestoparolatek nieco sfrustrowany życiem, w wyniku nie do końca przypadkowego splotu okoliczności poznaje Stacha, iluzjonistę kierującego gangiem Kosmicznych Małp. Gang ten powstał w jednym celu: przeprowadzenia dywersji skierowanej przeciwko władzy Godnych” – tak o powieści pisze sam autor.

Nasi jurorzy docenili w niej lekkość, dowcip i wyobraźnię, a przede wszystkim niezwykły zmysł obserwacji. Niezbędny przecież u dobrego autora.

To tylko trzy z dziesięciu tekstów, jakie mogą Państwo przeczytać w antologii. Nie ma tu jednej formy, jednego gatunku. To zbiór oryginalnych i dopracowanych tekstów, który polecamy Państwa uwadze. Ta różnorodność powoduje, że każdy czytelnik znajdzie w książce coś dla siebie.

Taką przynajmniej mamy nadzieję.

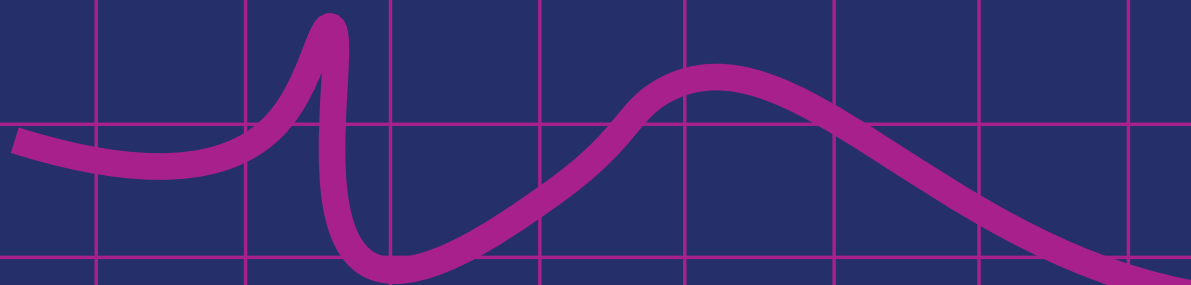
Oliwia Fryc
Koordynatorka Szkoły Pisania KMLU

Teksty wyróżnione

Krystyna Czarnecka – *Czereśnie*

Krzysztof Gałaj – *Dzieje Stacha, czyli jak pokochałem bombę*

Barbara Woźniak – *Niejedno*



Rekomendacja organizatorów kursu

Krystyna Czarnecka | *Czereśnie*

Czereśnie Krystyny Czarneckiej to przejmująca opowieść o zostawianiu za sobą świata i stracie, która nieodwracalnie naznacza człowieka. Pokazanie całego życia emocjonalnego w literackim mikroświecie złożonym z czereśni i dwóch domów przedzielonych płotem – od poczucia beztróskiego szczęścia i pełni, aż po dojrzewanie w cieniu zdrady, samotności i walki z samym sobą – wymaga naprawdę czułego spojrzenia. *Czereśnie* udowadniają, że ich autorka nie tylko potrafi patrzeć z czułością na swoich bohaterów, ale i przejmująco opisać proces schodzenia w głąb siebie, powrotu do najważniejszych wspomnień. Mikroświat w jej opowiadaniu staje się rajskim ogrodem naznaczonym piętnem wygnania, w którym zostały jedynie kontury ludzi, ich relacji i uczuć.

Krystyna Czarnecka została przez nas wyróżniona również w 2018 roku za tekst reporterski, co pokazuje, że nie jest związana wyłącznie z jednym gatunkiem ani stylem opowieści, a swoboda poruszania się po literackim świecie to wciąż cenna i rzadko spotykana cecha wśród ludzi pióra.

Czereśnie

Mówi się, że psy są podobne do właścicieli. Pekinczyk pani Kędzierskiej nie był. Miał długie, smutne uszy, brązowe oczy i krzywe zęby niemieszczące się w pysku. Do pani Kędzierskiej była podobna ogromna czereśnia, która rosła na końcu ogrodu. Kora, szorstka i spękana, wyglądała jak skóra na twarzy pani Kędzierskiej. Byłem przekonany, że drzewo i nasza sąsiadka mają przynajmniej tysiąc lat, chociaż ojciec śmiał się, że ludzie tyle nie żyją. Ani czereśnie. Chyba że drzewo jest dębem.

Nasze ogrody oddzielał wysoki płot. Przez dziurę w siatce bez trudu mógłbym dostać się do czereśni. Woląłem ścieżkę za domem pani Kędzierskiej. Lubiłem kamienne płyty, śliskie po deszczu, zamknięte po obu stronach gęstym szpalerem kwiatów, potem trzy kamienne stopnie, wreszcie szary żwir, który chrzęścił pod nogami i którego ubywało z każdym rokiem. Wierzyłem, że zabierają go planetnicy przed burzą, by grać w cymbergaja, a każde trafienie to błysk i grzmot. Ze względu na ścieżkę czekałem cierpliwie, aż pani Kędzierska zastuka do nas i powie: „Czereśnie dojrzewają, wkrótce przylecą szpaki”.

Ojciec śmiał się wtedy, że ptaki muszą przylatywać do pani Kędzierskiej, bo u nas nie ma jeszcze nic ciekawego, a matka się zgadzała, żebym od razu szedł do ogrodu.

O ile mimo lęku lubiłem planetników, o tyle nienawidziłem szpaków. Słowo „szpak” było najbrzydszym wyrazem, jaki znałem, było krótszą formą słowa „szpetny”, bo szpak był szpetny: natrętny, hałaśliwy i brudzący na białe. Maszerowałem za panią Kędzierską i Czarkiem, żeby rozwieszać na gałęziach pocięte na paski stare ubrania. Któregoś roku zrobiliśmy kukłę z pończoch wypchanych gałganami. Przymocowałem ją drutem do gałęzi w pasie i za rękę. Ale ptaki zjawiały się zawsze. Nie rozumiałem, dlaczego pani Kędzierska nie broni czereśni jak ludzie

z Zabrowarza, którzy pilnują sadów dzień i noc, hałasując drewnianymi kołatkami. Ale pani Kędzierska mówiła, że w końcu wystarczy czereśni i dla nas, i dla szpaków.

Czereśnie smakowały mi na początku, kiedy owoce zaczynały się robić jasnokremowe. Przy każdej wyprawie do ogrodu matka powtarzała, żebym jeszcze poczekał, że są niedojrzałe, że na pewno brzuch mnie od nich rozboli. Nie chciałem czekać. Wspinałem się po rozłożystych gałęziach, wierząc, że najwyższa z nich – choć nie mogłem dostrzec która, gdy zadzierałem głowę do góry – opiera się o niebo. Jeślibym zechciał, mógłbym tak iść po niej, nie zważając, że jest pewnie cienka tam wysoko i będzie drżała pod mną. Aż wreszcie oparłbym dłonie na krawędzi nieba i podciągnął się jeszcze wyżej. Zatrzymałem się jednak, gdy pani Kędzierska krzyczała z dołu, żebym wracał. Rozsiadałem się wtedy na konarach jak w fotelu i rwałem owoce obiema rękami. Rwałem i sprawdzałem, czy te z prawej smakują jak te z lewej, ile owoców mieści się w buzi albo czy da się ściągnąć zębami skórkę jak z jabłka.

Na początku miąższ był twardy i cierpki, a jego kawałki wypluwałem razem z pestką. W smaku czereśni czułem wtedy więcej deszczu niż słońca, ale za całą późniejszą słodycz wystarczała mi zimowa i wiosenna tęsknota za nimi. Potem skórki żółkły, aż wreszcie nabierały różowego rumieńca, który ciemniał z dnia na dzień. I wtedy na gałęziach znajdowałem te, które lubiłem najbardziej: ogromne i pęknięte, z ranami zabliznionymi przez słońce. Nigdy później lipiec nie był tak lepki i słodki. I nigdy nie pragnąłem więcej tej słodyczy niż wtedy, gdy czas owocobrania się kończył.

W połowie zbiorów dołączał do mnie ojciec. Uważał, że właśnie wtedy czereśnie są w sam raz. Siedzieliśmy wśród gałęzi, najpierw jedząc i celując pestkami w słońce, potem urządaliśmy zawody, który z nas prędzej napełni swoje wiaderko, w końcu tylko odbierałem owoce, gdy ojciec zrywał je na wysokiej drabinie. Wieczorem matka robiła kompoty. Siadała na stołku, ubrana tylko w stanik i spódnicę, z wielką miską przed sobą, mniejszą na kolanach i wiadrem czereśni przy nodze. Sok brudził jej palce, ramiona i dekolt. Lubiliśmy z ojcem patrzeć na nią, na jej

opaloną skórę, upstrzoną lśniącymi plamami, i smukłe palce, spod których strzelały pestki. Czasami dla żartu pstrykała nimi w nas. Śmiałyśmy się obaj, gdy trafiała i kiedy jej strzały były niecelne. Czułem wtedy męską więź z ojcem, ale najmocniej kibicowałem mu, gdy wykradał matce czereśnie prosto z dłoni.

Właściwie nie lubiłem robienia kompotów. Gdyby nie ojciec, nie zaglądałbym wtedy do kuchni. Kiedy go nie było, dryłownica w mojej głowie stawała się karą, pestki sercami, a intensywny zapach owoców zmieszany z wonią rozpuszczonego cukru – zapachem śmierci. W takich chwilach miałem wrażenie, że matka zna moje myśli. Pytała, gdzie jest synek. A ja biegłem do niej, nie zważając, że broni się przede mną, unosząc ręce do góry lub chowając je za plecami. Ale kiedy przed Bożym Narodzeniem matka otwierała pierwszy słoik i pozwalała mi zjeść zawartość bez rozcieńczania wodą, wybaczałem jej dryłownicę i pestki, i nawet wszystkie chwile, kiedy zabraniała mi wypraw na czereśnie.

Pewnego roku na nasze podwórko wjechała ciężarówka. Było to wtedy, gdy z czereśni ledwie spełzył zielony kolor. Przypadłem do okna i odskoczyłem natychmiast.

– Pójdę popatrzeć – powiedziałem, ale matka zagarnęła mnie ramieniem.

– Przecież widzisz.

Przycisnęła mnie do biodra i z powrotem pociągnęła ku oknu.

Z naczepy wysypywał się gruz: pustaki, spojone ze sobą cegły, fragmenty betonowych płyt, unosił się siwy, gęsty pył.

– No, pójdę – zaskomlałem.

– Zaraz pójdziesz. – Przytrzymała mnie.

Ciężarówka zdążyła odjechać, zostawiając głębokie koleiny, a do kuchni wbiegł ojciec. Złapał matkę wpół i powiedział:

– Będziesz miała podwórko jak angielska królowa.

– Wolałabym, żebyśmy ocieplili ściany – odparła, jakby rzeczywiście miała na głowie koronę, i do końca nie byłem pewny, czy

tylko udaje, czy rzeczywiście się dąsa, gdyby nie to, że chwyciła mnie za rękę.

W tym samym momencie musiała chyba mrugnąć do ojca, bo ten złapał za moją drugą rękę. Podnieśli mnie do góry i leciałem tak przez kuchnię, ganek, próg, na podwórko, piszcząc przy tym z uciechy i krzycząc: „Jeszcze, jeszcze!”.

Po południu ciężarówka przyjechała drugi raz. Potem poszliśmy z ojcem do garażu. Ojciec śmiał się, że trzeba raz a dobrze urządzić dla niego gabinet. Zrobiliśmy z desek solidne biurko z półką, a z grubych pni dwa fotele – prezesa dla niego i sekretarza dla mnie.

Na początku podobała mi się ta zabawa. Ojciec wracał z pracy, zjadał szybko obiad, a później śmiał się, że trzeba iść do biura i żebym nie zapomniał zabrać naszych długopisów: ciężkiego młotka dla niego i mniejszego, z trzonkiem pomalowanym na czerwono – dla mnie. Siadaliśmy na pieńkach i rozbijaliśmy gruz na mniejsze kawałki, a te na jeszcze mniejsze. Najczęściej wyobrażałem sobie, że jesteśmy poszukiwaczami, że w którejś cegle albo pustaku jest ukryty skarb, może perła, i że ją znajdę. A jeśli znajdzie ją ojciec, położy mi na dłoni i zaciśnie moje palce, tak jak to robił czasami, dając mi pięciozłotówkę. Wkrótce znudziły mi się te zabawy. Może dlatego, że gruzu nie ubywało. Miałem wrażenie, że piętury się przed nami, codziennie wyżej. A może dlatego, że czereśnie dojrzewały tamtej wiosny zupełnie jak pociąg, który nabiera rozpędu. Przestałem myśleć o skarbie i nie chciałem już żadnego podwórka. Wspinałem się na drzewo, nadymałem policzki i dmuchałem w niebo, żeby ostudzić słońce – żeby ojciec zdążył. Nabierałem powietrza i dmuchałem ku domowi, żeby rozbić dla ojca wszystkie kawałki gruzu. Żeby ojciec przyszedł do mnie. Kiedy wreszcie usiadł obok na gałęzi, przytuliłem twarz do jego ramienia, a on powiedział ze śmiechem:

– Nasmarkasz mi w rękaw i jeszcze spadniesz.

Wieczorem siedzieliśmy w kuchni, słuchając, jak w garnku ze słoikami bulgocze woda. Ojciec zapytał mnie wtedy jakby od niechcenia:

– Gdyby pani Kędzierska pozwoliła, zrobiłbym ci domek na czereśni. Chciałbyś?

Zerwałem się z krzesła i skakałem wokół jak małpa, którą ojciec pokazał mi kiedyś w zoo. Powtarzałem przy tym w kółko:

– Chcę, chcę! Pozwoli! Zrobisz? Zrobisz!

Ale tamtego roku ojciec nie zrobił dla mnie domku, nie zdążył także utwardzić podwórka. Matka odeszła jesienią. Pamiętam, jak biegła między kałużami, brudząc sobie błotem jasne pantofle.

Deszcz padał prawie do świąt. Wyobrażałem sobie, że mieszkam na czereśni, a wraz ze mną ludziki wielkości małego palca. Karmiłem je okruchami chleba i sernikiem pani Kędzierskiej. Niekiedy wyobrażałem sobie, że sadzam ludziki na grzbiecie Czarka, potrząsam srebrnymi lejcami i jedziemy tak, daleko, daleko. Ale najczęściej stałem z nosem przyklejonym do szyby i patrzyłem na ojca. Rozbijał cegły, z jego kurtki ściekała woda, a włosy oblepiały mu twarz. Uderzał raz za razem, jakby się spieszył, potem zwalniał i nieruchomiał, i znowu pędził tak, że poruszający się młotek był jak jedna drgająca kreska. Zanosłem ojcu gorącą herbatę. Mówił tylko, że wypije i zaraz do mnie przyjdzie, ale nie pił i nie wracał. Kubek napełniał się deszczówką i herbata się przelewała, aż wychodziłem, by zanieść świeżą, a zabrać tamtą, słomkową i zimną. Niosłem ją do domu, bojąc się uронić choćby kroplę. Wierzyłem, że jeśli się nie rozleje, wezmę na siebie przygarbienie ojca. Że za dziesięć niewypitych kubków, sto, tysiąc, ojciec uśmiechnie się do mnie i znowu będzie jak dawniej.

Czasami przy ojcu siadała pani Kędzierska i wówczas przerywał na chwilę. Potem pani Kędzierska przychodziła do mnie. Wycierała Czarkowi łapy i otrząsała z wody długi foliowy płaszcz, mrużąc coś do siebie. Później sprawdzała moje zeszyty i pilnowała, abym przygotował się do szkoły. Na końcu nastawiała budzik i prosiła, żebym nie zapomniał się umyć i pójść wcześniej spać.

Nadeszła zima. Białe kontury obrysowały drzewa i gruz. W świetle latarni i reflektora nad gankiem kruszec skrzył się i mienił.

Osiadał na włosach i brodzie ojca, a młotek rozbijał wszystko w drobiny. Wszędzie było słycać uderzenia. Dudniło w każdym zakątku domu. Łomotało nawet, gdy naciągałem kołdrę na głowę i zatykałem palcami uszy, aż nie byłem już pewien, czy to młotek tak tłucze, czy tak głośno bije moje serce. Wreszcie któregoś dnia wybiegłem do ojca. Przywarłem do ojcowskich pleców, rękoma złapałem go za szyję i pociągnąłem do tyłu. Poczulem opór, szarpałem jeszcze raz, a potem targałem ojcem w prawo i w lewo. Szarpałem tak, jakbym potrząsał gałęzią drzewa ciężką od dojrzałych owoców. Ojciec nie bronił się i tylko kołysał się wraz ze mną. Puściłem go. Kiedy się opierał, chciałem, żeby mi uległ, lecz gdy poczułem jego bezwład, pragnąłem, żeby walczył. Nie powiedział ani słowa, nawet się nie odwrócił. Rzuciłem się biegiem do domu. Marzyłem, żeby dom był daleko, dalej niż czereśnia, niż Zabrowarz, tak daleko, żeby go wcale nie było.

Później zwróciłem ojcu zabawki, które od niego dostałem. Zanim wrócił z pracy, porozstawiałem na gruzie modele samolotów, zdalnie sterowane samochody na baterie, klocki i puzzle, taczki i łopatkę do piasku, których od dawna nie używałem, drobiazgi z jajek niespodzianek, gry planszowe, książki, plastikowe pistolety i kuleczki do nich, a na końcu położyłem ojcu na jego biurku-niebiurku ulubionego action mana w pomarańczowych spodniach i kurtce moro, którego dał mi na urodziny.

Zgarnąłem śnieg gołymi dłońmi, żeby zabawki w nim nie tonęły. Czulem ból w każdym palcu. Mówiłem sobie, że wytrzymam. Nie potrzebuję chuchać na zziębniętą skórę, nie potrzebuję kieszeni w kurtce ani rękawiczek, które dyndały z jej rękawów złączone sznurkiem. Ocierałem tylko mankietem oczy i krople, które zbierały się na czubku mojego nosa. Ledwo wróciłem do domu, pani Kędziarska przyniosła mi obiad. Czulem ulgę, bo o nic nie spytała, nawet o to, dlaczego nie jem. Gdy wyszła, ukryłem się w pokoju. Właściwie nie przed ojcem. Czekałem, aż zatrą się kontury mebli, zniknie okno, aż będę siedział w ciemności. Zupełnie sam.

Ojciec otworzył drzwi i światło z przedpokoju zakłuło mnie w oczy.

- Zabawki się zniszczą od wilgoci – zaczął.
- Już ich nie potrzebuję – odparłem.
- Wyrosłeś?
- Wyrosłem.
- Pozbieraj i daj komuś – powiedział sucho.

Podniosłem głos:

- Sam pozbieraj.
- Pozbieram. Będziesz żałował.
- Nie będę.

Zbliżył się do mnie i usiadł na łóżku.

- Daj mi trochę czasu – powiedział. – Muszę zrobić ten podjazd.
- Nie chcę.

Uderzyłem go pięścią w ramię, a potem drugi raz. Chwycił mnie za nadgarstek i wysyczał mi prosto w twarz:

- Co ty robisz?

Poczułem zapach alkoholu.

- Nie chcę! Nie chcę! – wykrzyczałem.

Zacisnęła mocniej palce, aż skrzywiłem się z bólu.

- Puszczaj. – Szarpnąłem się.
- Powiedziałem ci: potrzebuję czasu. Ty masz się uczyć.

Poluzował uścisk. Natychmiast oswobodziłem rękę i umknąłem pod ścianę.

- Pamiętasz? Byliśmy kiedyś kumplami – powiedział. – Prawda?

Przytaknąłem.

- Chyba jesteśmy nimi dalej, co? Daj łapę na zgodę – kontynuował – nie bocz się na mnie, synu. No, jak będzie?

Przysunąłem się do niego, a on mnie objął. Siedzieliśmy w półmroku, milcząc. Wyobrażałem sobie, że unosimy się wraz z łóżkiem i lecimy nad naszym miasteczkiem. Wokół nas krążą zabawki, te, które rozrzuciłem na podwórku, i te, których tam nie zaniósłem, o których marzyłem, i nawet te, o których nie wiedziałem, że będę ich kiedykolwiek pragnął. Nie chciałem żadnej z tych zabawek ani złapać, ani nawet dotknąć. Opierałem dłonie o kolana ojca, a policzek przyciskałem mocno do jego piersi.

Między mną a ojcem poprawiło się od tamtej pory i coraz rzadziej podglądałem go przy gruzie. Właściwie kiedy patrzyłem na podwórko, nie dostrzegałem już ojca, lecz tylko pustaki i cegły. Dziwiłem się, bo nie zauważyłem nawet, kiedy góra gruzu skurczyła się, a obok niej wyrosła druga, z drobnego tłucznia, który z daleka można by wziąć za piasek, gdyby nie kolor. A może dlatego przestałem widzieć ojca, że każdą wolną chwilę pochłaniały mi wtedy książki i komiksy, które kupował dla mnie raz w tygodniu.

Czereśnia znowu zakwitła, potem na krótko wróciła do ogrodu zima, pachnąca słodko, pełna tęsknoty za innymi wiadomościami pod drzewem, zaszyfrowanymi w pestkach, nadanymi alfabetem Morse'a.

Któregoś dnia, o zmierzchu, lekturę jakiejś książki przerwało mi dwóch kolegów z sąsiedztwa. Wywołali mnie na zewnątrz, żebym sprawdził, czy z moim ojcem wszystko w porządku. Skuliłem się w sobie i kurczyłem coraz bardziej, im byłem bliżej niego. Leżał przy gruzie, z szeroko rozłożonymi nogami, z rękoma zaplecionymi na głowie i policzkiem przyciśniętym do ziemi. Złapałem go za rękę, pociągnąłem kilka razy. Podniósł głowę, spojrzął na mnie półprzytomny i wymamrotał, żebym dał mu spokój. Dopiero wtedy zauważyłem, że leżał w plamie moczu. Wyprostowałem się. Popatrzyłem na ojca tak, jakby dzieliła nas szyba z grubego szkła. Potem popatrzyłem na podwórko, na gruz i na dom. Wszystko było jak za szybą.

– To nie jest mój ojciec – powiedziałem do kolegów. Zostawiłem ich zaskoczonych i sam odszedłem zaskoczony, że nikt nie zaprzeczał ani nie próbował mnie zatrzymać.

Nie znalazłem walizki. Zresztą zrezygnowałem z szukania jej po przejrzeniu szafy w przedpokoju. Pakowałem się w reklamówki, naprędce i byle jak, pakowałem to, co wpadło mi w ręce, tyle, że ledwo mogłem unieść. A potem pobiegłem.

Gubiłem torby na ścieżce i wracałem po nie, odnajdywałem w mroku i biegłem dalej, w końcu je rzuciłem i po omacku wspiąłem się na czereśnię. Zaciskałem kurczowo palce na gałęziach, potem sunąłem rękami po liściach, nie zwalniając uścisku, aż zostawały mi w dłoniach razem z zawiązkami owoców. I przypomniałem sobie, że któregoś roku najbardziej na świecie pragnąłem zobaczyć, jak rosną czereśnie. Chciałem przyłapać je w tym momencie, gdy pęcznią komórki, dzielą się i owoce się powiększają. Ale matka mówiła, że czereśnie muszą rosnąć w nocy, jak dzieci, kiedy nikt nie widzi. Że może gdybym był muszką czereśniówką i usiadł na owocu, poczułbym, jak się powiększa świat pod moimi nóżkami, ale prawdopodobnie niczego bym nie zobaczył.

Zagarnąłem gałązki nad głową i przyciągnąłem do twarzy. Może gdybym był muszką, nie zobaczyłbym, jak rosną owoce, ale może widziałbym coś innego, czego już zobaczyć nie mogę. Ukryłem twarz w liściach. Wciskałem je w oczy i w usta, by ucichnąć, lecz łąkałem i szlochałem jak nigdy w życiu.

W pokoju gościnnym u pani Kędzierskiej przez cały dzień panował półmrok z powodu bzu, który zasłaniał okno. Pani Kędzierska usadziła mnie z ojcem przy stole nakrytym ażurowym obrusem, ze zdjęciem pana Kędzierskiego w ramce stojącym na środku. Dla mnie przyniosła gorące mleko, które dostawałem od kilku dni zawsze przed snem, dla ojca herbatę z cytryną.

– Dostyc tych wygłupów – powiedział. – Jutro masz wrócić do domu.

– Nie wrócę – odparłem.

– Przeprosiłem cię.

– Nie wrócę – powtórzyłem twardo.

Czekałem, że chwyci mnie, uniesie do góry i jak tobolek wciśnie

pod swoją pachę. A ja będę się opierał, będę kopał nogami powietrze i młócił rękoma przed sobą. Spuścił tylko głowę.

– Kiedyś wierzyłem, że jesteś królem. Ale ty nie jesteś – powiedziałem. – Nie wrócę.

– To się zmieni.

– Nie kłam! Nic się już nie zmieni! – krzyknąłem i uciekłem od stołu, a późnym wieczorem, kiedy pani Kędzierska spała, wymknąłem się z domu, zakradłem na nasze podwórko i kawałkiem cegłówki rozwaliłem reflektor nad wejściem.

Czereśnie dojrzewały. Każdą wolną chwilę, kiedy nie odrabiałem lekcji, nie pomagałem pani Kędzierskiej przy koszeniu trawy albo przy rabatkach, spędzałem na drzewie. Wyobrażałem sobie, że żyję już nie tysiąc, lecz dwa, trzy tysiące lat. Że widzę wszystkie świeżo posadzone w ogrodzie drzewka z palikami, by rosły prosto, pierwsze kwiaty i pierwsze maleńkie owoce, które strąca wiatr. Że widzę wszystkie wiosny pobielone wapnem i jesienie zamalowywane liśćmi. Chłodne spizarki z bladym światłem. Półki ze słoikami, na słoikach śmieszne etykiety na papierze w kratkę podpisane krzywo flamastrem. Wyobrażałem sobie to wszystko i tęskniłem, nie wiedząc nawet za czym. Byłem oblepiony tęsknotą i ulepiony z tęsknoty. Gdyby nie ona, być może nie poszedłbym wtedy za ojcem, gdy obudził mnie wcześniej rano, mówiąc: „Jesteś mi potrzebny”.

Gdyby nie ta tęsknota, nie wtuliłbym wtedy twarzy w jego szyję, pachnącą jeszcze snem, nie dał głaskać się po głowie, nie pozwoliłbym, by ojciec czekał, aż powoli się ubiorę, ale zapytałbym, do czego mnie potrzebuje. A może nie zapytałbym. Sam nie wiem.

Z gruzu, który przywiozły ciężarówki, nie został ani jeden duży kawałek. Ojciec wręczył mi gruby pęk związanych worków, rozciął sznurek i wyjął pierwszy, niebieski i sztywny. Pokazał, jak mam trzymać, by mógł ładować łopatą tłuczeń do środka. Cały dzień jeździliśmy osobówką na wysypisko. Nie poszedłem do szkoły następnego dnia ani w następnym tygodniu. Wydawało mi się czasem, że pani Kędzierska patrzy na nas zza firanki, ale równie dobrze mógł być to przeciąg. Czerwiec był chłodny i wietrz-

ny. Raz tylko pani Kędzierska przyszła do nas i powiedziała, że wkrótce nie będzie czereśni. Łzy stanęły mi wtedy w oczach, ale ojciec ujął mnie pod brodę i popatrzył tak, że natychmiast obeschły. Poklepał mnie po ramieniu i zarzucił worek na plecy, a ja poszedłem za nim, by pomagać, kiedy będzie go wkładał do samochodu.

Wreszcie wywieźliśmy ostatni.

Robiłem kanapki, kiedy ojciec wszedł do kuchni, wykradł mi z ręki kromkę właśnie posmarowaną masłem i powiedział:

– To co, idziemy na czereśnie?

Zdążyliśmy w ostatniej chwili. Na gałęziach było sporo popękanych.

O powieści

Czereśnie pochodzą z tomu *Ściegi*. Zbiór ten zawiera z pozoru różne utwory: od realistycznego *Salonu sukien* po groteskową *Bułę*. Bohaterowie opowiadań wydają się zestawieni przypadkowo: chłopiec pozostawiony przez matkę (*Czereśnie*), młoda kobieta, której obsesją są seks i zbieranie masek (*Piwnica na Wieczystej*), sprzedawca podróbek markowych garnków (*Poezja obwoźna*) czy wdowa, która spłaca długi po mężu (*Salon sukien*). Tytułowy ścieg łączy wszystkie opowiadania, poświęcone stracie i strategiom jej oswajania.



Rekomendacja organizatorów kursu

Krzysztof Gałaj | *Dzieje Stacha, czyli jak pokochałem bombę*

Dzieje Stacha, czyli jak pokochałem bombę to popis zręczności narracyjnej i błyskotliwe aluzje do aktualnej sytuacji politycznej. Krzysztof Gałaj jest czujnym pisarzem, który z symboli i gestów komponuje nieszablonowe obserwacje, przemyca niemal mimochodem celne charakterystyki relacji międzyludzkich. Być może ułatwia mu to formalne wykształcenie – ukończył przecież studia psychologiczne. W jego powieści jest i lekkość, i dowcip, wyobraźnia, ale przede wszystkim sprawny warsztat pokazujący możliwości literackie autora.

Dzieje Stacha, czyli jak pokochałem bombę

FRAGMENT

(...)

Oczywiście moją pierwszą reakcją było pytanie, czy żartuje. Stach minę miał jednak śmiertelnie poważną.

– Ale że *blackout*?

– A dlaczego nie? Idealne ukoronowanie wszystkiego, co zrobiliśmy.

Wtedy zszedł z bujanego fotela, wziął do ręki paintballowy marker i zaczął mierzyć do gęby Turbicza, a ja nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że czegoś tu nie rozumiem. Wszyscy nienawidziliśmy rządu, a w szczególności ministra spraw wewnętrznych Jerzego Turbicza, i każdy z nas miał mniejszy lub większy powód, by mu dokopać, ale prawdę mówiąc, mnie chodziło głównie o pieniądze. Innym na dziewięćdziesiąt procent też. Poza tym to miała być zabawa. To prawda, że jej celem był dywersyjny sabotaż, ale czym innym jest odcinanie prądu w placówkach Poczty Polskiej, a czym innym w całej Warszawie. To już brzmiało jak pełnoetatowy terroryzm, bardzo dobrze płatny, nie będę ukrywał.

– Powiesz mi w końcu, dlaczego to robisz?

Stał odwrócony plecami i celował w ministra. W końcu nacisnął spust.

– Turbicz to mój ojciec.

W tym miejscu musimy przerwać opowieść Wojtka, ponieważ poleganie na szczątkowych wyjaśnieniach, którymi Stach uzupełnił tę co najmniej frapującą rewelację, byłoby marnotrawstwem dobrej historii. Poza tym nadszedł czas, by zdjąć z tego iluzjonisty woal tajemnicy i ostatecznie wyjaśnić, o co temu wariatowi naprawdę chodziło. Oznacza to tyle, że wyruszymy w podróż w czasie. Oczywiście moglibyśmy pójść na łatwiznę i cofnąć się jedynie do dnia, w którym Stach zdemolował duży pokój w domu swej babki na wsi, a następnie powiedzieć, że wszystkiemu winny jest pewien kompleks, ale...

Po pierwsze: nie lubimy uproszczeń.

Po drugie: nazwa tego kompleksu kała imię mitycznego króla.

Po trzecie: wymyślił go ktoś, kto sarkastycznie twierdził, że czasami cygaro jest tylko cygarem, a sam kopał ich tak dużo, że nie sposób uniknąć podejrzeń o niewiarygodność autora.

Najlepiej będzie, jak wrócimy do początku.

Z wczesnego dzieciństwa, które bądź co bądź za sprawą jego matki, Anny Turbicz, należało do szczęśliwych, Staś ma jedno wyraźne wspomnienie.

Jest w mieszkaniu na Muranowie. Idzie pogrążonym w mroku korytarzem. Z kuchni na końcu wylewa się luna światła. Stamtąd też dobiegają go podniesione głosy. Gdy się zbliża, głosy cichną, choć nikt go jeszcze nie widzi. Nagle ciszę przebija trzask. Jeden, drugi, trzeci, jak zeszyt uderzający płasko o podłogę. Mały Staś przyspiesza i wyłania się zza szafki kuchennej, by zobaczyć własnych rodziców stojących naprzeciw siebie. Mama płacze ze spuszczoną głową, jej twarz skrywają loki, a tata opiera się o blat kuchenny, oczy mu płoną i oddycha ciężko.

To wspomnienie będzie do Stasia wracać przez całe życie, choć nigdy się nie dowie całej prawdy o tym, co wydarzyło się w kuchni w ich pierwszym mieszkaniu na Muranowie.

Jego rodzice poznali się na Uniwersytecie Warszawskim w 1989 roku tuż przed obradami Okrągłego Stołu i zaraz po przejściu Urana do znaku Koziorożca. On latał z bibułą i pluł na flagę radziecką, ona słuchała Maanamu i marzyła o podróży na Zachód. Koniec końców nigdzie nie wyjechała. Obrady Okrągłego Stołu zwiastowały lepszą przyszłość, a jemu karierę polityczną. Pobrali się tuż po czerwcowych wyborach.

Jerzy Turbicz bardzo szybko określił ich pozycje w małżeństwie. Zaraz po nocy poślubnej zamknął Annę w mieszkaniu i kazał czekać, aż wróci, a sam poszedł na spotkanie NZS-u, by omówić z kumplami lansowany przez Adama Michnika pomysł podziału władzy.

Mijały miesiące, a Anna Turbicz pozbywała się złudzeń: wyszła za buca. Tuż przed pierwszą wigilią z nowym nazwiskiem w dowodzie, gdy obrady sejmu zdominował plan Balcerowicza, przechadzała się między półkami Empiku, wówczas Klubu Międzynarodowej Prasy i Książki, w poszukiwaniu płyty *Sie ściemnia*, a zza rogu wyłonił się Marek, kolega ze studiów. Rozmawiali krótko. Marek powiedział, że wybiera się do Stanów i pieprzy tę całą politykę. Dla Anny to było wszystko, co należało powiedzieć, by dała zaprosić się na herbatę. Nie będziemy opisywać, co działo się dalej. Wystarczy powiedzieć, że herbaty nie było, a w wersalce Marka pękła sprężyna.

Pech chciał, że Marek mieszkał z Mirkiem, a Mirek znał Józka, który z kolei razem z Jerzym Turbiczem siedział w areszcie za reakcyjne transparenty na pochodzie pierwszomajowym w 1987 roku. Rogacz jednak nie przyznał otwarcie, że wie o zdradzie, ponieważ czuł, że żona, niczym ptaszek w klatce, próbuje mu się wymknąć, więc zareagował jak rasowy strateg. Zapłodnił żonę w noc sylwestrową i wynajął knypka z osiedla, by śledził Annę. Dziewięć miesięcy później pojawił się Staś. Mimo to Jerzy Turbicz nigdy nie miał pewności, że to właśnie jego plemnik przebił błonę komórki jajowej. Ze swych wątpliwości zwierzył się żonie w ów wieczór, który mały Staś zapamiętał na całe życie.

Okres dojrzewania upłynął Stachowi na szybkim osiągnięciu samodzielności, kiedy więc zaczął regularnie golić wąs, ojciec był dla niego całkowicie zbędny. Był duchem, który nocą przewraca stojak na kurtki. Za dnia niewidoczny, chyba że w telewizji na nagraniu z obrad sejmowych. Inaczej było z matką. Z nią Staś budował bazy z koców, do których ojciec nie miał wstępu. W takiej bazie zaprezentował swój pierwszy pokaz magiczny, na który złożyły się dwie sztuczki podsunięte mu przez dziadka. Pierwsza z nich to klasyka: widz wybiera kartę, wsuwa ją z powrotem do talii, a iluzjonista jakimś cudem ją znajduje. Druga wymagała już więcej skupienia i zaczynała się od słów:

– Podaj mi jedną liczbę od jednego do dziesięciu.

Iluzja dała mu przewagę nad rówieśnikami. Przekonał się o tym, gdy na długiej przerwie w szkolnej toalecie zorganizował pokaz, dzięki któremu zebrał szesnaście złotych, złotówkę od łebka. Za zarobione pieniądze kupił na Stadionie Dziesięciolecia książkę na temat sekretów sztuczek karcianych słynnego iluzjonisty Dniego Vernona.

Stach szybko opanowywał kolejne rutyny magiczne, wobec czego pokazy w toalecie zaczęły odbywać się cyklicznie, ale to działalność na ulicy przynosiła mu najwięcej frajdy i pieniędzy. Za pokaz sztuczki karcianej potrafił na przykład namówić starszych kolegów, by kupili mu „Playboya”, którego potem odsprzedawał młodszym. A w okolicach piętnastych urodzin poznał Kassadiego, który – jak wiemy – nauczył go sztuki kradzieży i na wiele lat stał się jego mentorem. Wspomnienie ich pierwszej jazdy skradzionym autem – było to Audi allroad Jerzego Turbicza – pozostanie jednym z piękniejszych wspomnień z okresu nastoletniego.

Kiedys po jabolu wrócił do domu i zastał matkę z rozmazanym makijażem nad butelką wina. Zbiegło się to w czasie z pierwszą poważną fuchą w administracji rządowej Jerzego Turbicza. Konserwatywna partia Godni, do której należał, właśnie wygrała wybory i gdy doszło do rozdawania stołków, otrzymał posadę szefa Biura Bezpieczeństwa Narodowego.

Mieszkali już wówczas w domu jednorodzinnym na Saskiej Kępie przy Brukselskiej. Matka siedziała przy stole kuchennym i płakała nad zmarnowanym życiem. Stach słuchał jej w milczeniu. Opowiedziała mu o swoich młodzieńczych planach wyjazdu na Zachód, o tatuażu, którego nigdy sobie nie zrobiła, i o burzy loków po trwałej, które dawno temu zamieniła na proste włosy do szyi. Pomięła tylko jeden fakt, który ściśle wiązał się z kartką schowaną szybko do kieszeni. Była to kartka od Marka, kolegi ze studiów i dawnego kochanka. Przyleciała do niej ze Stanów razem ze zdjęciem mężczyzny na wózku. Tym mężczyzną był nie kto inny jak Marek, który chciał się przyznać, jaką cenę zapłacił za niezaparzoną herbatę sprzed lat.

Wspomniała za to, że dawno temu Jerzy Turbicz zagroził, że zabierze jej syna, jeśli postanowi odejść. Więcej. Zrobi wszystko, by ją zniszczyć.

- Po prostu nie mogłam cię stracić, a on miał wpływy.
- Mogłaś mnie ukraść i wyjechać na drugi koniec świata.
- Znalazłby nas. Twój ojciec to bardzo mściwy i zaciekły człowiek.
- Wiesz co, mamo?

Stach wstał od stołu, obszedł krzesło, na którym siedziała, i objął ją ręką.

- Któregoś dnia to ja cię wykradnę i zorganizuje wszystko tak, że ojciec nas nigdy nie znajdzie, a ty będziesz mogła robić, co ci się tylko podoba.

I nagle znikąd pojawił się przed nią tulipan.

Od tej pory część zarobionych przez niego pieniędzy lądowała we wnętrzu wielkiego pluszowego szympansa. Matka z kolei kupiła nowy wazon. A tulipany, które syn przez te lata wyciągnął przed nią z rękawa, wypełniłyby ogród Keukenhof w Holandii.

Dwa lata później Jerzy Turbicz osiwił. Partia Godni straciła zaufanie obywateli i konstytucyjną większość w sejmie. Highlightem ich rządów pozostanie próba prywatyzacji taboru

kolejowego, w której wyniku baron klubowego świątka, niejaki Stefan Zapała, miał stworzyć sieć burdeli na kółkach.

Dla Stacha był to rok matury. Przeżywał wówczas okres punkowego buntu i cytował myśli przewodniczącego Mao z małej czerwonej książeczki. We współpracy z braćmi Wachowicz nagrał nawet płytę o tym samym tytule, do której dołożył wokale i teksty napisane w języku chińskim. Album co prawda nie znalazł odbiorców, ale prawdopodobnie był jednym z najoryginalniejszych conceptów muzycznych w historii polskiej muzyki rockowej.

Zbliżała się gwiazdka. Stach leżał na łóżku i słuchał Analogsów. Wtedy z dołu dobiegł dziwny dźwięk. Wiedziony instynktem, młody iluzjonista zbiegł po schodach i wpadł do kuchni. Matka siedziała w kącie z opuszczoną głową i płakała, a ojciec nad nią dyszał.

– Wracaj na górę, to nie twoja sprawa.

– Mamo? Mamo, podnieś głowę.

Na jej prawym policzku odbił się czerwony ślad w kształcie dłoni. Stach chwycił patelnię i zamachnął się na ojca. Żeliwo za kilkanaście złotych uderzyło o czaszkę. Ojciec zachwiał się i osunął na kolana. Na podłogę kapnęło kilka kropel krwi.

Matka krzyknęła i spróbowała się zbliżyć.

– Ty mały chuju. Ty bękaracie pieprzony. – Jerzy Turbicz kręcił głową i charczał. Strużki krwi spływały mu z czoła.

Nagle rzucił się na Stacha, zwalając go z nóg. Walka przeniosła się do parteru. Mężczyźni tarzali się po podłodze. Matka wzywała Boga. Krew zaczęła lecieć w końcu także z nosa jej syna i po chwili kafelki przypominały dzieło sztuki współczesnej. Gdy ojciec zaciskał ręce na jego szyi, jakimś cudem udało się Stachowi podkurczyć nogę pod leżącym na nim ciałem i kopniakiem je zrzucić. Wstał szybko i poprawił jeszcze jednym. Tym razem w udo. Walka była skończona. Turbicz jeszcze długo nie mógł się podnieść, ale jego syna już dawno nie było. Tamtego dnia wyprowadził się z domu i zamieszkał u babci, przysięgając sobie, że kiedyś zarobi górę pieniędzy i zabierze matkę na drugi koniec świata.

Stach posiadał dwie umiejętności, które pozwalały mu pracować wszędzie. Znał języki i posługiwał się magicznymi kartami. Po maturze wylądował więc w Pekinie, gdzie dzięki staraniom Doroty Zelmer, zaczął uczyć języka angielskiego w szkole podstawowej. O Dorocie Zelmer można opowiedzieć osobną historię, ale w tej chwili musimy wiedzieć tylko tyle, że była poliglotką i nauczyła Stacha dwóch języków: angielskiego i chińskiego. Dzięki niej poznał także język miłości.

Plan „Azja” jednak nie wypalił: Chińczycy okazali się nad wyraz irytującymi fanami nowinek technologicznych, a Laotańczycy wyjątkowo surowo karali zachodnich turystów z metamfetaminą w majtkach. Pierwszy powód wiązał się bezpośrednio z chorobliwą troską młodego iluzjonisty o prywatność. Stach gotował się ze złości, gdy grupka skośnookich, rozchichotanych dziewcząt obskakiwała go, jakby przyleciał z innej galaktyki. Bardzo szybko znienawidził Państwo Środka, więc na wakacje wybrał się do Laosu. Wjechał tam niczym bohater filmów Sergia Leone, dziarsko, z workiem pełnym dolarów, a wyjechał z podkulonym ogonem w trybie „deportacja”. Ale tę historię już znamy, więc ją pominiemy.

Po stracie wszystkich oszczędności – ledwo ich starczyło na łapówki dla laotańskich mundurowych – Stach wrócił do domu na Saskiej Kępie i tymczasowo zawarł rozejm z ojcem. Ten zresztą i tak całymi dniami siedział w partyjnych biurach i razem z najściślejszym kierownictwem knuł plan przejęcia władzy. Już wtedy partia Godni skręcała coraz bardziej w stronę faszyzmu, a pozycja Jerzego Turbicza rosła, gdyż skutecznie podrzucał miny pod nogi posłów ekipy rządzącej. Pozwalały mu na to znajomości w służbach specjalnych. To z jego inspiracji media obiegnęły nagłówek:

Posel z Kalisza lubi się zaciągać. Całe studia przebumelował na haju!

Albo hit września 2011 roku:

«Włodku, zawiózłbyś mi dzieciaka do szkoły», czyli o tym, jak marszałek sejmu korzysta z BOR-u.

Poczucie porażki skłoniło Stacha do spróbowania tradycyjnej

drogi rozwoju. Zapisał się na studia dziennikarskie z myślą, że napisze jakiś ponury reportaż o małych cesarzach z Chin, jak zwykle się nazywało najmłodsze pokolenie Chińczyków, którzy w wyniku polityki 4-2-1 najczęściej byli jedynakami, a więc życie rodzinne skupiało się wokół nich. Szybko stało się jasne, że ta droga rozwoju jednak nie jest mu pisana.

Nadejście roku akademickiego otworzyło okres, który w późniejszych latach przez Sarę będzie wspominały pod tagiem „corrida”. Wszystkich zamieszanych porwał jakiś przedziwny szal, jakby roczniki wolności wpadły w sidła układów ciał niebieskich, które natchniony astrolog opisałby jako kłopotliwą koniunkcję Urana do Saturna, zwiastującą otwarty bunt wobec istniejącego porządku. Za uwerturę tej smutnej jesieni można uznać noc, w której Stach poznał Młodego i zyskał dostęp do wybornej kokainy w skandalicznie niskiej cenie. Już wiemy, jak to się skończyło: dwa dni po Bożym Narodzeniu Jagienka zatrzała się spalinami w garażu, ciągnąc kreski w toyocie RAV4 w towarzystwie Britney Spears. Tylko dzięki kontaktom ojca i walizce pełnej władków Stach nie musiał tłumaczyć przed sądem, dlaczego Jagienka wysłała mu wiadomości typu:

„Potrzebuję 2 g. Pomożesz?”.

Po załatwieniu sprawy ojciec kazał mu się wynieść z domu. Następnego dnia Stach to właśnie zrobił, zostawiając jedynie kartkę na łóżku matki z prośbą, by pamiętała, co jej kiedyś obiecał.

Nie musimy wyjaśniać, że to, co się wydarzyło, było ciosem podwójnie bolesnym. Następny rok Stach spędził więc z babcią w domu na wsi, gdzie odnajdywał spokój w szlifowaniu magicznych zdolności. Gdy jego nowy repertuar był gotowy, ruszył w samotne *tournee* po Europie, a im dalej na Zachód się zapuszczał, tym bardziej tęsknił do czasów, gdy nagrywał *Małą Czerwoną Książeczkę* i pruł po ulicach Warszawy kradzionymi autami. Najbardziej irytowała go z pozoru błaha rzecz: smartfony. Ich upowszechnienie sprawiło, że stale był nagrywany albo proszony do zdjęcia. Czy rozkładał stolik na La Rambli, pod Koloseum czy na Trafalgar Square, czy zabawiał gości kasyna w Monaco, czy czarował turystów na pokładzie francuskiego cruisera, czuł jakby

oko Wielkiego Brata, przez które przecież lubił zaglądać jego ojciec, nieustannie go śledziło. Gdyby mógł, usunąłby wszystkie kamery z tego świata. To zresztą naturalne w jego wypadku, bo nie ma co ukrywać, że pracował w szarej strefie, a wszystkie wypłaty pobierał w gotówce, którą dwa razy do roku zabierał do Polski i zakopywał na wsi za starą szopą. Myśl, że miałby się gdzieś rejestrować, oddawać coś w ręce państwa, które na zawsze skojarzyło się w jego głowie z tyranem, wydawała mu się tak absurdalna jak twierdzenie, że Barack Obama jest reptilianinem.

To był już czwarty rok jego banicji. Pracował wówczas w Atenach w dzielnicy Plaka, w tawernie New Morning, która słynęła z psarosoupy, tradycyjnej greckiej zupy rybnej o cytrynowym posmaku. Najpierw wyczarował młodej parze dwie połówki tej samej karty, jedną w jego portfelu, drugą w jej torebce, a potem przeniósł się do dużego stolika, przy którym siedziała rosyjska rodzina. Jasnym było, że panem tej grupy był gruby wążacz o aparycji Krzysztofa Krawczyka w wersji *gangsta paradise*. Miał na szyi tyle złota, że gdy jadł zupę, o mało nie wciągał nosem krewetek. Nie przerwał jednak konsumpcji na czas pokazu. Kazał synowi zrobić miejsce dla pana magika, a samemu ustawił smartfona na trójnogu i wcisnął „record”. Stach postanowił wydusić trochę euro z tego bojara za pomocą starej szulerskiej rutyny *3 Card Monte*, podczas której performer wielokrotnie zamienia miejscami trzy karty – dwie są takie same, a zadaniem widza jest wskazanie, gdzie leży ta inna. Jeśli mu się uda, wygrywa zakład.

Wążacz świetnie się bawił i wyciągał kolejne banknoty, gdy babka, żona, syn i córka bezskutecznie próbowali szczęścia. Sam jednak ani razu się nie założył. Przyglądał się wszystkiemu przez oko kamery, a obok jego talerza rosła kupka krewetkowych panczerzy. I mimo że Rosjanin chętnie wyjmował z portfela pieniądze, w Stachu wzbierała frustracja.

– Mój tata prosi, by teraz pan sprawił, że coś zniknie.

Syn wążacza, chudy chłopak w markowym dresie à la Eugene Hütz w filmie *Wszystko jest iluminacją*, przetłumaczył całkiem zgrabną angielszczyzną chrumknięcia ojca, po czym obaj ryknęli śmiechem.

– I zdjął koszulę. Dla pewności. I żeby przesunął się pan jeszcze trochę w lewo.

Stach wstał, obszedł stół i śmiejąc się perliście, poklepał wąża-
cza po ramieniu, po czym wzbil w powietrze chmurę kart, które
niczym monstrualne konfetti zaczęły opadać na bojarskie głó-
wy. Zanim ktokolwiek zdążył się zorientować, Stach się ulotnił,
a wraz z nim zniknął wypchany portfel.

Naturalnie jego współpraca z New Morning była skończona,
ale nie przejmował się tym. Opuścił Plakę i ruszył ku Eksarchii,
która do tej pory była nie tylko jego ulubioną dzielnicą, ale tak-
że miejscem, które spośród wszystkich w Europie, spodobało
mu się najbardziej. Pociągała go squatowa atmosfera ateńskiej
dzielniczy i to że wszyscy jej mieszkańcy przynajmniej raz dzien-
nie mówili:

– *Fuck Germany.*

– *Fuck Angela Merkel.*

– *Go Putin.*

Eksarchia była bowiem światową kolebką anarchii. Po pamięt-
nej rewolcie z 2008 roku, będącej wynikiem śmierci nastolat-
ka z rąk policji, budynki tamtejszych banków zajęły kawiarnie,
squaty i domy kultury. Przygnieceni kryzysem finansowym
mieszkańcy Eksarchii porzucili marzenia i wylegli na plac Eks-
archion, który od tamtej pory nigdy nie spał i stanowił absolutną
mieszankę kultur i ras. Wszyscy tam palili skręty i pili piwo.

Stach minął mural z uśmiechniętą podobizną Noama Chom-
sky’ego i dołączył do Jorgosa, który tańczył na Eksarchionie.
Jorgos był w wyśmienitym humorze, bo kolega właśnie pozwolił
mu zamieszkać w piwnicy. Po obowiązkowej konsumpcji uży-
wek przedstawił Stachowi swojego wybawcę, którym był nieja-
ki Nikos, świeżo upieczony sinolog, a więc osoba bezrobotna.
Nikos był optymistą. Stwierdził, że każdego ranka, zanim roz-
pocznie dzień, konsultuje się z wyrocznią i jakoś to będzie. Cho-
dziło mu o słynną *Księgę Przemian*, znaną szerzej jako *I-ching*.
Wiele lat wcześniej pewien pekińczyk namówił Stacha na

konsultację z tą świętą księgą. W odpowiedzi na pytanie: „Co dalej?“, ułożył z badyli krwawnika heksagram dwunasty o nazwie Zastój i dodał:

– Rozdaj wszystkie pieniądze.

Wówczas Stach stwierdził, że *I-ching* to kolejna bezużyteczna biblia w wydaniu dalekowschodnim. Mimo to dwa miesiące później oddał tysiące dolarów laotańskiej policji. Jednak wtedy, na placu Ekscharion, był już innym człowiekiem. We wnętrzu czuł, że – jakby to ujął natchniony astrolog – jego czas planetarny się zmienia. A mówiąc prościej, wpadł w marazm i odczuwał pustkę. W takich okolicznościach nawet ateusze nie pogardzą pomocą z góry, choćby to miała być forma zgrywu.

Nikos zapalił się do wróżenia, więc pobiegł do domu po *Księgę Przemian*. Gdy wrócił, Stach zadał mu swoje standardowe pytanie:

– Co dalej?

Ten, już nie badyłami krwawnika, ale trzema eurocentami, wywołał heksagram numer trzydzieści sześć, Zaćmienie Światła, z dziewiątką na początku. Nie będziemy zagłębiać się w poezję osądów i obrazów zapisanych tradycyjnym chińskim pismem w *Księdze...*, która jest stara jak świat. Wystarczy, że powiemy, że Stach zareagował tak, jak często reagują ludzie spragnieni znaków – zachłysnął się.

– To o mnie!

Wydusił, słuchając o trudnym czasie, w którym ponoć się znalazł, o swoim życiu w cieniu, o przyćmionym blasku jego genialnej osoby, a przede wszystkim o tym, co mówiła dziewiątka na początku: że ma cel. Stały cel, do którego dąży, pomimo braku domu i niezrozumienia ze strony ludzi. Ta mądrość dała mu do myślenia.

Nazajutrz udał się na Agistri, miniaturową wyspę niedaleko portu w Pireusie. Leżąc na plaży Chalikiada, ukrytym za klifem ustroniem nudystów, wciąż rozmyślał nad słowami wyroczni. Było piękne jesienne popołudnie. Helleńskie morze mieniło się

jak lustrzane drobinki, fale rozbijały się o kamienie, a sporadyczne poddmuchy niezbyt ciepłego wiatru wywoływały gęsią skórkę. Stach myślał o mitycznym celu swojej życiowej wędrówki.

Pamiętał o obietnicy złożonej wiele lat wcześniej, ale w tamtej chwili wydawała mu się naiwna. Wedle jego wiedzy matka żyła spokojnie w towarzystwie psa Biskupa i koleżanek, z którymi spędzała popołudnia na Francuskiej. Widywał się z nią dwa razy w roku, gdy z plecakiem wypchanym pieniędzmi wracał do Polski. Poza tym stale do siebie pisali, choć z czasem, gdy matka zaczęła używać emotikonów, odczytanie jej wiadomości na starej Nokii 3510i przypominało przedzieranie się przez gęsty las.

Nadszedł wieczór i za godzinę miał odpłynąć ostatni statek do Pireusu. Wracając z Chalikiady, spotkał Apolla, tubylca w średnim wieku, który uchodził za żywe wcielenie Alexisa Zorby. Apollo zresztą zarzekał się, że pierwowzorem tej postaci był jego pradziadek, który dowoził mleko Nikosowi Kazantzakisowi, gdy ten mieszkał i tworzył na sąsiedniej wyspie Eginie. Wypili piwo w jego tawernie, nad którą znajdował się pensjonat. Z tarasu rozciągał się przepiękny widok na rozpaloną do czerwoności taflę morza.

– Mógłbym tu żyć, Apollo.

– Co cię powstrzymuje? Mówiłem ci już wielokrotnie, że masz u mnie miejsce. Możesz nawet zamieszkać z dziewczyną. Będziemy sobie żyć, że hej!

Apollo uwielbiał magię, a jeszcze bardziej lubili ją jego goście, spośród których znaczna część przekroczyła już wiek emerytalny i stale odwiedzała The Freewheelin'. Tak nazywał się ów lokal. Po kilku pokazach magicznych zaczęli domagać się, by Stach został włączony do corocznego repertuaru rozrywek. Koncerty grajków, którzy nie wykraczali poza klasykę w stylu *Knocking on Heaven's Door* i *Layla*, już dawno im się znudziły. Apollo zaferował więc Stachowi apartament z widokiem na morze w zamian za pracę na etacie nadwornego magika.

– Nie wiem, ale myślę, że ma to związek z tym rozcieńczonym mythosem, który tu polewasz. Załatw beczkę jakiegoś porządne-
go pszenicznika, to pogadamy.

Gdy wrócił do Eksarchii, gdzie wynajmował mieszkanie, odwiedził go Jorgos. Był to inteligentny chłopak o długich popielatych włosach. Nie wyglądał jak Grek. Dziewczyny mdlały, gdy wychodził na scenę podczas undergroundowych koncertów punkowego zespołu o dźwięcznej nazwie Doomsday. Poza tym Jorgos był kelnerem z tytułem inżyniera.

Tego dnia zajrzał do Stacha, by mu opowiedzieć historię Konstantinosa. Kolega ów był absolwentem politechniki i od miesięcy ubiegał się o odroczenie spłaty kredytu, który zaciągnął, by opłacić ostatni rok studiów. Bank naturalnie mu odmówił, więc kolega się wkurzył i skonstruował broń wysyłającą impuls elektromagnetyczny. W skrócie EMP. Impuls ten uszkadzał wszelkie urządzenia elektroniczne w zasięgu kilkunastu metrów. Konstantinos schował EMP do walizki i z tą bombową niespodzianką wszedł do banku. W następnej sekundzie wszystkie komputery, serwery, zegarki, e-papierosy i ksera padły. Nikt nie wiedział, co się stało. Konstantinos powtarzał ów atak co tydzień w różnych oddziałach tego samego banku. Wpadł dopiero wtedy, gdy pijany usnął na przystanku, a policjantów zainteresowała zawartość jego walizki. Na szczęście ów prawdziwy syn Eksarchii w porę przekazał braciom anarchistom instrukcje, jak zbudować bombę w walizeczce.

– Tylko poczekaj. Niedługo Atenami wstrząśnie fala nieczynnych bankomatów.

– Czy to wyłącza także telefony?

– Stary, wszystko!

Tego dnia Stach znalazł sposób na natrętnych nagrywaczy jego pokazów. Oczywiście wtedy jeszcze nie myślał, że mógłby go wykorzystać w innym celu.

Kilka dni później otrzymał wiadomość od matki. Pierwszą, która nie była sprawozdaniem ze zmian pogodowych w Polsce czy

wyczynów Maćka z Kalisza, który pod ksywą Dragon szturmem przechodził kolejne etapy programu *Must Be The Music*. Nie było w niej też peanów na cześć Kory, której matka coraz częściej słuchała. Nie, w tej wiadomości w końcu była cała prawda o życiu w Warszawie. Ba, w Polsce! Ba, w ogóle!

W ojczyźnie odbyły się bowiem wybory parlamentarne, które z miążdzącą przewagą wygrała partia Godni, co zaskoczyło nie tylko wszystkich ekspertów *Kawy na ławę* – prowadzący w kwiecistej, cokolwiek opiętej koszuli rozpoczął powyborczy odcinek od pytania: „Co tu się odjebało, panowie?” – ale także samych zwycięzców. Radomski poseł Paweł Radocha, do niedawna minister zdrowia w gabinecie cieni, powiedział otwarcie:

– Wydarzył się cud. Widać opłaciły się pielgrzymki do Lichenia i datki dla toruńskiego redemptorysty.

Oczywiście kierownictwo partii szybko przesunęło go do tylnego szeregu za tak szczerą wypowiedź.

W następnych dniach analizowano wynik wyborczy i stwierdzono, że dotychczasowe elity rządzące zupełnie zapomniały, jak smakuje schabowy i ile kosztuje masło w sklepach, a partia Godni, wówczas opozycyjna, po prostu obiecała, że za to masło zapłaci. Na tym wszystkim skorzystał nie kto inny jak Jerzy Turbicz, któremu powierzono tekę ministra spraw wewnętrznych.

Według matki sytuacja w kraju miała zmienić się dramatycznie. Zwycięska partia posiadała plan reform, który zawierał się w krótkich hasłach, jakby żywcem wziętych z rewolucyjnego dekretu z 1917 roku, choć zmodyfikowanych zgodnie z mickiewiczowską wiarą w mesjanizm narodu polskiego, lecz nie pielgrzymstwo.

„Ogólnie rzecz biorąc, mój kochany, myślę, że nadchodzą ciężkie czasy dla polskiej demokracji. Nawet nie wiesz, jak mi wstyd przed koleżankami. Dzisiaj podsłuchałam twojego ojca i ponoć mają wrócić do koncepcji szkolnych mundurków, ale to nic w porównaniu z podziałem na klasy żeńskie i męskie. Oczywiście wszystko rozpocznie się od likwidacji niezależnego sądownictwa. To zresztą już się dzieje. Nowe prawo ma być ściśle

powiązane z *Kodeksem prawa kanonicznego* z 1983, które – uwaga, trudne słowo – promulgował Jan Paweł II. Wiesz, co to oznacza, prawda? Koniec z tabletkami „dzień po” i aż wstyd się przyznać, ale to mnie oburza najmocniej. Może to nie jest informacja na SMS-a, ale jedynym powodem, dla którego nie masz rodzeństwa, jest ta tabletki. Wybacz, ale uważam, że dziecko potrzebuje ojca. No chyba, że mówimy o tobie, mój kochany, ty sobie radzisz koncertowo bez niego.

No i nie pytaj nawet, kogo chcą wyznaczyć na prezesa Sądu Najwyższego. To komornik z Parczewa. Nazywa się Marcin Bizuń. Tak się składa, że znam go osobiście, bo twój ojciec kilka razy przyprowadził go do naszego domu. Okropnie mlaskał podczas jedzenia i obawiam się, że brakowało mu jedynki, ale prawdę mówiąc niewiele się uśmiechał.

Nie wracaj, jeśli nie musisz.

Mama

PS. Twój ojciec dostał paranoi. Chyba myśli, że po ulicach biegają jacyś wrogowie rewolucji, więc zamyka mnie w domu z dwoma panami, dwa metry chłopą każdy. Jeden jest nawet przystojny. Ale co z tego, skoro nie mogę spacerować z Biskupem. Aż chciałoby się zaśpiewać: «Dzień się skończył. Na księżyc patrzę jak pies».

Natchniony astrolog powiedziała, że wiadomość ta była kolejnym w owym czasie objawem przesunięcia Urana na zodiaku, co zawsze zwiastuje gwałtowne zmiany, ale dla Stacha był to po prostu podświadomie wyczekiwany sygnał. Znak z mitycznej góry. Wszystko bowiem idealnie się zazębiło, rozwiewając wątpliwości wokół odwiecznego: „Co dalej?”.

– Co dalej, Stasiu? – pytały i zaraz podpowiadały mu planety. – Co dalej, kochany? To jasne jak Słońce w sekstyli do Urana. Posłuchaj wyklętego poety rock’n’rolla, śpiewał o tym już w sześćdziesiątym siódmym.

Plan był prosty: zorganizować wyjazd matki z kraju. Oczywiście należało to zrobić z najwyższą starannością, jakby szykował ewakuację marszałka Rydza-Śmigłego do Rumunii, ale dobrodziejstwa

układu z Schengen powinny ułatwić wszystko. Przeszkodą byli co prawda dwaj dwumetrowi cerberzy, ale tych należało po prostu przechytrzyć jakąś standardową sztuczką.

Ostatecznym celem była Agistri i apartament z widokiem na morze w The Freewheelin'. Najpierw poleciliby do Rzymu, co miało służyć zmyleniu tropów, a potem autobusem do Bari, a stamtąd promem do Grecji. Płatności tylko gotówką. Zresztą żadne z nich nie posiadało konta bankowego.

W okolicach gwiazdki Stach zaskoczył matkę, wyskakując zza jodły, gdy wybierała choinkę na rogu Zwycięzców i Saskiej. Cerberzy jedli bułki z budyniem i niczego nie podejrzewali. Poprosił ją, by przyszła do Costy następnego dnia i odnalazła starą babę wystylizowaną na królową Elżbietę II.

– Powiesz cerberom, że to twoja ciotka.

Na miejscu okazało się, że to nie kto inny jak jej syn w przebraaniu, który zresztą nie po raz pierwszy używał kamuflażu. Wszystkie jednak podróże odbywał jako mnich z zakonu benedyktynów. W roli Elżbiety II jednak dopiero debiutował.

– Wszystko zaplanowałem, mam, jedziemy.

– Co ty opowiadasz?

To jej opowiedział. Cały misterny plan, w którym jej jedyną rolą było przygotowanie cerberom bananowego koktajlu ze sproszkowanym węglem leczniczym w ilości, która żołądek konia zamieniłaby w Etnę.

– Nie.

– Nie? Dlaczego?

– Nie zostawię Biskupa.

Stach spojrzawszy na białego labradora, który leżał pod ich stolikiem i z wywieszonym jęzorem patrzył na nieco spłoszonego teriera, chowającego się za trampkiem słynnego autora kryminałów.

– No to go weźmiemy.

– Nie ma mowy. Ten zwierzak nie widział nic poza moim domem i prawym brzegiem Wisły. Umarłby ze strachu.

Ale w przerwie świątecznej nastąpiła seria niesympatycznych zatrzymań opozycjonistów. Zatrzymano między innymi Wieska Bialskiego, który był niegdyś przyjacielem domu Turbiczów, jeszcze tego na Muranowie. Matka Stacha pamiętała dobrze, jak przynosił jej woreczki minipączusiów, gdy razem z Jerzym wracali podchmieleni z zebrań NZS-u, po czym w kuchni wypijali jeszcze połówkę za wolną Polskę. No więc, gdy Wiesiek trafił do aresztu, jej cierpliwość się wyczerpała, a operacja „Wyjazd” uzyskała zielone światło.

Gdy cerberzy na zmianę okupowali toaletę, Anna zostawiła mężowi kartkę: „Mężu, wyjeżdżam na dłużej. Proszę, nie szukaj mnie. PS. Jesteś kanalią”. Ubrana w ogrodniczki, niby idąc przekopać dalie, wymknęła się z domu, oczywiście w towarzystwie Biskupa. Przeszła kawałek Brukselską i na skrzyżowaniu z Ateńską wsiadła do ukradzonej taksówki, w której czekali już Kassadi i Stach. Śmignęli prosto na Okęcie, skąd za dwie godziny mieli polecieć do Rzymu. Odprawili Biskupa – biedak został zamknięty w kontenerze przypominającym dom dla lalek – i przeszli przez bramki. Anna kupiła kawę i naręczę gazet, po czym udali się do bramki. Stali już w kolejce, gdy pojawili się mundurowi i zabrali ich do niewielkiego pokoju, gdzie czekali cerberzy – cali, lecz bardzo bladzi. Stach nie mógł nic zrobić.

Jeszcze tego samego dnia iluzjonista wrócił do domu na wsi i zdemolował duży pokój. W szale pozrywał kilimy ze ścian i przewrócił stół. Potem zaczął kopać, w wyniku czego uszkodzeniu uległ bujany fotel prababki, na ścianach zostały ślady butów, a wyblakłe reprodukcje Chełmońskiego zderżyły się z podłogą. Na koniec zrzucił telewizor i kawałkami starego kineskopu rozpruł pluszową kaczkę, którą w dzieciństwie bawił się jego ojciec.

Tak mocno go wtedy nienawidził, że gdyby nie Kassadi, pojechałby na Saską Kępę i odciął staremu łeb. W podobnym szale był tylko raz, gdy na głodzie kokainowym rozbił popiersie przewodniczącego Mao.

Przez następne kilka dni Stach złorzeczył na świat, a Kassadi

pilnował, by jego kumpel nie zrobił tego, co Jim Morrison zapowiadał w *The End*. Na ukradzonej plazmie, która zastąpiła kineskop, oglądali TVN24, w którym raz po raz pojawiała się gęba ministra spraw wewnętrznych. Wtedy Stach brał paintballowy pistolet – kolejny łup z dyskontu – i ładował w gębę ojca cały magazynek, po czym zmywał farbę i czekał na kolejną okazję. To był pomysł Kassadiego, który gdzieś wyczytał, że terapia damskich bokserów polega na wykrzykiwaniu w twarz dmuchanej lalce najokropniejszych okropności. W praktyce mężczyźni krzyczeli na zmianę: „ty kurwo” i „ty szmato”.

Co prawda Stach do damskich bokserów nie należał, ale Kassadi uznał, że metoda ta także jemu pomoże opanować agresję.

W końcu iluzjonista się uspokoił. Wrócił do Warszawy do swej dawnej kochanki Sary i wspólnie, czasem w towarzystwie Kassadiego, obserwowali demontaż kraju. Nigdy wcześniej nie interesował się polityką, ale wtedy nie spuszczał oka z kanałów informacyjnych.

A partia Godni z hukiem wprowadzała swoje reformy. W końcu władzę w kraju przejęło kierownictwo partii, które utworzyło Radę Państwa łączącą kompetencje ustawodawcze, wykonawcze i sędownicze. Jej siedzibą stał się Pałac Prezydencki, a sam prezydent został zesłany do Belwederu, gdzie miał przeczekać kadencję, odgrywając nieoficjalną rolę króla bankietów.

Ulice stolicy raz po raz wypełniały się demonstrantami. Stach także demonstrował. Plac Trzech Krzyży nigdy nie widział takich tłumów jak wtedy, gdy Rada Państwa powołała Centrum Analiz Słowa Bożego w miejsce Trybunału Konstytucyjnego.

Nawet wyborcy partii Godni, ci którzy głęboko wierzyli, że Polska potrzebuje odnowy moralnej, zaczęli marszczyć czoło. Już tylko najzatatwardzialszy elektorat bronił rządów partii Turbicza. Niestety, ta grupa była doskonale zorganizowana, wobec czego wszelkie demonstracje opozycji napotykały kontrademonstracje zwolenników rządu. Przypominało to trochę bitwę na głosy: z jednej strony *Oda do radości*, z drugiej – *Rota*.

Niestety ani protesty, ani groźby Komisji Europejskiej, ani listy

od papieża nie skłoniły Rady Państwa do odwrotu. Nie pomogła nawet burza stulecia, która przetoczyła się nad Polską, mimo że zniszczeniu uległo kilka kościołów, w tym wilanowski Tadz Mahal, a Chrystusa Świebodzińskiego ugodził piorun, w wyniku czego statua straciła betonowy nos. O dziwo tylko lewa strona sceny politycznej uznała to za interwencję Opatrzności. Ci z prawej obwiniali Rosję i jej eksperymenty na chmurach deszczowych.

Oczywiście wszystko to działo się jedynie na ekranach telewizorów. Przeciętny obywatel wstawał rano, oglądał Instagrama, szedł do pracy, znów oglądał Instagrama, wypił piwo, oglądał Instagrama, oglądał serial, oglądał Instagrama i szedł spać. Niewiele z tego, co się działo, tak naprawdę go obchodziło. Niewiele nawet rozumiał.

To była jedna z tych rozmów po kilku butelkach wina. W mieszkaniu na Wilczej siedzieli Sara, Stach i Kassadi. Twarz ministra edukacji majaczyła na telewizorze, tłumaczył się z konieczności oczyszczenia miast, gmin i szkół ze szkodliwych wpływów ideologii gender.

– Wiecie, co? Oddałbym wszystkie pieniądze, żeby tego skurwysyna udupić. Poważnie.

– Zapłać mi, to to zrobię.

– Jak?

– Jeszcze nie wiem, ale znajdę sposób.

Potem przez pół nocy wymyślali scenariusze obalenia rządu. Sara, która była fanką Quentina Tarantino, zaproponowała, żeby wzorowali się na działalności pułkownika Aldo Raine'a.

– Musicie wyłapywać co większych skurwieli i obcinać im jaja.

– To był Tyler Durden, pomyliłaś rolę Pitta.

Stach był z kolei fanem Palahniuka, a właściwie tylko *Podziemnego kręgu*.

– *Whatever*.

- Musimy to zrobić tak, jak to robią Ruscy. Musimy stworzyć farmę trolli i zalać Twittera.
- Wolę obcinać jaja.
- Nie masz do tego własnych, Stach.

Stach niechętnie się zgodził. Potem opowiedział im o Eksarchii i erupcji gniewu, która spaliła wszystkie bankomaty. Wtedy przypomniał sobie o oburzonym absolwencie politechniki, Konstantinosie.

- Kassadi, umiesz posługiwać się lutownicą?


Kilka dni później w mieszkaniu przy Wilczej trójka przyjaciół powołała gang Kosmicznych Małp. Był 30 kwietnia, niedziela. A nazajutrz grupa ludzi wysadziła się w powietrze przed byłym Pałacem Prezydenckim. Nawet media skupione wokół toruńskiego redemptorysty zaczęły pytać w nagłówkach: *Czy Rada Państwa potrafi jeszcze utrzymać porządek?*

Oplakując śmierć męczenników, szef Kosmicznych Małp poczuł na sobie ciężar mijającego czasu.

O powieści

Lotnisko w Kopenhadze. Wojtek czeka na samolot do Meksyku. Lot jest opóźniony. Przysiada się do niego kobieta w średnim wieku. Polka. Robi to w chwili, gdy Wojtek, nagle ogarnięty wątpliwością, próbuje skonsultować się ze starą chińską wyrocznią przy pomocy trzech monet i kartki papieru. Rozmowa prowadzi do zwierzenia. Wojtek zaczyna opowieść o wydarzeniach z niedalekiej przeszłości, które naznaczyły jego los.

Ta opowieść to alternatywna historia współczesnej Polski. Rok panowania ultranacjonalistycznej partii Godni, która niespodziewanie wygrywa wybory i przeprowadza szturm na fundamenty demokracji. Wojtek, nieco sfrustrowany życiem dwudziestoparolatek, któremu brakuje przygód na miarę tych, o jakich czytał w książkach i jakie oglądał w filmach, w wyniku nie do końca przypadkowego splotu okoliczności poznaje Stacha, iluzjonistę kierującego gangiem Kosmicznych Małp. Gang ten powstał w jednym celu: dywersja skierowana przeciwko władzy Godnych. Z plecakami, w których ukryte są domowej roboty urządzenia wysyłające impuls elektromagnetyczny, tzw. broń EMP, nękają różne placówki użytku publicznego.



Do tamtej pory świat polityki i walki o władzę był Wojtkowi zupełnie obcy. Interesował go jedynie relaks, któremu oddawał się bez reszty, popalając marihuanę, spacerując i słuchając podcastów. Prawdziwe życie miało zacząć się dla niego dopiero wtedy, gdy wyrwie się z miasta i ruszy w upragnioną podróż do Meksyku, a potem dalej. Życie w Warszawie uważał raczej za tymczasowe, mimo że praktycznie nie poznał żadnego innego. Perspektywa aktywnej walki z władzą jednak go kusi. Wojtek przyłącza się do Kosmicznych Małp, które ostatecznie spróbują wywołać blackout w stolicy.

Opowieść Wojtka stanowi główną oś fabuły, ale przeplatają się z nią opowiadania z życia bohaterów niemające na pozór związku z misją Kosmicznych Małp. Pozwalają jednak lepiej poznać życie młodych buntowników, do których oprócz Wojtka i Stacha należą także:

- Sara, piękna dziewczyna pełniąca w gangu funkcję projektantki przebrań. Najbliższa przyjaciółka i kochanka Stacha. W przeszłości niezdrowa relacja z narkotykami zmusiła ją do pobytu w tajskim klasztorze dla uzależnionych.
- Rejtan, przyjaciel Wojtka, początkowo niezaangażowany w działalność gangu, sprośny sybaryta prowadzi kanał na YouTube.
- Kassadi, tajemniczy przyjaciel i mentor Stacha, starszy od reszty, ma bzika na punkcie samochodów, niezawodny złodziej.

- Mazi, najgłośniejsza postać w grupie, kobieta o głosie Kasi Figury, ciągle rzuca żartami o zabarwieniu seksualnym, na co dzień pracuje w urzędzie miasta w wydziale transportu.
- Siostry Wachowicz, bliźniaczki śpiewające w chórze Uniwersytetu Warszawskiego, w towarzystwie zawsze sprawiają wrażenie zblazowanych laleczek, znudzonych wszystkimi i wszystkim.

Ponadto w powieści obecny jest szwarczarakter Fakir – były kolega Stacha, tragicznie zakochany w Sarze, sympatyk Marsowych Twarzy, ugrupowania młodych neofaszystów. Fakir zrobi wszystko, by doprowadzić do upadku Stacha. Kolejną istotną postacią, choć praktycznie niewidoczną poza propagandowymi billboardami, jest Jerzy Turbicz, bezwzględny minister spraw wewnętrznych, naczelny wróg Kosmicznych Małp i wszystkich demonstrujących obywateli w ogóle. Niewiele osób wie, że Stach jest jego synem i że powołał Kosmiczne Małpy motywowany zemstą. W domu bowiem Jerzy Turbicz był cichym tyranem, który podporządkował sobie matkę Stacha. Syna nie zauważał, wobec czego ten szybko się usamodzielniał. Ich relacja jest zerowa, ale za krzywdy, które ojciec wyrządził matce, za zniewolenie, które jej zgotował, Stach pragnie odwetu.

Misje Kosmicznych Małp destabilizują porządek narzucony przez partię Godni. Obiektami ataków rebeliantów są poczty, dworce, transport miejski, ban-



ki państwowe i uczelnie. Pragnieniem Stacha jest zmobilizowanie ludzi do buntu. Ataki służą zwróceniu uwagi społeczeństwa na nadużycia władzy, szczególnie zaś tych obywateli, którzy tkwią we własnych bańkach informacyjnych. Konformizm jednak zwycięża i skutek tej misji jest odwrotny. Ludzie buntują się przeciwko buntownikom. Ostatecznie gang zostaje złapany. Stach bierze na siebie lwią część winy i dostaje najwyższy wyrok. Udaje mu się jednak dokonać zemsty. Nie mając nic do stracenia, pogrąża ojca, ujawniając jak kilka lat wstecz, jego wpływy uchroniły go przed skazaniem za handel narkotykami i prawdopodobnie nieumyślne spowodowanie śmierci.

Od strony formalnej powieść dzieli się na dwa głosy. Jeden to głos Wojtka, narracja pierwszoosobowa, zdająca relację z jego krótkiej przygody z Kosmicznymi Małpami, a drugi należy do narratora wszechwiedzącego w trzeciej osobie wprowadzającego czytelnika w powieść i uzupełniającego relację Wojtka o historie dotyczące innych czasów i miejsc. W tych historiach poznajemy losy buntowników w przeszłości. Całość zostanie zamknięta powrotem do „teraz”, czyli do lotniska w Kopenhadze kilka lat później, gdy Wojtek, już po odsiadce, wreszcie wolny, leci do Meksyku. Nie wiemy jednak, czy tam doleci, ponieważ na jego horyzoncie pojawia się inna perspektywa, w której istotną rolę odgrywa postać Nikoli, dziewczyny poznanej tuż pod koniec kariery w Kosmicznych Małpach.

Co do Godnych, to oni sami doprowadzili do swojego upadku. Tekę po Jerzym Turbiczu przejął wariat, Roman Wierzgadło, gorący zwolennik dekomunizacji i surowych rozliczeń z decydentami władzy ludowej. Za czasów Solidarności znany jako Roman Piroman z powodu słabości do ładunków wybuchowych. Wyrzucony ze związku za zbyt radykalne poglądy. Jego marzeniem od zawsze było wysadzenie w powietrze symbolu PRL – Pałacu Kultury i Nauki. Gdy wraz z nominacją na ministra spraw wewnętrznych otrzyma władzę nad służbami specjalnymi, w porozumieniu z mafią węgierską zorganizuje wybuch w pałacu, w wyniku którego śmierć poniesie kilkudziesięciu ludzi. Jego rola w tym ataku szybko wyjdzie na jaw, przypieczętowując tym samym koniec panowania Godnych.



Rekomendacja organizatorów kursu

Barbara Woźniak | *Niejedno*

Proza Barbary Woźniak to literacki wgląd we współczesność i mądry, uniwersalny obraz losu, którego nikt nigdy nie wybiera, a w który powieściowy bohater ani myśli uwierzyć. W *Niejednym* pisarka kreuje narratora „czwartoosobowego”, odwołuje się do czułości i troski oraz proponuje fabułę rozpoznającą współczesną kondycję ludzką. Tarnowski stary dom, a w nim dwóch samotnych ludzi, człowiek chory na alzheimera i jego syn Szymon oraz gromadka przygarniętych zwierząt – to współczesna wysepka, przejmujący obraz, który daje do myślenia.

W trudnym życiu Szymona i jego ojca widać jak na dłoni naszą rzeczywistość – komunikację między ludźmi, złowrogie doświadczenia, lęki i kryzysy XXI wieku. Historia choroby i synowskiej opieki biegnie w kilku kierunkach: są ułamki z dziejów rodzinnych i codzienność z niesamodzielnym człowiekiem, powraca dzieciństwo i młodość Szymona, są też wakacyjne powidoki, domowa rupieciarnia i zbiór pamiątek, a spoiwem tej misternej układanki jest monolog bohatera.

Niejedno opowiada obrazami i na poważnie odwołuje się do emocji – w tym splocie jest ogromna siła. Tak samo jak w wątku choroby cywilizacyjnej, jaką jest samotność, a także motywach zamknięcia i powikłanych relacji rodzinnych.

Niejedno

Kilka dni po tym, jak ojciec nazwał mnie „Pawłem”, Jankowska zaproponowała mi zrobienie fakultetu o medycynie w czasach Trzeciej Rzeszy.

Paweł albo Pawełku, niewyraźnie powiedział.

„Zaproponowała” to może złe słowo, wezwała mnie, i panie doktorze, mówiła, machając stopą w lakierku, powiewając wiotką łydką na wietrze, sztucznym wietrze z wentylatora, panie doktorze, musi pan przygotować fakultet na ten temat.

Nigdy wcześniej nie pomylił imienia, mylił wszystko, ale nie moje imię.

Ale kto to wybierze, pani docent, kto to wybierze, spytałem, kto na wydziale lekarskim będzie chciał uczyć się o eliminacji życia niewartego życia i pierwszym procesie norymberskim USA versus Karl Brandt i inni?

Paweł to ja mam na drugie.

Każdy rozsądny człowiek, panie Szymku.

A nie na pierwsze.

Jasne, pomyślałem, studenci są teraz tacy praktyczni, ten temat z pewnością będzie miał u nich wzięcie, a powiedziałem, że może chociaż zrobić z tego e-learning.

Paweł (albo Pawełku, już nie pamiętam). Baśka tu była, powiedział. Z Targu Nowego.

Jaki znowu e-learning, żaden e-learning, co też pan mówi, spytała, błyskając lakierkiem, etyki chce pan ich uczyć przez internet?

Złożyłem życzenia. I od ciebie. Imieniny ma. Przecież.

Dobrze, kiedy ma to być gotowe?, włączyłem kalendarz.

Barbary jest jakoś teraz. Przecież. Nie, nie, chociaż nie. Barbary jest...

W czerwcu.

W czerwcu.

Najdalej w czerwcu.

A siostra ojca nie żyje od dziewięćdziesiątego pierwszego.

*

Powrót do Tarnowa, myślałem, że to będzie trudniejsze.

Pozwijałem swoje krakowskie życie jak dywan, wrzuciłem do pokoju, jednego z dwóch w mieszkaniu przy Konarskiego, zwanego małym, a duży udostępniłem Kasi, podobnie jak całą resztę.

Po odbiór kluczy zjawia się z koleżanką, dość wysoką i krzepką, która pomogła jej przy wnoszeniu trzech walizek i dwóch kartonów mebli z Ikei. Bardzo miłą. Przy mnie, ale pewnie myśli, że tego nie widzę, naciska kilka razy dłonią materac, badając miękkość, i puszcza oko do Kasi. Cały czas uśmiechają się do siebie. Do głowy przychodzi mi, że pożądliwie, a potem, że nic mi do tego, co i z kim Kasia zamierza robić w moim łóżku.

Też mam trzy różnej wielkości walizki i cztery kartony książek. Czyli dokładnie tyle, ile trzeba, żeby zapełnić bagażnik Renault Mégane i zawalić tylne siedzenia. Wiem, że w domu będzie wszystko.

Pakowanie auta przebiega w milczeniu, potem podejmujemy z Kasią wysiłek swobodnej rozmowy. Koleżanka tymczasem sięga po pierwszą z brzegu książkę i długo wpatruje się w zdjęcie skupionego Gerharda Rosego, przygotowującego w celi materiały do swojej obrony.

Notuję w pamięci, że trzeba zacząć od opracowania sylwetek lekarzy, a poza tym umyć samochód.

Pozdrów dziadka, mówi Kasia na odchodnym.

Patrzę za nimi, idą w kierunku parku Krakowskiego. Kasia ciągle mówi, gestykułując swoimi chudymi rękami i odrzucając włosy na plecy identycznym jak jej mama gestem. Na Chopina, widzę przez okno samochodu, dziewczyna obejmuje ją ramieniem.

Pozdrawiam, uśmiecha się niewinnie, szeroko, pokazując nie-nagannie udającą prawdziwe zęby protezę, zrobioną jeszcze przez matkę. Specjalizowała się w porcelanowych mostach, ale w akrylowych szczękach też była niezła. Dawno zresztą powinien ją zmienić, bardzo nie chciał, miał sentyment do tych właśnie zębów. Szkoda, że nie mogła go wyposażyć na zaś. Wymienić protezę, to była pierwsza rzecz, którą wpisuję do lodówkowego notatnika z magnesem. Pierwszego wieczoru wieszam na drzwiach.

Mało mówi, ma gorszy dzień.

Kasi nie będzie? Gdzie Kasia?, pyta, a ja odczuwam ulgę, pamięta.

W Krakowie, studiuje w Krakowie, dodaję informację, o którą pytanie wiem, że zaraz padnie. Kasi nie ma.

Mogłaby się zresztą ruszyć, dorzucam w myślach.

Zenia była, mówi i zapada się w fotel, Zenia jest w kuchni, wskazuje na drzwi, Zenia.

Kiwam głową i idę się rozpakować.

Gdy wieczorem kręcę się po ogrodzie, ogarnia mnie chęć, żeby zapalić. Pierwszy raz od kilku lat, czyli od kiedy lekarka mi powiedziała, że jak nie rzucę palenia i nie zacznę się ruszać, zabije mnie udar, albo zamienię się w pampersowe warzywo. Tak powiedziała. Niezwłocznie rzuciłem, przestraszony wizją przywędłego kabaczka z pieluchą. Mam rodzinną skłonność, to po matce, do nadciśnienia i perfekcjonizmu – w moich pierwszych latach pracy na uniwersytecie lubili mnie podpuszczać. Teraz nikt tego nie robi.

Ochota na papierosa nasila się w altance, w tym, co z niej zostało – sypiąca się, zardzewiała konstrukcja ze stalowych prętów, opleciona resztkami dzikiego wina, płataniną półsuchych bady-

li tracących liście, już żółte. Przegniłe drewno skrzypi pod moim ciężarem, siedzę niepewnie.

W czasach liceum tutaj najczęściej paliłem, chowając się przed matką, ojcem i Grażyną, która lubiła węszyć. Paliłem nocami, patrząc na jego gabinet, dawny garaż – teraz płyty brązowej farby odłóżą od drzwi i, wychodząc naprzeciw moim wspomnieniom, pokazują ślady stanu sprzed lat, ciemną żółć, dość wesołą. Dziś okna gabinetu są matowe od brudu. Podnoszę głowę – wszystkie nasze okna są zasnute warstewką tłustego kurzu. Patrzę kontrolnie w stronę domu sąsiada, ale gargamela nie widać zza szpaleru tui. Tego po prawej też nie – te antyspołeczne pseudodrzewa zachowują objętość i zielen nawet zimą, nie mówiąc o wczesnej jesieni. Jutro zapytam tę panią Ewę, czy nie mogłaby umyć okien, zapłacę jej, będzie jaśniej, postanawiam, przykładając dwa palce do ust. Zapaliłbym.

Pracownia była po drugiej stronie domu, najdalej jak się dało od jego gabinetu. Matka hałasowała młotkiem, nie chciał, żeby straszyla zwierzęta.

Kiedy wyjechałem na studia, nigdy nie chciałem tu wrócić.

Trzydzieści lat później, po diagnozie, jeszcze się łudziłem.

Wracam po akcji w kuchni.

Jest już październik.

*

Na dzień dobry rozdaję im kartki.

„Potrzebni są nam ludzie o mocnym kręgosłupie, którzy nie chwieją się wraz z każdą zmianą wiatru. Decyduje o nim posiadanie hierarchii wartości, do której jest się przywiązanym i z której nie zamierza się rezygnować. Uparta obrona tych wartości stanowi o postawie, którą nazywamy godnością. Potrzebni są nam ludzie wrażliwi na krzywdę i niezasłużone przywileje, ludzie, którzy spieszą innym z pomocą i nie odwracają się od przyjaciół, gdy im się nie powiedzie. Walczą, gdy zachodzi po temu potrzeba, przestrzegając reguł gry, nie rzucają

się we trzech na jednego i nie kopią pokonanych. Potrzebni są nam ludzie uczciwi wobec siebie i wobec innych, ludzie, którym się ufa. Brak zaufania bowiem w obcowaniu z ludźmi czyni społeczeństwo chorym.

Zinterpretuj powyższy cytat z książki Marii Ossowskiej pt. *O człowieku, moralności i nauce. Miscellanea*, PWN, Warszawa 1983, s. 559”.

Marszczą nosy, patrzą po sobie. Jak zwykle skupieni dwójkami, trójkami, bardzo niechętnie odkładają smartfony, iPhony, macbooki i (rzadziej) inne laptopy, podchodzą do tych moich kartek jak pies do jeża.

Pierwsze zajęcia, ćwiczenie na rozruch. I na poznanie nowy studentów – chcę się zorientować, jakie mają przemyślenia. Czy mają.

Pierwsze zajęcia i już coś trzeba robić, mówią mi ich twarze. Katastrofa, co będzie dalej?

Ale że są nastawieni zadaniowo, to ludzie czynu, więc bez ociągania się przystępują do rzeczy. Sięgają po długopisy, widać, że chyba rzadko używane. Patrzą, jak trzymają te długopisy, jakoś krzywo, jakby zapomnieli pismo ręczne. Widzę, jak z wysiłkiem marszczą czoła, da się jednocześnie marszczyć czoło i nos, to znaczy ja nie potrafię, choć próbuję, ale przecież mam to przed sobą: piętnaście pięknych, młodych, świeżych twarzy, nieskalanych myślą.

Oczywiście musi nastąpić ten moment, że ktoś podniesie rękę i padnie to pytanie: czy możemy pisać na komputerze?, a że odpowiedź interesuje wszystkich, czternaście głów podnosi się znad kartek.

Nie, piszcie, proszę, ręcznie. Tak będzie mi łatwiej sprawdzać.

Guzik prawda, odszyfrowywanie ich bazgrołów zajmie mi kilka godzin. Po prostu chcę mieć pewność, że nie korzystają z internetu schowani za ekranami komputerów, a nie chcę ich obrażać podejrzeniami o ściąganie. Nie znam ich.

I bardzo proszę, wyraźnie, piszcie wyraźnie, dodaję.

Kolejna ręka w górze, nawet dwie. Piętnaście par oczu na mnie.

Czy to na ocenę?

Nie, to informacja o was dla mnie.

Aha, zmarszczki ulegają spłyceniu.

Ręka w górze.

Ale po co to piszemy?, pyta ta sama osoba, która zapytała o komputer. Szczupły, piegowaty chłopak w czarnym swetrze z dekoltem w serek, typ wszystkowiedzący.

Tak jak mówiłem, to informacja o was dla mnie. Macie jeszcze kwadrans, każde pytanie to dla was strata czasu. Chyba że są pytania dotyczące treści zadania.

Kręcą głowami, takich pytań nie ma.

Strasznie stary ten tekst, słyszę gdzieś z głębi sali anonimowy szept, bez ręki. Nie podejmuję wyzwania.

Po dwudziestu minutach zbieram kartki zapisane przez ludzi, którzy uważają, że kulfony to konieczny element ich stylu życia, znak rozpoznawczy, więc nawet nie udają, że się starają. A przynajmniej większość.

Pora na przedstawienie się.

Powiedz kilka słów o sobie i co sprowadza cię tu, na medycynę. Czemu tu właśnie chciałeś, chciałaś studiować?

Dobry zawód.

Dobry zawód.

Prestiżowy zawód.

Zgadzam się z przedmówczynią.

Chęć pomagania ludziom.

Też lubię pomagać.

Nie ukrywam, chcę zarabiać pieniądze.

Chcę zostać chirurgiem, od zawsze lubię kroić.

Tak, chirurgiem!

Chirurgiem, marzenie.

Rodzice są lekarzami. Tradycja rodzinna.

Chcę leczyć.

Lubiłem biologię, chemię i fizykę. A są jakieś inne kierunki w ogóle?, śmiech.

Dobry zawód.

No, może powołanie, tak, powołanie plus kasa.

Wymarzona specjalizacja? Dziesięć chirurgii, w tym cztery neuro. Rzeczywiście zamierzają kroić. Po namyśle chłopaki spod ściany rzucają też kardiologię, ortopedię i ginekologię, przy tym trzecim dzieci się śmieją. Wszystkowiedzący dodaje psychiatrię, że ciekawa, kiwają głowami.

Po co na tych studiach etyka?

Milczenie.

Bo to jest ważne.

Bo to praca z ludźmi. Może chirurgia nie tak bardzo z ludźmi, bo pacjent jest nieprzytomny, ale zawsze.

Bo trzeba podejmować różne decyzje.

Bo trzeba umieć decydować dobrze.

W sumie to taki „odchamiacz”, przepraszam za słowo. Przedmiot humanizujący.

Żebyśmy nie siedzieli tylko w biochemii, patologii i fizjologii, wyszli poza.

Mój brat na agiehu też miał filozofię albo coś takiego, na serio, jest na materiałach i technologii metali nieżelaznych. A tak poważnie, to myślę, że to jest potrzebne.

W tym zawodzie trzeba umieć rozmawiać z ludźmi, podejmować decyzje dotyczące życia i zdrowia.

Wyjątkowa odpowiedzialność, zaufanie i misja.

Czas leci.

Okej. Jakies pytania?

Kto to jest Maria Ossowska?, pada z sali, oczywiście grzecznościowo.

Między innymi etyczka, filozofka moralności.

Kiwają odruchowo głowami, z nosami już w ekranach.

To do następnego tygodnia. Tymczasem w domu spróbujcie wyobrazić sobie sytuację w gabinecie, przy założeniu, że jednak nie jesteście chirurgami, w której może zaistnieć dylemat etyczny. Opiszcie ją.

Nosy na kwintę, spojrzenia po sobie.

Na pół strony, dodaję. Może być na komputerze.

*

Sobota, nigdzie nie idę, donikąd się nie spieszę. Nie ma dziś pani Ewy. Jesteśmy sami.

Siedzimy przed domem, blisko bramy wjazdowej, to jedyne miejsce z widokiem na drugą stronę ulicy. Koło furtki od zawsze rośnie drzewo. Matka chciała je wyciąć, nie zdążyła. Spadają z niego orzechy, pękające otoczki są zielone, potem brązowe i czarne. Owoce byle jakie, jądra gorzkie. Potem je, myślę, pozbiaram.

W latach pięćdziesiątych i na początku dwudziestego pierwszego wieku naprzeciw naszego domu przy Krakowskiej był zakład pogrzebowy, nazywał się Styks. Obok był serwis sa-

mochodów, akcesoria, rozrządy, klimatyzacja. Istnieje do teraz. Za to na miejscu zakładu stoi seledynowy budynek a przed nim żółta tablica, wielkie litery krzyczą: „Vega poleca...” – tu zawsze mam przed oczami hummus lub kotlet sojowy, ale nie – chodzi o wyposażenie łazienek. Upstrzona szyldami Krakowska wyłania się zza gęstych zielonych zasieków, szumi silnikami, spalina oddycha. Kusi wyprzedzą płytek, dekoracji i gresów, przyjdź, zobacz i skorzystaj. Na razie się opieram. I tak nie wiem, co to te gresy.

Może spytam ojca.

Na plastikowym stole ogrodowym w nieładzie leżą gazety i książki: dwa niemożliwie sfatygowane tomy *Zoologii* Bobrinskiego, Matwiejewa i innych z Państwowego Wydawnictwa Rolniczego i Leśnego, klasyk z lat pięćdziesiątych, z jego biblioteki. Książki mojego dzieciństwa, kiedyś ich nienawidziłem, teraz nawet lubię i regularnie czytuję. Ojcu na głos. Dawniej on nam to czytał, przede wszystkim strunowce, ale i bezkręgowce dobre były do poduszki. Jest tu także *Biologia zwierząt, krótkie wykłady* Jurda – sam kupiłem, jest cieńsza i bardziej poręczna. Nie rozsypuje się w dłoniach i nie pachnie kurzem. I bardziej aktualna, choć to nie ma wielkiego znaczenia.

Tato, posłuchaj, to do ciebie, mówię głośno i powoli czytam: *Protozoa* – pierwotniaki, *Porifera* – gąbki, *Mesozoa* – wielokomórkowce pośrednie, i tak dalej, aż do strunowców (*Chordata*).

Jeszcze raz?, pytam.

Kiwa głową, poprawia okulary i patrzy w stronę drzwi gabinetu. Wygląda, jakby chciał coś powiedzieć, otwiera i zamyka usta.

Systematyka organizmów się zmienia, mówię, bo naukowcy ciągle nad tym pracują, genetycy szukają pokrewieństw.

Patrzy na mnie przez dłuższą chwilę, bez zrozumienia.

Wiesz może, co to są te gresy?, zmieniam temat, wskazując głową w stronę bramy, za którą po drugiej stronie ulicy Styks lata temu ustąpił przed glazurą.

To płytką, wzrusza ramionami, płytką, na zewnątrz. Wskazuje palcem na fasadę domu, do wysokości pół metra obłożoną kafkami, z których część już odpadła. Zostały po nich dziury, przez które prześwieca żywy, omszały beton.

Dyskretnie wyciągam telefon i sprawdzam pod stołem, gres to rzeczywiście jest płytką, odporna na ścieranie i mróz. Jak ja się cieszę.

Podnoszę oczy, ojciec jest uśmiechnięty i nagi od pasa w górę. Jest słonecznie, to najcieplejszy jak dotąd dzień października, no ale nie na tyle, żeby być bez koszuli. Niepomny tego, po raz kolejny zdjął mój szary podkoszulek, w którym w okresie studiów chodziłem na siłownię, i cisnął w stronę altanki. Nakładam mu go dzisiaj jak dziecku, raz po raz, znowu, w kółko. Przez chwilę współpracuje, a potem zdejmuje.

Tato, mówię.

Zniecierpliwiony, gwałtownie macha ręką.

Wstaję, podnoszę podkoszulek, materiał jest stary więc szorstki i sztywny, poplamiony. Skąd on wyjął tę szmatę? Pewnie z którejś z tych piętrzących się hałd ciuchów, może tej na strychu. Czas w końcu zrobić porządkę, myślę po raz nie wiem który. Dom pełen jest zabytków różnej klasy i wieku, datują się wstecz tak daleko, że można prześledzić historię wzornictwa od lat powojennych ubiegłego stulecia prawie do teraz. I mody. Wśród powodzi gratów znajdują się prawdziwe, i nie tylko polskie, skarby: wczoraj za dawno nieużywanymi garnkami i prodżem natknąłem się w spiżarnianej szafie na kolekcję resztek Białej Marii, serwisu obiadowego, który kupili, może trochę na pokaz, dwadzieścia pięć lat temu. Choć prawdę mówiąc, nie pamiętam, żeby kogoś tym słowiańskim rosenthałem podejmowali, w każdym razie nie mnie.

Pochyliłam się nad nim i znowu usiłuję włożyć mu ubranie. Odpycha mnie, tym razem bardziej zdecydowanie, krzywi się. Nie jest łatwo, bo zawsze był silny, przez większość życia wyższy ode mnie, jak tu przełamać jego opór, okiełznać długie i ruchliwe ręce. Przez chwilę się mocujemy, mam przewagę, bo on ustępuje

z pozycji. Tak samo było ze wzrostem. Skórę ramion i pleców ma zmatowiałą, złoto-szarawą, nie myślałem, że taki kolor w ogóle jest możliwy, i gdzieś tam siwawe włosy w rzadkich kępkach. Na głowie już całkiem siwy.

Na łopatkę ma beżowy plaster, Exelon: rywastygmina, system transdermalny, który łagodzi objawy choroby, jej postaci lekkiej i umiarkowanej ciężkiej. Czyli coś w sam raz dla was, pocieszał mnie lekarz. Codziennie mu je naklejam na plecy, ramiona, pierś, raczej bez wielkiej nadziei.

Tato, musimy włożyć. Włóż ten podkoszulek.

Odpycha mnie znów, wskazuje na sweter, który wisi na oparciu wiklinowego fotela. Nakładam mu ten sweter, podaje rękę za ręką, tym razem współpracuje. Powoli zapinamy grube brązowe guziki, do tej czynności wstaje, opierając się o stół dłonią. Guziki współgrają z oprawkami jego okularów – podobny kolor i materiał.

I jak, ćwiczymy?, pytam.

Kiwa głową.

To wymieniamy słowa na literę „d”. Zacznij.

Dom, mówi.

Drewno, odbijam.

Dom, powtarza.

Nie może być dwa razy to samo, tato. Działka.

Deska.

Dziecko.

Gresy. Kresy. Gresy. Nie, kresy. Jak to było?

To nie na tę literę. Mówimy na „d”. Działka.

Powtarzasz, uśmiecha się. Drewno.

Dobrze.

Lepiej niż wczoraj. Choć nie traktuję tego w kategoriach postępów. W programie mamy jeszcze czytanie książek i „Świerszczyk”, czasopismo dla dzieci, z krzyżówką – po to je kupuję. Na koniec gra państwa-miasta-rzeki lub liczenie pieniędzy, najbardziej lubi dolary. Ojciec zawsze miał rękę do kasy i zwierząt.

On mozolnie liczy, moje myśli też krążą wokół pieniędzy: zbliża się sezon grzewczy, a pani Ewa straszy mnie koniecznością palenia w piecu i napomyka o jego wymianie, że byłoby mi łatwiej. To stary kopciuch. Ojciec kiedyś planował, pamiętam, ogrzewanie gazowe, ale jakoś się nie złożyło, nie wymienił.

Poza tym dach przecieka, co zauważyłem podczas wizyty na strychu.

Piec i dach stoją na mojej lodówkowej liście wielkimi literami. Wzięcie psa też tam jest, zaraz pod nową protezą, niżej mam etykiety na rzeczy, porządki w lekach i sprzątanie. Trawnik, tuje. Piwnica. Strych. Na osobnej kartce: T4, Jagiellonka, komisja bietyczna i bilet miesięczny na pociąg. Dwa wykrzykniki.

*

Na psa trafiamy przypadkiem, siedzi koło Biedronki, tej najbliższej domu, za Białą, na rogu Krakowskiej i Czerwonej. Jest przywiązany do kolumny, bo do sklepu wchodzi się przez coś w rodzaju portyku, jak do dworu szlacheckiego. Rano idziemy tam na zakupy, ojciec wpatruje się w zwierzę, które merda ogonem. Swoją zawsze pozna swego. Bordowa smycz jest dość długa, pies wysoko skacze, liże pochylającego się nad nim ojca po rękach. Większy szczeniak, dość zaniedbany, brudny. Obie strony wyglądają jak kwintesencja szczęścia.

Siadamy na ławce. Oni bawią się, ja w tym czasie palę papierosa. Pies zostawia na sztruksach ojca ślady błota, wcześniej padało. Dzień jest wietrzny. Listopad. Przydeptuję butem niedopałek, schylam się i wrzucam go do kosza.

Tato, idziemy, musimy już iść do sklepu, mówię i biorę go pod rękę.

Idź, idź, idź, mówi. Idź, zostanę. Idź, Paweł, nieznacznie podnosi

głos.

Tato. Nie. Mogę. Zostawić. Cię. Samego. To. Jest. Niebezpieczne.

Ciągnę go trochę mocniej, udaje mi się oderwać go od psa. Brązowe, lekko zaropiałe oczy patrzą na mnie z wyrzutem. Nad oczami ma białe plamki jak Reks, ten bez nogi, poza tym jest czarny, krępawy, lecz zwinny. Wygląda, jakby miał za krótkie łapy. Za to jego ogon jest kuriozalnie długi, ruchliwy i brudny.

Patrz, babciu, jaki piękny pies!, wykrzykuje przechodzące koło nas dziecko trzymające za rękę starszą kobietę. Dalsza sąsiadka, nie pamiętam nazwiska. Kłaniamy się sobie, to znaczy ja jej, ona ojcu, a ojciec patrzy na nią niewidzącym wzrokiem. Pod nosem mamrocze coś o kotach. W każdym razie odpuszcza, pies jest niepokieszony, zwiesza łeb, czekając na właściciela.

Kiedy wieczorem znów idę do Biedronki, szybciej, niż myślałem, skończyły mi się papierosy, pies dalej tam siedzi. Jest skulony z zimna, pewnie głodny. Poznaje mnie, rusza ogonem. Kupuję fajki, pytam, czy coś o nim wiedzą. Nie, nikt nie pytał, nikt nic nie wie. Kasjer, bo o tej porze nie ma wielu klientów, wychodzi ze mną przed sklep i przygląda się psu.

Zwykły kundel, mówi, spluwa, potem gwizdże.

Nie mam za wiele czasu, zostawiłem ojca w domu samego, śpiącego, z myślą, że będę z powrotem w ciągu kwadransa. Odwiązuję smycz, piesek się cieszy. Zapalam szybko papierosa i oddalamy się. Wcześniej podaję kasjerowi swój adres na wypadek, gdyby ktoś szukał. Mam jednak przeczucie, że nikt psa szukał nie będzie. I kupiłem kilka saszetek suchej karmy, najpodlejszej, bo sklep nie oferuje wyboru.

Mamy już psa. Miał być biszkoptowy labrador w typie Aldiego, a jest czarny kundel z plamami nad oczami. Wybudzony ze snu, ojciec oczywiście nie pamięta, że miał już z nim do czynienia w nieodległej przeszłości. Pies za to doskonale kojarzy ojca, z radości, że znów go widzi, sika na dywan. Po sposobie, w jaki to robi, poznaję, że to suka. Klnąc pod nosem, ale nie bardzo, już dawno chciałem go wyrzucić, bo brudny, zwijam dywan, wyno-

szę, opieram go o ścianę, nie troszcząc się nawet, żeby stał pod okapem na wypadek deszczu. Świat sprzyja moim porządkom.

Jeszcze szybki papieros.

Odgłosy radości z pokoju, ojciec się śmieje, upewniają mnie w decyzji – jednak nie będę, jak planowałem jeszcze w drodze ze sklepu, wywieszał ogłoszenia, że na Krakowskiej 183 jest pies do odebrania. Na pewno ktoś go porzucił, usprawiedliwiam się przed sobą.

Dobry, dobry kotek, słyszę z łazienki, gdzie wyżymam ścierkę. Dobry, dobry. Chodź tu, kotku. Chodź, Heidi.

*

Heidi, Heidi. Co mi dziś, Heidi, powiesz?

Skąd on wziął to imię?

Patrzę w brązowe oczy naszej suki. Jest nasza, nikt się po nią nie zgłosił. Wygląda, jakby rozumiała wiele.

Czasami, na przykład dziś, mam wrażenie, że rozumie więcej niż ojciec.

Czasami mam też wrażenie, na przykład właśnie teraz, że ogarnia lepiej ode mnie.

Siedzę na taborecie, obieram ziemniaki.

Zazwyczaj staramy się trzymać dietę śródziemnomorską, jemy dwa razy dziennie warzywa zielone oraz inne jarzyny: są zupy, potrawy, koktajle, surówki, na parze i soki. Do tego mnóstwo owoców, zwłaszcza jagód, czarnych porzeczek, aronii, czereśni, wiśni: nasze śniadania mogłyby pozować do martwych natur Florisa van Dycka. Produkty pełnoziarniste, różne kasze, owsianki – szczerze nienawidziłem ich w dzieciństwie. Orzechy i nasiona, rośliny strączkowe. Chudy nabiał, drób, ryby morskie, oliwa z oliwek. Przyprawy. Mnóstwo wody. Wszystko, co dobre dla mózgu.

Zazwyczaj staramy się trzymać dietę śródziemnomorską, ale czasami się nie da. Na przykład dzisiaj, po koszmarnej nocy, ko-

lejnej z serii tych ciężkich, przeplatających się z trudnymi dniami (pani Ewa już nie przychodzi, nie znalazłem jeszcze nikogo na jej miejsce), nie mam pomysłu, motywacji czy umiejętności na nic więcej niż ziemniaki z jajkiem sadzonym.

Obieram więc te ziemniaki i omijam wzrokiem przypiętą do lodówki listę polecanych produktów, wśród których ich nie ma, a ona, Heidi, leży koło kubła, do którego lecą obierki, i patrzy na mnie z dołu.

Ojciec śpi w pokoju gościnnym, który jest teraz jego pokojem. Ja nie śpiam w małej klitce obok, która była kancelarią rodziców, chociaż mam tam wstawione łóżko i nawet nazywam ten pokój sypialnią. Ale za to śpiam w innych miejscach i w okolicznościach mniej banalnych niż noc, niż odpowiednia pora: na przystankach, w autobusach, w taksówkach, w kolejkach, w pociągach, na ławkach na Plantach, tych krakowskich i tych tarnowskich, w bibliotekach, na zebraniach katedry, naradach dydaktycznych, posiedzeniach komisji, na randkach z Elżbietą. Cud, że jeszcze nie zasnąłem na zajęciach. Wszystko przede mną.

Spoglądam na wielki zegar wiszący koło okna – jest czternaście trzydzieści. Zapaliłbym. Kładę głowę na stole, pies patrzy na mnie czujne, a o szyby deszcz dzwoni, deszcz dzwoni, deszcz dzwoni i pluszcze, pluszcze pluszowo, nóż wypada mi z ręki.

Pies staje na tylnych nogach, kładzie łapę na taborecie, spogląda mi w oczy i przemawia głosem matki, mam dreszcze.

Teraz skup się, Szymonie, mówi, pokazując dziąsła, język i zęby, skup się i notuj w pamięci:

sałata, rukola, kapusta, cykoria, szpinak, botwina, jarmuż, por, fasolka szparagowa, cukinia, brokuły, brukselka, groszek, natka pietruszki, koperek, szczypiorek, papryka, bakłażan, burak, pietruszka, seler, cebula, czosnek, dynia, kalafior, karczoch, brukiew, pasternak, pomidor, rzepa, rzodkiewka, kalarepa, bób, fasola, groch, soczewica, cieciora, soja, groszek, kasza gryczana, jaglana, jęczmienna, kuskus, komosa ryżowa, amarantus, bulgur, ryż długoziarnisty, ryż brązowy, płatki owsiane, płatki żytnie

i pszenne, makaron razowy, pieczywo razowe pszenne i żytnie, pumpernikiel,

kurczak i indyk bez skóry, łosoś, halibut, tuńczyk, makrela, śledź, węgorz, szprot, sardynka, karp, pstrąg, lin, sola, dorsz, morszczuk, sandacz, szczupak, mintaj, miruna, płoć, leszcz, płastuga, kergulena, dorada, flądra,

a nie żadne ziemniaki z jajkiem sadzonym.

W ciszy po tym monologu trąca moją dłoń wilgotnym nosem.

Nagle rozlega się brzęczenie telefonu, podrywam się, brudnymi od ziemniaków rękami wydzieram go z kieszeni spodni.

Pies znowu leży na ziemi.

Ewa Opiekunkaojca.

Mam dla pana osobę chętną do pracy, mówi. Ale może być Ukrainka? Z Ukrainy?

Jasne, jasne, jasne, że może, mówię, pęd myśli rozsadza mi głowę, Kijowski, Wyszeński, Jurkiewicz, Skoworoda, no pewnie, Andruchowycz, Prochaśko, Zabużko i Łesia, tak, Ukrainka, jak najbardziej, i byłem kiedyś na Krymie, niech będzie ta Ukrainka. Byle szybko.

Pan znowu odklejony, mówi Ewa, a gdy się rozłącza, przed „Opiekunkaojca” dla porządku dopisuję „była”.

*

Postanawiam wygrzebać tego rosenthala, szkoda, żeby się kurzył za prodizem, i właśnie jestem w trakcie tej czynności, kiedy ona przychodzi. Zapomniałem o niej zupełnie, o tym, że miała być o tej porze.

Otwieram, trzymając w ręku bulionówkę.

Dzień dobry, mówi ze śpiewnym akcentem, byłam umówiona. Maria, zdejmuję wytartą dwupalczystą rękawiczkę ze skóry i wyciąga rękę, patrząc na element zastawy.

Tak, biała, odpowiadam, przekładam naczynie do lewej dłoni i podaję jej drugą.

Unosi prawą brew w górę, potrząsając trzykrotnie moją ręką.

Nie, nazywam się Melnyk. Ale z Białej Cerkwi.

Przez chwilę wpatruję się w zakurzoną bulionówkę, starając się połączyć skrawki informacji w całość, a potem coś powiedzieć. Ponieważ nie wygląda, jakby oczekiwała wyjaśnień, tylko energicznie przechodzi do rzeczy, to znaczy zzuwa buty, rzuca wilgotny płaszcz i szalik na wieszak, po czym zastyga, patrząc mi w oczy, otrząsam się, szerokim gestem wskazuję na drzwi do korytarza, mamrocząc pod nosem, że Szymon Kowalski, pełniący obowiązki pana domu, ale to już tak cicho, że na pewno nie słyszy.

A to musi być pan Henryk, dzień dobry, dzień dobry, słyszę jej śpiew z kuchni, gdy podnoszę z podłogi płaszcz i szalik, które zsunęły się z wieszaka.

Dzień dobry, słyszę głos ojca, a gdy wchodzę do pomieszczenia, ona siedzi już koło niego na taborecie. Heidi zajmuje pozycję pomiędzy, obwąchując jej skarpetki.

Ojciec nie odrywa od niej wzroku, w dłoni ściska okulary. Przed nim na stole stoi kilka ramek ze zdjęciami, głównie Kasia i moja matka, czyli dziś Joasia i Renia. Tego popołudnia jest rozgadany, więc nie na mnie spoczywa ciężar prowadzenia rozmowy.

Moje dzieci, moje dzieci, pokazuje na ramki, to tak chodziły, chodziły, chodziły, a ja zawsze mówiłem, mówiłem, że co ty, Pawełku, Pawełku. Miałem psy, koty, teraz nie mam, nic nie mam.

Aha. To pańskie dzieci?, mówi wolno, wyraźnie, bierze w dłoń zdjęcie Kasi.

To moja córka, mówię pospiesznie.

Moja córka, ojciec też się do niej przyznaje. To Joasia, Asia.

Pan Henryk, wskazuje głową w jego stronę, a potem patrzy na mnie, rozumiem, ma alzheimera.

Tak, mówię, jakoś trzeba zacząć. Jest niesamodzielny, wyjaśniam półgłosem, gdy on wpatruje się w zdjęcia. Nie mogę go zostawić samego, a pracuję w Krakowie. Jest w stanie zgubić się w swoim domu.

Przestań, przestań, ojciec macha na mnie ręką. Podniósł głos.

Tato, zjesz coś?, natychmiast staram się odwrócić jego uwagę od tematu. A pani się czegoś napije? Kawy, herbaty?

Tak, zjem, ojciec kiwa głową, a ona odmawia.

Zapalam gaz pod zupą, zapada dłuższe milczenie. Gdy napełniam porcelanową miskę kremem z zielonych warzyw, kątem oka widzę, że opiekunka bawi się z psem. Przez następną godzinę prawie non stop go głaszczę.

Robi to na nas dobre wrażenie, zwłaszcza na Heidi. Zastanawiam się, czy przypadkiem w następstwie tej wizyty ogon jej nie odpadnie.

Potem, gdy ojciec kładzie się na poobiednią drzemkę, rozmawiamy o formalnościach, których muszę dopełnić.

Ponieważ mój mózg, znów po ciężkiej nocy, pracuje na zwolnionych obrotach, biorę kartkę i długopis i notuję każde słowo. Kiwam głową znad bulionówek, staram się wyglądać jak człowiek, który swobodnie porusza się w świecie biurokracji.

Ma zezwolenie na pobyt czasowy i pracę, zmianę pracodawcy zgłosi do wojewody. Kiwam głową, z satysfakcją podkreślam czasownik w trzeciej osobie. Ona to robi.

Ustalamy rodzaj umowy, wysokość wynagrodzenia, zakres obowiązków, czas pracy. Zajęcia mam w poniedziałki i środy, raz w miesiącu we czwartki zebrania komisji bioetycznej, w tym samym dniu odbywają się też spotkania katedry, Jankowska bardzo nalega, żeby być obecnym. I muszę jeszcze mieć czas na bibliotekę. I na Elżbietę, dla Elżbiety, ale to teraz kwestia drugorzędna, przepraszam, myślę, cię, Elu.

Maria pracuje także w innym miejscu. Trzy razy w tygodniu jej

odpowiadają.

W Białej Cerkwi ma ojca chorego na demencję. Pod opieką rodziny. Wyrzuty sumienia, ale ktoś musi zarabiać.

Wykształcenie średnie, liceum medyczne, czyli pielęgniarstwo. Kocha pomagać ludziom, lubi muzykę, śpiewa osobom starszym. Dobry jej się język trafił.

Jest trzy dni młodsza ode mnie i mówię jej o tym, czyli ten sam znak zodiaku, zagaduje. Nie umiem zinterpretować tego uśmiechu.

Będziemy zwracać się do siebie po imieniu.

Ponieważ nie byłem orłem z geografii, nadal nim nie jestem, sprawdzam potem, gdzie leży Biała Cerkiew. Bo jeśli w Zagłębiu Donieckim, to nie śmiałybym tej Marii zwolnić, nawet gdyby była kiepska. I co wtedy? Ale nie, to w obwodzie kijowskim.

Fun fact: Biała Cerkiew to miasto partnerskie Tarnowa. Ciekawe, co takie dziury mają z tego, że wchodzą w partnerstwo?

Na do widzenia częstuję ją papierosem. Stoimy na ganku. Umawiamy się.

Zacznijmy po świętach.

*

Na moją prośbę przygotowują fragmenty *Etyki praktycznej*, które zadałem im jeszcze przed świętami. Niektórzy mają papierowe kopie. Większość otwiera plik na komputerach. Są i tacy, którzy nic nie mają i siedzą beczynnym, choć wysłałem przypomnienie przez USOS.

Zacznijmy od podstawowego pytania: czym jest paternalizm?

Cicho jak makiem zasiał. Jak zwykle nikt nie chce zacząć. Ten temat zwykle nie porywa studentów, w odróżnieniu od aborcji, eutanazji czy eugeniki. Biorę kredę, rozglądam się, ale w sali nie ma tablicy. Zazwyczaj tablica jest, ale nie ma kredy. A jestem w innej sali na prośbę pani docent, zamieniliśmy się, jednora-

zowo. Za oknem jest tu jeszcze więcej ulicy niż w poprzedniej. I hałas rozmów.

No, śmiało. Macie przed sobą teksty.

Paternalizm to... Narzucona postawa opiekuńcza.

Dobrze. Z czym jeszcze się wam kojarzy?

Z ojcem, *Pater noster*.

Tak, to oczywiście od łacińskiego słowa *pater*, „ojciec”, porównajcie ze słowem *patria*, „ojczyzna”. Jakie rodzaje paternalizmu wyróżnione są w tekście?

Hm, może być paternalizm autorytarny albo liberalny.

Dobrze, panie Jacku. Wszyscy rozumiemy to rozróżnienie? Człowiek potrzebujący pomocy nie zawsze zdaje sobie z tego sprawę. Co należy wówczas zrobić? Zwolennik opcji autorytarnej odpowie, że trzeba pomagać, nie oglądając się na zgodę. Zwolennik liberalnego podejścia orzeknie, że taka niechciana, nieakceptowana pomoc jest zniewoleniem. A wy, jak myślicie?

To chyba zależy od stanu pacjenta... Jeżeli jest nieprzytomny albo nie jest w stanie zrozumieć choroby, tego, co się z nim dzieje, to lekarz podejmuje decyzje. Jak w chirurgii, gdy pacjent leży na stole, następują nieprzewidziane komplikacje i potrzebna jest nagła, nieplanowana operacja.

Dobry przykład, pani Karolino. Ale to nie jedyny przypadek. Kiedy jeszcze paternalizm w medycynie jest uzasadniony?

No, kiedy pacjent jest niepoczytalny, bezradny, kiedy to dziecko, albo, jak powiedziała Karola, kiedy jest nieprzytomny, pod wpływem jakichś drogów, narkotyków, albo kiedy jest, no... Nie wiem, jak to nazwać. Ograniczony, ma ograniczone możliwości rozumienia i decydowania. Nie jest w stanie zrozumieć, co mu grozi, jeśli nie podda się leczeniu.

Na przykład?

Osoby niepełnosprawne umysłowo, z zaburzeniami psychicznych

mi, leczone psychiatrycznie. Pewnie ludzie z depresją, schizofrenicy, dementywni.

Język. Czasami nie mogę słuchać ich języka. Za oknem trzy karetki, pewnie do wypadku. Odruchowo moje myśli biegną ku ojcu.

Mówi się: osoba z niepełnosprawnością intelektualną, chorująca na schizofrenię czy z demencją. Język ma znaczenie, pamiętajcie. Te wszystkie osoby, które zostały wymienione, nazywane są pacjentami niekompetentnymi do podejmowania racjonalnych decyzji. Paternalizm w stosunku do osób, które są zdolne do podejmowania decyzji dotyczących własnego leczenia i zdrowia, jest niedopuszczalny.

Naprawdę pan tak myśli?

W sensie?

Bo lekarze, bardzo często świetni specjaliści, na przykład profesorowie medycyny, traktują pacjentów paternalistycznie i to jest normalne.

Tak, wszyscy to akceptują. Coś za coś.

Coś za coś? Nie rozumiem. Poza tym to, że niektórzy specjaliści traktują pacjentów w sposób paternalistyczny nie znaczy, że tak ma być, że tak jest dobrze. Podoba się to wam?

Wzruszają ramionami. Jestem ciekaw, co słyszą w domu na temat pacjentów. Te dzieci lekarzy, synowie chirurgów i córki dentystek. Jakie są im przekazywane wzorce? Czy to nie w domach, obok uczelni, przychodni, kliniki, reprodukuje się paternalizm? Na pewno, po części.

Komu się podoba? Kto chciałby być potraktowany paternalistycznie przez profesora medycyny tylko dlatego, że jest on wybitnym specjalistą i uważa, że ma do tego prawo? Ręka w górę.

Nikt. Siedzący pod oknem syn dziekana, czyli profesora właśnie, uśmiecha się kpiąco. A zresztą, może mi się zdaje. Tymczasem na ulicy znów karetka.

Ha, widzicie. Granice paternalizmu określa nie tylko kompetencja chorego, ale też dobro innych osób, które znajdą się w wyniku jego decyzji w sytuacji zagrożenia.

Jak w wypadku osoby chorej... chorującej na ciężką chorobę zakaźną, która odmawia leczenia i trzeba ją do tego zmusić?

Tak, dobry przykład. Ale wróćmy do tekstu. Wynika z niego, że wycofanie autorytarnej opieki jest w pewnym momencie moralnym obowiązkiem. Co o tym decyduje?

Chyba sytuacja, tu pisze... Jest napisane... Gdy pacjent uzyskuje autonomię albo jakieś kompetencje, żeby sam mógł się sobą zająć? W sensie – decydować?

Właśnie, autonomia, pani Beato. To kluczowy termin. Co to jest autonomia pacjenta? Jak byście ją zdefiniowali? I ważne pytanie: czy można ją uzyskać?

A nie jest to oczywiste?

Skoro jest, to tym łatwiej będzie to pani wyjaśnić.

Moim zdaniem to jest coś, co lekarz daje pacjentowi, włączając go w podejmowanie decyzji o leczeniu. Czyli pacjent może ją uzyskać, pewnie.

Kto się zgadza z opinią pani Anny?

Prawie wszyscy podnoszą ręce, oprócz tych, którzy tymczasem zanurkowali w ekrany.

Nie, nieprawda. Autonomia, której zakres wyznacza lekarz, nie jest żadną autonomią. Myślicie paternalistycznie.

Patrzę na mnie sceptycznie.

To co to jest autonomia?

Zdolność do samostanowienia. Trzeba wam wiedzieć, że autonomia jest faktem, faktem prawnym. A prawo do samostanowienia jest niezbywalne, nie można z niego zrezygnować. I pacjent ma prawo stanowić o sobie, bo ma autonomię w tym znaczeniu, a nie dlatego, że lekarz mu na to pozwoli. I ma ją niezależnie

od tego, co lekarz sądzi o kwestii paternalizmu. Autonomii się nie uzyskuje! Co do zasady: chory, który jest dorosły i świadomy musi mieć gwarancję jej poszanowania. Oczywiście, są pacjenci, którym nie przeszkadza, którym nawet odpowiada paternalizm w kontakcie z lekarzem, ale jest on wtedy tylko pewną umowną formułą, nigdy nie powinien być ograniczeniem samostanowienia chorego. Zastanówcie się w domu, jak to o czym dziś mówimy, ma się do kwestii odpowiedzialności za decyzje medyczne.

Kiwają głowami. O szyby zaczyna bębnić deszcz, myślę już tylko o papierosie.

To teraz, zostało nam kilkanaście minut, otwórzcie podręcznik, ci którzy go mają, jakoś się podzielcie, na stronie dwieście osiemdziesiątej ósmej. Kazus osoby chorującej na alzheimera.

*

Nie spieszę się na pociąg i jestem w kościele. Świętej Rodziny, nie byłem tutaj od liceum. Zapach się nie zmienił.

Próbuję przypomnieć sobie słowa modlitwy.

Jest szaro, jakby mętnie. Z kątów migają blade światełka choinek.

Przede mną wyrasta ksiądz jak kopiec, jak piramida świeżej ziemi z krecim łebkiem na szczycie. Ciemny, aksamitny. Wstaje z klęczek, po gospodarsku się kręci, rozgrzewa się przed mszą, myślą – Grażyna tak mówiła kiedy byliśmy dziećmi, mamo, tato, kiedy się skończy ta mysza? Cały przedsiónek miał ubaw. W ogóle gryzonie były motywem przewodnim naszego dzieciństwa, ojciec szczególnie je lubił i leczył, nie tylko psy, konie i krowy, jak inni, którzy traktowali mniejsze zwierzęta jak śmieci.

Zaczynam od *Ojcze nasz*, ale słowa stawiają opór. Było tam coś o chlebie. Napiłbym się wody. Jest mi niedobrze i burczy mi w brzuchu, i nawet trochę się wstydę. Z tym nie jest jak z jazdą na rowerze. Ale akurat modlitwy ojciec długo pamiętał.

Zaczynam od początku. Z boku napiera na mnie pani w lisie, ze wszystkich świecących pustką miejsc, jest ich kilkaset, wybrała

to koło mnie. Bo może jej zimno, lis wyraźnie wyliniał. Łysy *vulpes vulpes*, lis rudy. Przez chwilę myślę, że to świnka morska, mówił, że prawidłowa jej nazwa to kawia domowa, czyli *cavia porcellus*, gryzoń jeżozwierzowiec jeżozwierzokształtny, z domu kawiowa-ty, to taka rodzina. Zawsze precyzyjny. Ludzie znosili mu zwierzęta hobbystyczne, kiedy zmieniali hobby na jazdę na rowerze albo na coś innego, co nie defekuje. W szczytowym okresie było ich w domu czternaście: prawie dwadzieścia kilo spasionych gryzoni. Bądźże mądrzejszy, wściekała się matka. Jankowska jadła świnkę morską w Peru, przed oczami mam zdjęcie, bo także asertywny nie jestem, szefowej z talerzem, obie zarumienione, przy czym kawia bez skóry, każda ma w sobie coś z *sus scrofa domestica*, ulotne podobieństwo, chyba chodzi o ryjek.

Wpatruję się w szarość i zaczynam ponownie. Ksiądz sunie w kierunku świecznika, jest stary, ale prosty. Skserować piramidy demograficzne na dzisiaj, trzeba to zanotować, inaczej zapomnę, sięgam więc po telefon i otwieram Keep Notes. Kobieta w lisie prycha i odsuwa się. Zdecydowanym ruchem zagarnia poły zielonego płaszczyka, żebyśmy przypadkiem nie mieli styczności. Zapisuję szybko i chowam.

I zaczynam znów. Tam było coś o zdrowiu, a czy nie o to mi chodzi? Nie, przecież o zdrowiu było w tym do Maryi. Marii. Czy ja nie za mało zamierzam jej płacić? Za taką pracę, Matko Boska, taką ciężką pracę. A te piramidy wyglądają jak grzyby, wybuchy atomowe. Bomba zegarowa, demograficzny tik-tak.

Znowu zaczynam wyężdżanie pamięci, czując na sobie spojrzenie pani z lisem. Kusi mnie, żeby sprawdzić ten tekst w internecie, a nie będę sprawdzał przy niej, kobiecie w szaliku z oczami. Krzywię się, ale przecież sam mam buty ze skóry, czy jest jakaś różnica? Tylko taka, że szalik z niczym się nie kryje i patrzy szklanym wzrokiem. A tekst wciąż ucieka, choć daję z siebie wszystko. Następnym razem przyjdę przygotowany, bo na razie to nie da się ukryć, że...

Pod powiekami Jankowska wcina świnkę morską.

To takie brzydkie, więc siłą woli rozsuwam powieki. Ksiądz spogląda mi w oczy z odległości metra, więc składam dłonie na

wysokości piersi jak do pacierza. Odruchowo. Przynajmniej z tym jest jak z jazdą na rowerze. Przechodząc, duchowny klepie mnie po ramieniu.

I próbuję od nowa. Zapomniałem wszystko, pamiętam raczej rytm niż słowa. Ciekawe, czy u niego też tak to wygląda, słowa garściami mu się sypią. Na pierwszy ogień poszły taksonomie, gatunek, rodzaj, rodzina, rząd, gromada, typ, królestwo. Wszystko po łacinie. I teraz zostało mu tylko królestwo, jest puste.

Ławka jest nawet miękka, w bucie coś uwiera, sięgam ręką, daleko, hen, bo nogi długie, więc kładę policzek na oparciu przede mną, jest chłodne i trochę lepkie, pachnie raczej miło, mam palec za cholewką i...

Pod powiekami Jankowska wcina świnę morską.

To takie, kurwa, brzydkie, więc kiedy wyczuwam ostry ból pod żebrem, to dyscyplinujący łokieć pani z lisem, prostuję się bardzo szybko. Co też pani robi?, morduję ją wzrokiem, ale tylko *pro forma*, w sumie jestem jej wdzięczny. Wstaję, odruchowo wykonuję znak krzyża, przy wtórze rozpoczynających poranną mszę dzwonek wychodzę na zewnątrz.

Tymczasem zrobiło się widno. Wciąż mroźnie.

Idiotyczna fontanna z układem słonecznym, po prawej od kosiółka, jak zawsze jest sucha. Rzut oka na telefon, do pociągu zostało mi tylko pięć minut, więc walę biegiem w Krakowską w kierunku PKP, miotając w głowie przekleństwa.

Jest w zasadzie jasne, że nie zdążę.

O powieści

Bohaterem powieści jest Szymon Kowalski, pięćdziesięciodwuletni nauczyciel akademicki, prowadzący zajęcia z etyki dla studentów medycyny. U jego ojca zdiagnozowano alzheimera, chory nie radzi sobie z codziennymi sprawami, jest coraz mniej samodzielny, więc Szymon przenosi się z Krakowa do Tarnowa, swojego rodzinnego miasta, żeby opiekować się tatą. Powieść pokazuje zmagania Szymona z chorobą ojca i stopniowym znikaniem Henryka. To główny wątek.

Bohater ma córkę, studentkę, z którą po rozwodzie z żoną miał luźny kontakt, a do której teraz próbuje się zbliżyć, napotykać opór. Kasia bardzo przeżywa chorobę dziadka. Komunikacja córki z ojcem to rwane rozmowy na czacie, mniej wnoszące do relacji niż kurczący się, często niezrozumiały z powodu alzheimera język Henryka.

Radzenie sobie z chorobą to także zmagania z nieprzyjazną pacjentom, szczególnie starszym, służbą zdrowia. Są one skontrastowane z zajęciami akademickimi Szymona, podczas których przekazuje studentom wiedzę o ideale i cnotach dobrego lekarza.

Bohater snuje gorzkie rozważania dotyczące opieki zdrowotnej, pracując nad zleconym mu przez szefową fakultetem na temat medycyny na usługach Trzeciej Rzeszy.

Tytuł powieści nawiązuje do koncepcji „niejednoznacznej straty”, doświadczenia rodzin osób z alzheimerem, których bliscy jednocześnie żyją, ale już ich nie ma, znikają bowiem wraz z gasnącą pamięcią i milknącym językiem.



Pozostałe teksty

Łukasz Borowiecki – *Trzymając kota w pudełku*

Natalia Ciejka – *Podwójny krąg*

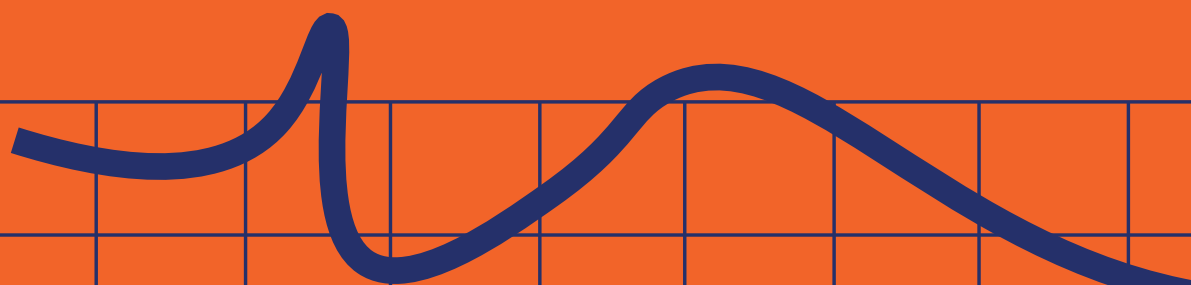
Kamila Jarońska – *Ruin and the change*

Bogusława Łuka – *Prosto żyć*

Michał Łukowicz – *Polot*

Suzanne Novaque – *Zemsta starych bogów*

Sylwia Zielińska – *Kolacja szczęśliwych par*



Trzymając kota w pudełku

Za oknami domu Chmurkowskich panowała nieprzyjemna, mroźna aura, ale wewnątrz z głośników sączyła się muzyka przywołująca na myśl raczej szum fal oraz upalne lato. Ogień trzaskał wesoło w kominku, a gospodarze, pochyleni wraz z parą przyjaciół nad tekturową planszą, robili wszystko, by uratować świat. Szereg brązowych butelek i salaterki pełne tłustych, chrupiących przekąsek o smaku fromage i wasabi, usytuowanych na wyciągnięcie ręki, świadczyły, że podstawowe potrzeby graczy zostały zaspokojone.

Gra szła im jako tako: jedna z chorób była uleczalna, a wynalezienie szczepionek na dwie kolejne stanowiło tylko kwestię czasu. Gorzej, że mieli za sobą trzy epidemie, a wskaźnik Skali Zachowań zbliżał się do krytycznej wartości. Musieli się maksymalnie skupić. Od tego zależał los ludzkości! Lecz nie było to wcale takie proste, zwłaszcza że wszyscy, poza ciężarną Perłą, mieli w sobie kilka wypitych piw. Marian wykonał właśnie swoje cztery akcje: przemieścił się z San Francisco do Los Angeles, usunął znacznik choroby z tego miasta, następnie przeniósł postać, którą kierował, do stolicy Meksyku, po czym przekazał kartę Perle, ale zamiast odsłonić na koniec dwie karty Zdarzeń, postanowił podnieść stawkę.

– Przyznajcie się, chyba nie zamierzacie go ochrzcić? – powiedział bełkotliwie i patrząc na Perłę, odwrócił wierzchnią kartę ze stosu. – To... to byłaby ta, no...

Ziściły się najczarniejsze przewidywania Chmurki. Czwarta epidemia!

– Hipokryzja! – wtrącił się Damian, zawsze gotowy do gnębienia bliźnich.

– Właśnie... hipokryzja – powtórzył niczym echo Marian.

Where did you go? Somebody help me. Oh no, you're on your own, wtórowała cicho głośnikom Perła, udając, że niczego nie usłyszała. A może wcale nie udawała? Gigantyczny brzuch sprawiał, że nie mogła spać. Nie pomagała w tym nawet dziwaczna, przypominającą kształtem cyfrę siedem, poduszka dla ciężarnych. Stan permanentnego niewyspania utrudniał jej skupienie się na grze, nie mówiąc już o podążaniu za wszystkimi wątkami oraz komentarzami rzucanymi przez pobudzone alkoholem towarzystwo.

Za to Chmurka od razu załapał. Westchnął ciężko. Było jasne, że gra jest praktycznie skończona. Nie uratują świata przed tymi przekłętymi, zmutowanymi bakteriami i wirusami. Na próżno się tak trudzili. Jego praca jako Badacza, Perły – Naukowca, Damiana – Budowlańca, a nawet Mariana – Pielęgniarsza, pójdą na marne. Nie uda im się wynaleźć na czas lekarstwa na pozostałe trzy choroby. Zakażeniu ulegnie jakieś nowe miasto, znacznik Skali Zachorowań przesunie się na przedostatni poziom, a potem czeka ich jeszcze Intensyfikacja. W jej trakcie infekcje niechybnie rozleją się z Ho Chi Minh City do Hong Kongu, Dżakarty, Manili, Bangkoku i Bóg wie gdzie jeszcze... Mieli tak bardzo przechłapanie! Czy mogło być jeszcze gorzej?

Z oczami wypełnionymi smutkiem oderwał wzrok od planszy, po czym spojrzął na przyjaciół z nieskrywaną pogardą. I jak on ma ratować świat z takimi?

– No... Nie myśleliśmy jeszcze o tym – zaczął pojednawczym tonem, łudząc się, że uda się im w jakiś cudowny sposób zakończyć tę partię zwycięsko. Może gdyby uspokoił chłopaków, wszyscy wróciliby do gry. Nie miał przecież wyrobionego zdania w sprawie ochrzczenia bądź nie swojego nienarodzonego dziecka. Nie wykluczał, przynajmniej na razie, żadnej opcji. Co nie oznaczało wcale, że którąś brał pod uwagę. Niestety, jego wrodzony talent do wszczywania nonsensownych kłótni oraz nigdy niedająca się do końca poskromić przekora dały o sobie znać i zaraz dodał:

– Ale to całkiem możliwe...

Marian i Damian tylko na to czekali. Perła tym razem zorientowała się, co się święci. Znała ich wszystkich nie od dzisiaj.

– No, ale po co w ogóle chcecie to robić? Dla rodziny? – wystrzelił zachwycony obrotem rzeczy Damian. – Nawet nie chodźcie do kościoła!

– Daj spokój, przecież wiadomo, że robi, co mu każe mamusia! – dorzucił swoje trzy grosze Marian.

Gdyby wzrok Chmurki mógł zabijać, Damian padłby trupem, a potem jego chłopak zapomniałby, na czym polega oddychanie. Robił, co mógł, ale żadna z jego parapsychicznych mocy nie chciała się aktywować. W konsekwencji obydwaj bawili się w najlepsze kosztem gospodarzy.

Oczywiście Chmurka zdawał sobie sprawę, że narodziny dziecka są doniosłym wydarzeniem. Zakładał, że jest ono dwa, może nawet trzy razy ważniejsze niż adopcja psa ze schroniska. Nie spodziewał się jednak, by wiązały się z tym jakieś większe kontrowersje. Dziecko to dziecko. Są rzeczy, które się im robi, i takie, których robić nie wypada. Do pierwszych zaliczyć można: przewijanie, kąpanie i smarowanie pupy odpowiednimi mazidłami, a do drugich – szczypanie, nadmierne potrząsanie czy podnoszenie za ręce. Te kwestie wyjaśniają położne w szkole rodzenia, filmiki w internecie oraz fachowe podręczniki, których mieli w domu po sam sufit. Teraz jednak, ku przerażeniu Chmurki, dotarło do niego, że to nie wszystko. Istnieje coś jeszcze – szara strefa rzeczy, które dzieciom się robi bądź nie, w zależności od tego, kim, gdzie i z kim się jest. Co gorsza, o czym Chmurka miał się jeszcze niejednokrotnie przekonać, strefa ta, nie dość, że rozległa, to najeżona jest minami i wymyślnymi pułapkami, wśród których przechadzają się dzikie, wygłodniałe bestie. Ewidentnie chrzest należał do tego dziwnego terytorium, kto wie, może nawet stanowił jego centrum.

Chmurka był przygotowany, że prędzej czy później doświadczy jakiejś presji na tle religijnym, ale musiał przyznać, że nie spodziewał się takiej, i nie z tej strony. Rodzice, wujkowie i ciotki,

teść byli potencjalnymi kandydatami, ale oni? Damian i Marian? I to jeszcze, nim usłyszał płacz swojego pierworodnego?

Spojrzał na Perłę, ale ona nie zamierzała się angażować. Został sam. Miał właśnie zakończyć tę idiotyczną dyskusję, a wraz z nią dwie znajomości, ale wtedy dotarło do niego, że wtedy nie miałby z kim ratować świata. W tej sytuacji, zamiast rozpętać piekło, pociągnął solidny łyk miłośława niefiltrowanego, spojrzał z żalem na niedokończoną, choć najpewniej i tak przegraną partię *Pandemii*, rozłożoną na środku stołu, po czym najspokojniej jak potrafił powiedział:

– No, dobra, jak wiecie, nie jesteśmy zbyt religijni...

– Słyszałeś? Niezbyt religijni! – Damian prychnął. – To trochę mało powiedziane. Poczekaj, gdzieś tu mam kilka nagrań z naszych dyskusji teologicznych...

Zaczął gorączkowo szukać czegoś w swoim telefonie, ale Chmurka, wyrrywając jednym ruchem urządzenie z jego ręki, dał Damianowi do zrozumienia, żeby tego nie robił.

– Nie jesteśmy zbyt religijni... – kontynuował, patrząc znacząco na Perłę. Miał nadzieję, że liczba mnoga sprawi, że jego partnerka zechce się włączyć do dyskusji. – Ale tak się składa, że katolicka wersja chrześcijaństwa nie jest nam całkiem obca. Uważamy, że pomijając drobne wady, jest to całkiem porządna religia, z niezłym zapleczem filozoficznym. A przynajmniej są gorsze...

– Niby jakie? – wtrącił się Marian.

– A słyszałeś o gościach, którzy twierdzą, że kości dinozaurów zostały podrzucone przez szatana?

Marian skinął nieznacznie głową, a Chmurce wydało się przez chwilę, że przez muzykę przebijają się jakieś dźwięki z zewnątrz.

– W każdym razie – perorował dalej, nie zważając na nic, uczonym tonem – uważamy, że lepiej pokazać dziecku jakąś sensowną religię, zanim obudzi się w nim głód duchowy i zacznie kiedyś poszukiwać na własną rękę...

Wciąż używał liczby mnogiej, ale Perły to nie ruszało. Błądziła wzrokiem po suficie, Chmurka nawet nie był pewny, czy go w ogóle słuchała.

– Właśnie! Niech sam sobie wybierze – pozwolił sobie nie zgodzić się Damian.

Chmurka westchnął.

– Tylko że wtedy może trafić na jakichś radykałów, sektę albo nie wiadomo co. Obawiam się, że bez bazy nie będzie potrafił dobrze wybrać.

– Powinieneś w takim razie pokazać mu różne... Te, no... – Marian znowu się zawiesił.

– Wiem, wiem... Różne opcje – dokończył za niego Chmurka. – Ale wiesz, to jest jak w szkole. – Wydawało mu się wreszcie, że ma dobry argument. – Dzieci nie uczą się na plastyce historii sztuki, a na muzyce historii muzyki. Zamiast tego malują i grają na...

– Na flecie! – tym razem, wcinając mu się w pół zdania, dokończył Marian.

Nim Chmurka odpowiedział, zdążył złapać kpiący uśmiezek Damiana, którym ten zawsze kwitował przejawy przemądrzałości swojego partnera. Chmurka uwielbiał te ich gierki i kpiny z siebie nawzajem.

– No właśnie! Z religią jest tak samo, niech się nauczy grać w jakąś religię, a jak już się nauczy, będzie mógł zrobić, co zechce. Może nawet wszystko olać. Nie będę miał nic przeciwko.

– W to akurat nie wierzę. Wszyscy tak mówicie, a potem nagle coś się dzieje, i trach! Ciskacie w każdego, niczym gwiazdkami *shuriken*, paragrafami z tego waszego katechizmu – wtrącił się Damian.

Chmurka zrobił wielkie oczy. Już miał zacząć wydzierać się na całe gardło: „JACY MY, JACY MY!?” , gdy zdał sobie sprawę, że tym, co słyszał od dłuższego czasu, było miauczenie. Ciche i jednoznaczne, dochodzące z zewnątrz.

– Słyszycie to? – zapytał i nim ktokolwiek zareagował, wstał od stołu. Otworzył na oścież drzwi balkonowe. Do środka wdarł się grudniowy ziąb. Za nim wbiegła Jej Puchatość Freja we własnej osobie. Wyminęła Chmurkę i popędziła prosto do kotłowni. Po chwili wszyscy usłyszeli, jak chrupie suchą karmę.

– Czy to ona? – zapytała szeptem podekscytowana Perła, wyciągając szyję tam, skąd dochodziło chrupanie.

Chmurka przytaknął, posyłając jej przy tym udręczone spojrzenie. Wszystko na nic. Nikogo nie przekonał: ani chłopaków, ani Perły, ani tym bardziej samego siebie. Po chwili, wskazując dłonią na rozłożoną na stole grę, powiedział zrezygnowany:

– Lepiej może już rozpatrzmy tę kartę.

Wzięli się do roboty. Oczywiście czwarta epidemia sprawiła, że świat rozwalil się na drobne kawałki. Ich porażka była ostateczna i nieodwołalna, a grali przecież na najniższym poziomie trudności!

Obojętna na to Perła zapadła tymczasem w letarg, nucąc: *Lifetimes passing by, Where did you go?, Feels like we fall behind, Waiting for a sign, can anybody help me?*, i gładząc się po wielkim brzuchu. Nie mogła się już doczekać, aż Freja łaskawie przyjdzie się z nią przywitać.

Zacząło się wkrótce po tym, gdy rozdali jej dzieci. Dwójka pojechała do Holandii, trzecie do sąsiedniej gminy, a kolejne trafiło do rodziny mieszkającej kilka domów od nich. Im zostało piąte – dwukolorowy kociak z białą strzałką à la David Bowie na pyszczku, zwany Małym.

Żadnej z tych decyzji nie uzgadniali z Freją. Na początku przejęta kocia mama wzywała donośnym miauczeniem zaginione dzieci, biegając po całym domu, ale w końcu zawsze dawała za wygraną. Może po odbyciu odpowiednio długiej żałoby dochodziła do wniosku, że trzeba ruszyć dalej, albo może zwyczajnie o nich zapominała – tego Chmurkowsy nie byli pewni.

Bez wątplenia jednak kotka coraz mniej czasu spędzała w domu. Zupełnie jak gdyby, uwolniona od obowiązku rodzicielskiego, mogła wreszcie się wyszumieć albo kto wie, utopić smutki

w setkach godzin podchodów, czasem wieńczonych bestialskimi mordami. Najpierw znikąca na dzień i noc, po których wracała wyraźnie wyczerpana, a czasami głodna. Przesypiała kilka godzin na kanapie, po czym ruszała dalej. Potem, już w zimie, były to dwa, trzy dni. Niepostrzeżenie jej wypadki wydłużyły się do tygodnia, a nawet miesiąca. Freja wpadała już wtedy tylko na krótkie drzemki energetyczne, sprawdzając przy okazji, czy Chmurka i Perła jeszcze żyją.

W tym czasie kwestia statusu duszy Bonifacego stała się częścią ich codzienności.

– Czy myśleliście już – zakłócenia na linii sprawiały, że głos matki dochodził jak z zaświatów – kim będą chrzestni?

Znając ją, Chmurka powinien był spodziewać się czegoś takiego. Ale się nie spodziewał. Od dnia porodu zarówno jego myśli, jak i ręce zajęte były bardziej przyziemnymi sprawami: gotowaniem, pieluchowaniem, noszeniem i bujaniem. Mało tego, Bonifacy miał pecha – drobna niedoróbka w postaci ubytku międzykomorowego sprawiła, że czekała go operacja, gdy tylko nabierze odpowiedniej wagi oraz rozmiarów. Choć lekarze zapewniali, że wada jest stosunkowo łatwa do naprawienia, młodzi rodzice i tak przeżywali katusze. Myśl, że ich aniołek zostanie uśpiony, pokrojony, a następnie zszyty, sprawiała, że czekali na zabieg jak na wyrok.

Perła, która powoli dochodziła do siebie po porodzie, trwonila siły na obwinianie się o spowodowanie dziury w sercu Bonifacego. Czy to dlatego, że przez pierwszy trymestr żyła w permanentnym stresie? A może nie powinna wtedy malować pokoju na gorze? Za mało czy za dużo się ruszała w trakcie ciąży? Coś musiało przecież być nie tak! Chmurka robił, co mógł, starał się rozbijać każde z jej samooskarżeń. Jedno po drugim, dzień po dniu. Jak więzień jakiegoś perwersyjnego kamieniołomu, w którym musiał całymi dniami kruszyć ogromne głazy, dysponując tylko młotkiem do wbijania gwoździ.

Wszystko to miało się wkrótce skończyć, dostali bowiem termin przyjęcia Bonifacego do szpitala. Chmurka zadzwonił do matki, by ją o tym poinformować.

– Nie, nie myśleliśmy – odpowiedział cicho.

– No bo wiesz... – Jego niepewność sprawiła, że głos w słuchawce przybrał na sile. – Powinniście ochrzcić go przed tą operacją.

Te słowa sprawiły, że poczuł delikatne łaskotanie na twarzy, które po chwili przybrało na sile, rozchodząc się po całym ciele: przez plecy, klatkę piersiową i brzuch, aż po same końce palców rąk i nóg.

– Nie wydaje mi się – warknął. – Chrzcziny nie są najważniejszą rzeczą teraz.

W jednej chwili irytujące mrowienie gdzieś uleciało, zamieniając się w satysfakcję ze sprzeciwu okazanego matce. Po drugiej stronie zapadła głucha cisza wypełniona urazą.

– Nie wydaje ci się... – dotarło do niego słabe echo jego własnych słów.

A potem znowu nic.

– W takim razie... Czy w ogóle zamierzacie ochrzcić Bonifacego?

– Nie wiem, zobaczymy. – Głos trochę mu zadrżał. Aby to zamaskować, Chmurka dodał: – Chrzest nie jest, naszym zdaniem, produktem pierwszej potrzeby.

Cisza, która nastąpiła, zdawała się trwać nieskończenie długo. Chmurka postanowił, że wytrzyma. Raz, dwa, trzy, cztery... Gdy doszedł do czterdziestu siedmiu, matka powiedziała:

– Dobrze – głęboko westchnęła – zrobicie, co chcecie...

– Dokładnie. To jest nasze dziecko. Zrobimy, co...

– No to na razie, pa! – przerwała mu, po czym się rozłączyła.

Zaklął pod nosem. Czy to wydarzyło się naprawdę?

Musiał o wszystkim opowiedzieć Perle. Ona jednak, zamiast rozładować atmosferę, zaczęła... ryczeć. Cała Perła. Na szczęście Bonifacy miał wszystko gdzieś i spał sobie grzecznie w łóżeczku obok. Po pierwszej fali płaczu złapała dziecko za rączkę i powiedziała łamiącym się głosem:

– Czyli mamy go ochrzcić na wypadek, gdyby... gdyby coś poszło nie tak? Żeby nie trafił do... piekła?

– Jeżeli już, to chyba do otchłani – doprecyzował ponuro Chmurka.

Perła miała to gdzieś. Łzy lały się ciurkiem po jej policzkach.

– Twoja mama myśli, że operacja może się nie udać... Dlaczego zakłada, że coś mu się stanie?

Chmurka przytulił Perłę. Najspokojniejszym tonem, na jaki było go stać, powiedział:

– Spokojnie, przecież nie o to jej chodziło.

Spojrzała na niego szklistymi oczami.

– A o co?

No właśnie, o co? Przecież to jasne jak słońce, co miała na myśli. Interpretacja Perły była bezbłędna. Istniała oczywiście druga możliwość, że matka miała na myśli zwyczajną przychylność bóstwa, które sterując całym światem, ziemskim i nadziemskim, kieruje też dłońmi chirurgów, anestezjologów oraz całego personelu szpitalnego. W tej wersji chrzest miał sprawić, by spojrzało ono przychylniej na Bonifacego.

Tylko kretyn mógłby pomyśleć, że nie chodziło o jedno albo drugie. Najwyraźniej jednak Chmurka był kretynem, i dlatego musiał coś szybko wymyślić.

– Ona uważała i uważa, że chrzest powinien odbyć się jak najszybciej, najlepiej zaraz po narodzinach. To jest, jej zdaniem, obowiązek katolika – powiedział szybko, przybierając belferski ton, aby dodać swoim słowom powagi. – A ponieważ według niej własność bycia katolikiem jest dziedziczna, to jest oczywistym, że skoro ona jest katoliczką, to jej dzieci również są, a co za tym idzie, także jej wnuki...

Nie był do końca zadowolony z jakości swego wyводу. Spojrzał niepewnie na żonę. Jej mózg przetwarzał to, co właśnie usłyszała.

– Dlaczego w takim razie powiedziała, że trzeba ochrzcić Bonifacego przed operacją?

Akurat na to pytanie miał gotową odpowiedź.

– Ponieważ pobyt w szpitalu, operacja i rekonwalescencja zajmą sporo czasu, nawet miesiąc. A to strata dla duszy dziecka – próbował zażartować. – Mówię ci, tu obowiązuje zasada: im prędzej, tym lepiej.

I kto wie, może udałoby mu się ta strategia, gdyby nie to, że dwa dni później nadszedł kolejny cios. Wymierzył go ojciec Perły. Suggestia była identyczna jak poprzednio: powinni ochrzcić chłopca przed zabiegiem. Na pewno nie zaszkodzi, a kto wie, może nawet pomoże. Chmurka z premedytacją to zignorował. Poczował się być może do obowiązku tłumaczenia swojej matki, ale nie zamierzał robić tego samego w wypadku teścia. Nie jego sprawa.

Następnej nocy śnił, że ubrany w fioletową tunikę, zawzięcie szorował ręce w złotej misie wypełnionej lodowatą wodą. Potem próbował wytrzeć je w coś miękkiego. Freję? Małego? Biedne stworzenie nie czuło się dobrze w roli ręcznika. Gryzło i drapało Chmurkę z całych sił, aż wreszcie jego dopiero co umyte ręce całe były we krwi.

Na jawie wcale nie było lepiej.

– Szkoda, że tak mówisz – wysyczał. – A myśleliśmy, że będziesz taką dobrą matką chrzestną...

Po miesiącach spędzonych na użeraniu się z ludźmi żywo zainteresowanymi religijną przyszłością Bonifacego już samo wywołanie tematu powodowało białą gorączkę. Wydawało mu się, że na każdym kroku spotykał kogoś, kto miał taki bądź śmaki pogląd w sprawie chrzczenia dzieci i nie omieszkał go o tym poinformować. Zaczynał wręcz podejrzewać powszechną zмовę, która polegała na zaplanowanym i systematycznym prześladowaniu go z powodu jego indyferentnego stosunku do kwestii poddawania Bonifacego sakramentom.

Tym razem swą powinność wypełniała siostra Perły. Wkurzyła go już na wstępie. Co go obchodziło, że według niej tylko praw-

dziwi katolicy – czytaj: głęboko wierzący, chodzący minimum raz w tygodniu do kościoła, o bogatym życiu duchowym – powinni chrzcic swoje dzieci. Oczywiście ani teologia, ani duchowość, a już tym bardziej sprawy wiary w ogóle nie interesowały Róży, co jednak nie przeszkadzało jej mieć wyrobione zdanie na ich temat. Zdanie, którego nie mogła zachować tylko dla siebie. Przecież by się zmarnowało.

Chmurka, w ramach wdzięczności za ten „dar rady”, powiedział, że marzy o tym, by została matką chrzestną Bonifacego.

– Ooo, naprawdę? – Zgodnie ze sprytnym kontrplanem jej ego zostało mile polechtane.

Zaraz jednak dodała:

– Ale przecież i tak bym nie mogła. Nie dostanę rozgrzeszenia, jestem bez ślubu kościelnego.

Spojrzała na Chmurkę z urażoną miną, świadczącą o tym, że przejrzała jego nieczystą grę.

– Oj tam, zaraz nie dostaniesz. – Nie dawał za wygraną. – Na spowiedzi powiesz księdzu to, co chce usłyszeć, a wtedy podpisze ci papierek...

– Co powiem?

– Że wasze małżeństwo to jest białe albo coś. To nic takiego...

Zrobiła wielkie oczy.

– Przecież wtedy będzie nieważne.

– Co będzie nieważne? – prychnął.

– No chrzest! Chrzest będzie nieważny. Tak nie można!

Na twarzy Róży odmalowało się zażenowanie.

– Jak to? Będzie! – Niechcący podniósł głos. – Przecież nie ty go udzielasz.

– Ale jak umrzecie – posłała mu mordercze spojrzenie – będę

musiała wychować Bonifacego. I to po katolicku!

Wzruszył ramionami.

– No to wychowasz. Zostawię ci w testamencie instrukcje. Co ma do tego fakt, że nakłamałaś księdzu na spowiedzi? Bez sensu.

Obrażona Róża nic więcej nie powiedziała. Całkowicie mu to odpowiadało. Jeżeli jej dąsy mają sprawić, że da mu spokój, to jak dla niego może się dąsać do woli.

Freja również się obraziła. Po pierwsze, na nich za to, że rozdali jej dzieci, zanim była gotowa się z nimi rozstać. Po drugie, na Małego za to, że nie zniknął z jej życia, gdy tego od niego oczekiwała. Chmurka podejrzewał, że to dlatego stopniowo zrywała kontakt.

Był to jeden z tych procesów, które postępują na tyle wolno, że gdy znaleźć się w ich bezpośrednim sąsiedztwie, nie sposób cokolwiek zauważyć. Dopiero gdy jest już za późno, człowiek zdaje sobie sprawę z tego, co się wydarzyło. Chmurka nie potrafił zatem długo dostrzec, do czego prowadzą coraz rzadsze wizyty Frei w ich domu, ale było dla niego jasne, że z jego ojcem, mieszkającym w odległości stu kilometrów, jest niedobrze. Z każdą wizytą w domu rodzinnym ze smutkiem odnotowywał pogarszający się ogólny stan zdrowia rodzica; jego matowiejącą cerę, powiększające się plamy na skórze, wychudzenie i słabość.

A jednak gdy ojciec po raz kolejny szedł do szpitala, nikogo, łącznie z Chmurką, to specjalnie nie zmartwiło. Wszyscy spodziewali się, że spędzi tam kilka dni, najwyżej tydzień, po czym wypuszczą go do domu. Zbiegło się to w czasie z planowanym zabiegiem Bonifacego. Młodzi Chmurkowscy całą uwagę przekierowali właśnie tam, zawierając los Chmurki seniora uzasadnionemu skądinąd indukcyjnie przekonaniu, że tak jak wcześniej, jakoś to będzie. Ale nie. Czasami indukcja musi przypomnieć o swojej zawodności.

Gdy Chmurka zadzwonił do matki z informacją, że Bonifacy będzie operowany nazajutrz, dowiedział się, że ojciec zmarł dwie godziny wcześniej. W innych okolicznościach zapewne długo dochodziłby do siebie, ale wtedy nie mógł sobie na to pozwolić.

Musiał być twardy dla Bonifacego, a przede wszystkim dla Perły, która i tak była na granicy wytrzymałości. Nie powiedział jej o niczym aż do następnego dnia, kiedy mogli na własne oczy przekonać się, że łąkanie serca ich dziecka przebiegło pomyślnie. Tymczasem tłumił w sobie emocje, udając przed Perłą i resztą świata, że nic złego się nie wydarzyło.

Trzy tygodnie później przy stole kuchennym w domu rodzinnym Chmurki jego matka ze łzami w oczach opowiadała o ostatnich chwilach ojca. Słuchając jej, ganił się w myślach za to, że tak rzadko tam bywał. Mieszkanie w innym mieście nie było żadną wymówką. Mógł przyjeżdżać znacznie częściej, spędzać więcej czasu z ojcem, choćby oglądając z nim telewizję. Fakt, trudno było się porozumieć, mimo to Chmurka mógł bardziej się postarać. W tamtym momencie historii świata był w pełni sił, a jego ojciec u ich kresu, piłka zatem czekała na zagranie Chmurki. Powinien był ją kopnąć. Dręczyły go więc wyrzuty sumienia, że tego nie zrobił.

– Kiedy był już bardzo słaby – matka miała łzy w oczach – prosił, żeby jego trzynastą emeryturę przekazać Bonifacemu. Z okazji chrztu...

Treść jej słów nie od razu dotarła do samobiczującego się Chmurki.

– Kupiłam kartkę, kopertę i włożyłam do niej te pieniądze. Pokażę ci...

– Poczekaj, mammo! – Oprzytomniał nagle. – Chcesz powiedzieć, że tato na łożu śmierci postanowił przekazać swoją dodatkową emeryturę Bonifacemu?

– Och, na jakim łożu? – uniosła się pani Chmurkowa. – Normalnie leżał na łóżku szpitalnym, gdy o tym rozmawialiśmy...

– No, ale co dokładnie powiedział?

Mina zdradzała zakłopotanie, że matka trochę się zagalopowała. Mimo to, jak wszyscy Chmurkowsy w podobnych sytuacjach, brnęła uparcie.

– Posłuchaj, dałabym ci te pieniądze już teraz, ale miało być z okazji chrztu...

Nie chciał tego słuchać. Gdzie podziały się żal i smutek, które tak dojmująco rezonowały w jego wnętrzu jeszcze minutę temu? Zniknęły, a ich miejsce zajęło niedowierzanie, przechodzące stopniowo w irytację.

Chciał powiedzieć, co myśli o tym przebiegłym planie, jak bardzo zabolalo go, że próbowała zagrać na takiej nucie. Postanowił jednak załatwić to inaczej.

– No to będziesz musiała tę kopertę zatrzymać. My chyba nie jesteśmy wystarczająco katolicy. Wiesz, w szpitalu ksiądz chciał pobłogosławić Bonifacego przed operacją, ale odmówiliśmy.

Nie była to do końca prawda. W szpitalu był ksiądz, ale oni po prostu nie skorzystali z jego usług. Nikt im nie oferował żadnego błogosławieństwa, ale Chmurka musiał się jakoś zrewanżować za przykrą próbę korupcji.

Mina matki powiedziała mu, że przesadził. Rozmowa była skończona.

Nie powinien był jej tego robić. Nie po tym wszystkim, co ostatnio przeszła. Chciała przecież jak najlepiej dla Bonifacego, a ponieważ wiązało się to, w jej opinii, z wprowadzeniem go na łono Kościoła katolickiego, robiła wszystko, by dopiąć swego. Jej syn rozumiał to doskonale, choć równocześnie nie mógł znieść, że dla jego matki cel uświęca środki, a święty cel uświęca je podwójnie. Chmurka nie potrafił na to przystać. Musiał pokazać jej i całemu światu, że razem z Perłą i Bonifacym tworzą niezależną komórkę społeczną. Dlatego nie zamierzał się ugiąć.

Nie wiedział tylko, co to właściwie znaczy w tym wypadku. Czy nieugiętość jest tożsamość z ochrzczeniem Bonifacego? Czy wprost przeciwnie?

To, że istniało – pozorne, ale jednak – wyjście z tej sytuacji, dotarło do Chmurki niedługo później. Bonifacy skończył właśnie cztery miesiące, dumnie wkraczając w złoty wiek niemowlęctwa, a życie Chmurkowskich po okresie chaosu i gruntownej

restrukturyzacji zaczynało się stabilizować.

Rozmawiał przez płot z sąsiadem, panem Zenonem, którego wszyscy nazywali Zenkiem. Był to postawny, brzuchaty mężczyzna, co najmniej dwa razy starszy od niego. Być może dlatego Chmurka nie potrafił myśleć o nim inaczej niż „Zenon”. Ten „Zenek” jakoś mu nie pasował.

– A ile wy tych kotów macie tak w ogóle? – zapytał Zenon. – Wiedziałem, że biegały jakieś małe, bardzo do siebie podobne.

– Były, ale rozdaliśmy. Teraz są – Chmurka podrapał się po głowie – dwa.

Sąsiad pokiwał w odpowiedzi, drapiąc się przy tym po podwójnym podbródku.

– Jakie one łowne! Wszystkie myszy mi w garażu wyłapały.

Chmurka się stropił.

– Ojej, przepraszam! Nie wiedziałem, że się tak panoszą.

Zenon tylko machnął wielką jak łopata ręką.

– E tam! Do domu też nam włożą.

– Bardzo mi przykro. – Chmurka przeknął ślinę. – Będziemy je zamykać...

– A gdzie tam! Takie łowne koty to skarb!

Chmurka odetchnął z ulgą.

Rozmowa wróciła do niego wieczorem, podczas usypiania Bonifacego. Ile oni właściwie mają tych kotów? Jednego na pewno. Ale dwa? Raczej trudno utrzymać, że się ma dwa koty, jeżeli jednego z nich widuje się raz na kilka tygodni, i to tylko wtedy, kiedy on tego chce. Więc nie, na pewno nie dwa. A z drugiej strony więcej niż jednego. W końcu Freja je i śpi w ich domu, przynajmniej czasami. Więc ile? Półtora? Chciałby zobaczyć minę pana Zenona, gdyby oświadczył mu, że to właśnie należące do nich półtora kota wyłapało myszy w jego garażu.

Z zadumy wyrwał Chmurkę szept Perły, która niepostrzeżenie stanęła obok i patrząc na śpiącego w jego ramionach Bonifacego, zapytała:

– No to jak, chrzczimy... czy nie?

Nie był zdziwiony. Wiedział, że ten moment kiedyś nadejdzie.

Wszystkich innych, a w szczególności tych, którzy przejawiali niezdrowe zainteresowanie zbawieniem Bonifacego, mógł z czystym sumieniem zbyć. Odburknąć, że – w zależności od tego, kto by spytał – chyba ochrzczą lub że raczej nie, a potem droczyć się w trakcie mniej lub bardziej zabawnej przepychanki słownej. Ale Perły, miłości jego życia, nie mógł potraktować w taki sposób. Problem polegał na tym, że nie był gotowy na tę rozmowę, nie wiedział, co odpowiedzieć. Najchętniej krzyknąłby: „Półtora!”, ale obawiał się braku zrozumienia. Postanowił zatem zastosować starą metodę mędrców i przez dłuższą chwilę znacząco milczał.

Perła była jednak zdeterminowana.

– Już chyba pora, żeby coś z tym zrobić, he?

Czyli jednak. Podjęła decyzję.

Jeżeli chodziło o niego, wszystko mogłoby zostać tak, jak jest. Od pozytywnego zakończenia operacji Bonifacemu niczego już nie brakowało. Był kompletnym niemowlakiem, a co za tym idzie, kompletnym człowiekiem. Po co jeszcze przy nim gmerać? Choć z drugiej strony, Chmurka nie był całkiem przeciwny chrztowi; oczywiście nie był też całkiem za. Chciałby zrobić coś pomiędzy jednym a drugim, albo może lepiej: wszystko naraz. Tak! Superpozycja wszystkich stanów duszy Bonifacego zadowolilaby go w zupełności. Bycie i zarazem niebycie ochrzczonego. Z tego rodzaju nieokreślonością mógłby żyć.

Tyle że świat nie znosi nieokreśloności. Ich półtora kota kiedyś, zapewne niepostrzeżenie, stanie się jednym i ćwiercią kota, a potem może jednym i jedną dziesiątą, jedną setną, aż w końcu zwinie się do prostej, nudnej jedynki – jednego, nudnego kota. Małego. Freja całkiem się ich wyprze. Chmurka mógłby jeszcze

miesiącami, jeżeli nie latami, przekomarzać się ze zwolennikami którejś z opcji, ale jeżeli ostatecznie głowa Bonifacego nie zostanie skropiona przed ołtarzem, to jego wybór stanie się w końcu oczywisty. Z półtorej zrobi się jeden. Albo dwa.

Przyszedł mu do głowy inny kot. Schrödingera. Zamknięty w specjalnym pudełku, może być zarówno żywy, jak i martwy. Zgodnie z zapewnieniami słynnego fizyka, ten wspaniały stan utrzyma się tak długo, jak długo pudełko pozostanie zamknięte.

Tylko że to nieprawda.

Nie da się trzymać kota w pudełku w nieskończoność. Po jakimś czasie zwierzak z całą pewnością zdechnie. Z głodu, braku powietrza lub ze stresu.

Chmurka nie wiedział, co Schrödinger zrobił ze swoim kotem, ale podejrzewał, że jeżeli była jakaś pani Schrödingerowa, na pewno nie pozwoliłaby skazać zwierzęcia na niepotrzebne cierpienie. Może było tak, że pudełko z kotem stało w przedpokoju ich mieszkania już od jakiegoś czasu, a zapalony naukowiec nie pozwalał go nikomu tknąć. Pewnego wieczora, gdy Schrödinger usypiał Schrödingerociątko, jego żona wyszeptała mu do ucha:

– Już chyba pora, żeby coś z tym zrobić, hę?

I wtedy Schrödinger zrozumiał, że musi wypuścić kota.

Chmurka również to rozumiał. Wiszące między nimi Perłowe „hę” nie pozostawiało wątpliwości. Było jasne, że musi otworzyć pudełko, a wtedy wspaniała superpozycja zredukuje się w jednej chwili do banalnego faktu: dziecko ochrzczone, dziecko nieochrzczone. I pomimo że sam nie wiedział, co ujrzy w środku, doskonale rozumiał, że jest już po wszystkim. Zabawa właśnie się skończyła.

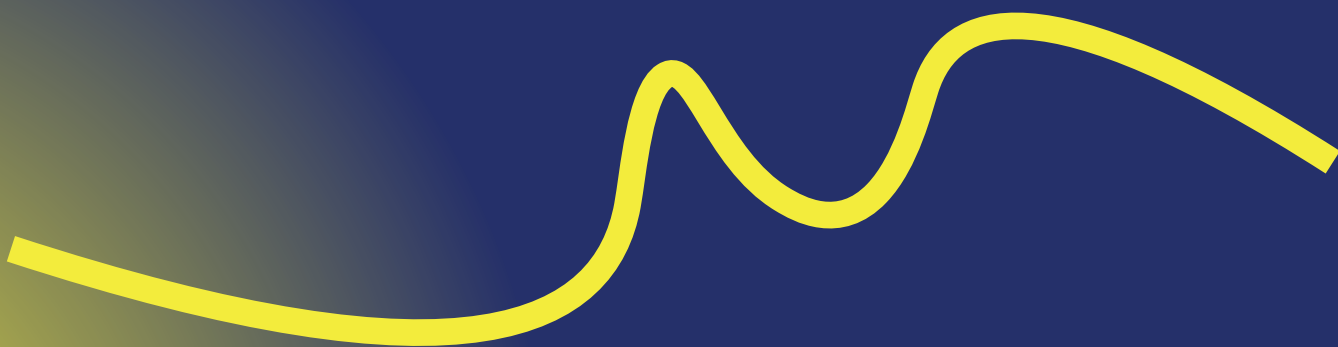
Ostrożnie odłożył Bonifacego do łóżeczka. Zamknął oczy.

Wyobraził sobie duże kartonowe pudło oraz własne dłonie odklejające taśmę, którą było zalepione. Wtedy właśnie, nim jeszcze zdołał zajrzeć do środka, w nozdrza Chmurki uderzyła silna woń padliny.

O powieści

Trzymając kota w pudełku należy do cyklu dziewięciu opowiadań tworzących zbiór pt. *Trójwartościowy człowiek*. Łączy je postać głównego bohatera, Romka Chmurkowskiego, zwanego Chmurką oraz jego żony Perły, nowonarodzonego syna Bonifacego, ich zwierząt domowych, rodziny i znajomych. Tytuł książki odnosi się do opracowanego na początku XX wieku przez Jana Łukasiewicza systemu logiki trójwartościowej, będącego odpowiedzią na niedostatki stosowanej dotychczas w opisie świata tradycyjnej logiki. Zakładała ona, że zdania mogą posiadać tylko jedną z dwóch wartości logicznych, prawdy lub fałszu. Polski filozof zaproponował dodanie trzeciej, pośredniej wartości, co miało dać możliwość lepszego uchwycenia złożoności świata. Sto lat później młode małżeństwo Chmurkowskich musi mierzyć się z całkiem innymi, nie tak na pozór doniosłymi problemami jak te, przed którymi stał Łukasiewicz: motywacją do posiadania dzieci, związanym z tym lękiem, religijnym wychowaniem potomstwa, wyobcowaniem społecznym młodych rodziców, ich wzajemną relacją w nowym układzie, a przede wszystkim postawą wobec zmian środowiska naturalnego. Choć Chmurka i Perła są podejrzliwi w odniesieniu

do wartości wyznawanych przez pokolenie ich rodziców, nie zamierzają bezrefleksyjnie przyjmować tego, co podsuwa im otoczenie. Tu właśnie mają źródło podejmowane przez bohaterów, a równocześnie bliskie sposobowi myślenia Łukasiewicza, poszukiwania nowych rozwiązań dla starych problemów, karkołomne nieraz próby wyjścia poza utarte schematy i dążenie do wypracowania zniuansowanej postawy wobec rzeczywistości.



Podwójny krąg

Każdy bit danych prowadził do diagnozy. Oszalałam. Serwer posiadał całą wiedzę medyczną. Mógł rozpoznać każdą chorobę. Tylko nie mógł mnie wyleczyć. Przetarłam popękane szkło na ekranie, jakbym chciała przeprosić telefon za te krzywdy i zbrodnie, by teraz, choć raz, mi pomógł. Ale *proxy* wciąż broniło dostępu do serwera. Podniosłam wzrok, lecz tylko na moment, by przypomnieć sobie, dlaczego tak uparcie wpatruję się w ekran. Kilka razy zawahałam się przed przyjściem tutaj. Zamkną mnie, myślałam, ale już wolę to, niż cały czas ich widzieć.

Strona załadowała się. Mój wzrok przebiegł po podświetlonych liniijkach tekstu, a serce powoli przyspieszało rytm. Bum. Bum. Uderzało coraz mocniej. Szum w uszach nasilał się. Wdech. Wydech. Wdech. Nie mogło być tak źle. A jednak gasnące liniijki tekstu przepowiadały najgorsze. Mania, schizofrenia, rak mózgu... Same wyroki. Zapadające tylko raz.

Wszystko to działo się w mojej głowie. Czemu w to wierzyłam? Czemu wydawało się to tak realne? Jestem rozsądna. Racjonalna. Nie tak łatwo wmówić mi kłamstwo. Powinnam sobie z tym poradzić. Wyprzeć to. Zresetować się. I znów funkcjonować. Normalnie.

Drzwi zaskrzypiały. Nie podnosiłam wzroku, bo było ich tu zbyt wiele. Zbyt wiele, by nie oszaleć. Ktoś wyszedł z gabinetu i oddalił się. Drzwi pozostały uchylone. Wzywały mnie. Wstałam, chowając telefon do kieszeni, i pokonałam drogę do gabinetu. Zatrzymałam się na progu.

– Można wejść – usłyszałam. – Nie połykamy tu w całości.

Poczucie humoru. Atut? Czy ostatnia linia obrony? Przekroczyłam próg. Zamknęłam za sobą drzwi i uniosłam głowę. Odetchnęłam. Tu ich nie było.

– Pani Weronika? – zapytał lekarz.

Skupiłam na nim wzrok. Niebieskie oczy nie patrzyły na mnie jak na wariatkę. Uspokój się, nakazałam sobie w myślach. To jego praca. Tu ich raczej nie ma.

– Tak – powiedziałam.

– Proszę usiąść. Nazywam się Piotr Garbowicz, jestem psychiatrą od sześciu lat i też często się denerwuję, ale nie dostaję pieniędzy za straszenie ludzi. Choć pewnie to byłoby prostsze. – Uśmiechnął się i wyciągnął z szuflady plik kartek.

Jasne, ostrzyżone włosy, kanciasta twarz. Młody. Czy nie za młody? Wokół oczu pajęczynki zmarszczek od śmiechu, skryte za okrągłymi okularami. Zawsze wierzyłam w oczy. Te były przejrzyste. Zupełnie jakby chciał mnie wpuścić do swojego świata. Ale to ja przyszedłam odsłonić przed nim swój. W dodatku świat, którego wcale nie chciałam poznać.

– Co panią do mnie sprowadza?

Usiadłam i zawahałam się, bo nie wiedziałam, jak zacząć. Czy od początku, gdy jeszcze ignorowałam objawy? Czy od momentu, gdy było już bardzo źle? Wciąż bałam się tego słowa. Wariatka. Wciąż nie byłam pewna, czy po tej wizycie na moim czole nie odcisnie się piętno. Cisza przeciągała się, Garbowicz nie wykazywał zniecierpliwienia.

– Może w tym momencie wciąż się pani boi – powiedział – ale proszę zdać sobie sprawę, że słucham codziennie o przedziwnych rzeczach i niewiele mnie już w życiu dziwi. A zważywszy na to, że pani tu trafiła, wnioskuję, że jest pani odważna i nie przyszła tylko sprawdzić miękkość tutejszych krzesel.

Były twarde. Nie wiedziałam, ile w tych słowach było szczerości, a ile rutyny, ale z oczu lekarza biło coś dobrego, coś uwidaczniającego się wśród zmarszczek. Zbyt głębokich, zbyt gęstych. Za oknem zapadał zmrok, a ja byłam ostatnią pacjentką. Pewnie lekarz myślał o tym, by iść już do domu, a jednak nie poganiał mnie, nie popędział. A ja chciałam pomocy. Nie, inaczej. Potrzebowałam pomocy.

– Dostaję paranoi – rzuciłam zbyt prędko.

– Co ma pani na myśli?

– Miewam... omamy – powiedziałam ostrożnie. – Widzę obce istoty.

Długopis z miejsca zaznaczył coś na papierze.

– Proszę je opisać. Kiedy się pojawiają, czy mają jakieś charakterystyczne cechy, jak często takie sytuacje się powtarzają?

Przywołałam na nowo ich obraz. Zarys ciał żywiących się ludźmi. Drgających, nierealnych, a jednak permanentnie odcisniętych w pamięci.

– Nie... – zawahałam się. – Nie wiem...

Mężczyzna pokiwał głową i sięgnął po oprószony śnieżynkami kubek. Upijając łyk płynu, skrzywił się z niesmakiem, zajrzał do środka i odsunął od siebie naczynie. Długopis znów trafił do jego dłoni, a spojrzenie skierowało się na mnie wyczekująco.

– Może zacznę od początku? – powiedziałam. – Tak będzie mi najłatwiej.

– Jasne.

– Pierwsze oznaki paranoi zaczęłam dostrzegać pół roku temu. Może zaczęło się wcześniej, nie wiem... ale wtedy je zauważyłam. Były to drgania powietrza, zupełnie jak w upał, jak wtedy, gdy otworzy się piekarnik i buchnie w nas gorącem. Myślałam, że to ze zmęczenia, to możliwe, prawda? Ale później zaczęły się wakacje, skończyłam sesję i miałam mniej... Wysypiałam się, odpoczęłam. A te złudzenia nie zniknęły. Wydawało mi się głupotą, żeby robić z tego problem, to przecież nic takiego, prawda? Są gorsze rzeczy.

Wbiłam w niego spojrzenie. Chciałam potwierdzenia, że postępowałam racjonalnie, że choć część mojego umysłu jest jeszcze sprawna i podejmuje sensowne decyzje.

– Hm... zapytam tak. Czy jeśli boli panią ząb, to zastanawia się pani, czy są gorsze rzeczy, czy od razu idzie do dentysty?

Nie myślałam o tym w ten sposób. Jednak choroby psychiczne są dużo bardziej przerażające niż ból fizyczny. Idąc do dentystry, liczymy się z ryzykiem, że możemy stracić ząb. Że nie będzie wyjścia. Trudno. To tylko ząb. Można go czymś zastąpić. Ale gdy boli dusza, obawiamy się, że w trakcie leczenia stracimy jej część. A jej zastąpić się nie da.

– Niby tak. Ale tego nie zrobiłam. Nie przyszłam wcześniej. Może powinnam? – Pokręciłam głową i spojrzałam w okno na światła miasta. Na mrok, który skrywał demony. – Z czasem drgania nasiliły się. Zaczęłam dostrzegać pewne zależności w tych... hm... wizjach? Drgania pojawiały się nad ludźmi. Tak jakby to oni je emitowali. Zaczęłam nawet wierzyć, że widzę ludzkie aury... to głupie, wiem, ale niektórzy mówią o takich rzeczach, a jak coś się widzi, łatwiej w to uwierzyć. A jakoś musiałam to sobie wytłumaczyć.

Teraz ta teoria wydawała mi się niedorzeczna. Jednak jeszcze nie wiedziałam, w co się przekształcały moje omamy. Nie miałam pełnego obrazu mojego obłądu.

– Czyli widzi pani drgania?

– Nie. Już nie. Z czasem nabrały kształtów, aż byłam w stanie dostrzec ich sylwetki. Sylwetki istot, które przysysają się do ludzi, jakby się nimi żywiły. Wiem, jak to brzmi – dodałam, gdy na twarzy lekarza dostrzegłam zmartwienie.

– Nie, nie, nie. Nie o to chodzi. – Garbowicz zmieszał się. – Słyszałam dziwniejsze rzeczy.

Niepewność w moim spojrzeniu musiała być widoczna, bo dodał:

– Przypomniało mi to pewien sen – powiedział, ale uciekł spojrzeniem.

– Ja nie chcę ich oglądać nawet w snach – rzuciłam cicho. Garbowicz zaznaczył coś w formularzu i notował. – Czy ja... zwariowałam?

Psychiatra oderwał długopis od papieru i spojrzał na mnie.

– To, czego pani doświadcza, to omamy, tak jak sama je pani nazywała. A czy są symptomem zaburzeń psychiatrycznych, to jeszcze ustalimy. W psychiatrii unikamy takich stwierdzeń, jak „szaleństwo” czy „wariactwo”, kojarzą nam się z czymś niezrozumiałym, niepojętym, a zaburzenia psychiatryczne mają przyczynę i ścieżkę neutralizacji skutków. A moim celem jest teraz ustalenie charakteru tych zaburzeń.

Zaczął przekładać kartki, aż dotarł do tej, której szukał. Zagiął papier, przyjrzał się czemuś dokładnie.

– Dobrze. Niech mi pani trochę o sobie opowie.

Zawahałam się. To była ostatnia rzecz, na którą miałam ochotę. Czułam, że zapadam się do środka, pełna nieufności i jakiegoś wstydu. Psychiatra westchnął, jakby znał tę reakcję i moja postawa nie była dla niego zaskoczeniem.

– Spokojnie – powiedział. – Tylko tyle, ile pani uważa za stosowne. Ale te informacje mają duże znaczenie. Same symptomy nie determinują rodzaju zaburzeń i dopiero poznając ich podłoże, będę w stanie stwierdzić, jaki mają charakter.

Rozluźniłam się. Jasne. To nieproste. Opowiadać obcemu facetowi o tym, kim się jest. Szczególnie, gdy gubisz się i już nie wiesz, kim jesteś. To nieproste. Ale wiedziałam, że przyszłam po pomoc. Mój wewnętrzny system wariował. Wykrył zagrożenie. A ja mogłam się zdać tylko na kogoś z zewnątrz, kto wyczyści moje dane.

– Studiuję informatykę na AGH. W tym budynku zaraz przed miasteczkiem, kojarzy pan? Zresztą nieważne. Na drugim roku. W czerwcu przeniosłam się do Krakowa, wcześniej dojeżdżałam ze Skawiny... To za blisko Krakowa, by dostać akademik, dlatego musiałam wynająć pokój z koleżanką. Niedaleko uczelni, na Lea. Wie pan, gdzie to jest? – Garbowski potwierdził. – Poza tym pracuję, głównie w weekendy, ale czasem i w tygodniu, jak zajęcia na to pozwalają.

– Gdzie?

– W barze. Na Szewskiej. Podobno modny. Nie wiem. Na brak

klientów nie można narzekać. – Zamilkłam.

Nigdy nie podsumowywałam swojej osoby, nie potrzebowałam tego. Równania życiowe są bardziej skomplikowane niż te w matematyce. A nie każda całka jest policzalna, kiedy granica dąży do nieskończoności.

– Dlaczego?

– Proszę?

– Utrzymuje się pani sama, przeprowadziła się. Dlaczego? Usamodzielnienie?

– Nie. – Pokręciłam głową. – To nie to.

Garbowski czekał, czułam, że jest ciekaw, ale nie chciał naciskać.

– Z ojcem nie dało się żyć. Już nie...

Poczułam, jak moje ciało napina się w reakcji na przyływ wspomnień. Bolesnych. Krwawiących.

– Rozwinie pani temat?

Nie chciałam. Ból przeszywał mi serce. Mówią, że czas leczy rany, ale mój czas stał w miejscu.

– Minał rok od śmierci mamy – odparłam i zadławiłam się tymi słowami. Łapczywie wciągnęłam powietrze. Rok. To tak niewiele.

– Każde z nas znalazło inny sposób na radzenie sobie ze stratą. Ja zamieniłam się w ciszę. Nie chciałam o tym rozmawiać, nie chciałam płakać. A ojciec... ojciec zapomniał. Po paru miesiącach zaczął chodzić na randki. Sprowadzał te kobiety do domu, a ja nie mogłam patrzeć... nie mogłam patrzeć, jak zajmują jej miejsce, miejsce, które nie było jeszcze puste...

Garbowicz wyciągnął z szuflady pudełko chusteczek, położył na biurku i przesunął w moją stronę. Przez chwilę wpatrywałam się w nie, nic nie rozumiejąc. Dotknęłam policzka. Był suchy. Zimny. Łzy wciąż nie chciały spłynąć. Nie były mi potrzebne.

– Gdy te kobiety zaczęły wciskać się w jej miejsce, uciekłam. Nie mogłam na to dłużej patrzeć. – Zamilkłam.

Czułam, jak zamykam się. Nie, nie przed psychiatrą. Przed ojcem. Tymi kobietami. Które nie miały prawa zajmować jej miejsca. Emocje parowały, tworząc gęstą mgłę, ale nie chciały ulecieć, nie chciały mnie opuścić, kłębiąc się coraz mocniej i dławiąc mnie.

– Wiem, że to trudny temat, ale mogłaby pani opowiedzieć coś więcej o śmierci swojej mamy?

Poderwałam głowę, jak wybudzona z transu. Czułam, że zaczynam drżeć. W gabinecie było gorąco, ale w środku zaczynał wypełniać mnie chłód. Piął się po sieciach neuronowych, docierając do najgłębszych zakątków, i mroził krew w żyłach, wywołując dreszcze. Zaczęłam obciągać rękawy bluzy, by odwrócić swoją uwagę, by się przed emocjami obronić, ale na próżno. Dłonie także drżały.

– Nie czuję się gotowa, by o tym mówić – powiedziałam po chwili, obserwując, jak Garbowicz przyjmie ten opór.

Pokiwał głową. W jego oczach dostrzegłam współczucie i smutek, ale było ich za mało, by mogły mnie otworzyć. By wydusić te wszystkie zwoje i kłęby, które narastały we mnie. Psychiatra zanotował coś.

– Dobrze. Skupmy się na omamach. Czy jest pani w stanie określić moment ich pojawiania się?

– To było niedługo po tym, jak się wyprowadziłam. Ale – zawahałam się – nie jestem pewna, czy nie zaczęło się wcześniej. Byłam wtedy zbyt mocno zaabsorbowana zachowaniem ojca, by zwracać uwagę na takie rzeczy.

– Rozumiem.

Garbowicz przeszedł do bardziej ogólnego wywiadu. Pytał o wiele rzeczy. O przyjaciół (mam jedną przyjaciółkę, reszty nie określiłabym tym mianem), o naukę (męcząca, ale ciekawa), o związki (szczęśliwie zakończone), o przebyte choroby (ospa, jak byłam mała, i zapalenie oskrzeli, nic poważnego). Pytania przeplatały się ze sobą, narastały. Co jakiś czas wracał temat omamów, jakby psychiatra chciał sprawdzić, czy o nich pamiętam, czy widzę jakiś ich związek z podawanymi informacjami. Nie. Nie widziałam.

Zrzucając z siebie balast wspomnień, czułam się lżejsza, bezpieczniejsza, ale byłam świadoma, że same słowa nie ulecą mnie, nie pomogą. Potrzebowałam lekarstwa.

Zgodnie z obietnicą Garbowicz nie wracał do spraw rodzinnych. Jednak czułam, że ten temat czai się jak ogromny potwór, który tylko czeka na dobry moment, by wyskoczyć. Postanowiłam wyjść mu naprzeciw.

– Czy... czy sądzi pan, że konflikt z ojcem może mieć związek z omamami?

Spojrzał na mnie zza okularów. Jakby rozstrzygał, czy i jak ubrać diagnozę w słowa.

– Może mieć – odparł ostrożnie. – Bardzo często tego typu zaburzenia mają związek z bolesnymi wspomnieniami. Jednak będę z panią szczery. Jest pani bardzo świadoma. Osoby z zaburzeniami psychiatrycznymi nie są świadome różnic między światem realnym a omamami. Pani te różnice dostrzega. Wyraźnie. Poza tym, z tego, co zrozumiałem, omamy tworzą osobny byt... nie kontaktują się z panią. Pani je tylko ogląda, a one nie zmuszają panią do żadnych działań, dobrze zrozumiałem?

Pokiwałam głową. Czułam rodzący się wewnątrz strach, narastający z sekundy na sekundę. Co to oznacza? Że jestem unikatem, nieuleczalnym przypadkiem... Wynaturzeniem?

– Podejrzewam, że te objawy mogą mieć charakter somatyczny. Dlatego skieruję panią na badania, by rozwiązać wszelkie wątpliwości... morfologia krwi, rezonans, badanie moczu... – mówił cicho, wypisując skierowania, podbijając pieczętką i podpisując zamaszyście.

– Podejrzewa pan, że coś biorę?

Garbowicz znów przyjrzał mi się uważnie. W zmarszczkach już nie było tak wiele współczucia. Podejrzewał, że jestem narkomanką.

– Chcę znaleźć przyczynę pani objawów. Badania mi to ułatwią. Na razie nic nie podejrzewam, ale jeśli w badaniach coś wyjdzie, będziemy na dobrej drodze do diagnozy i wyleczenia.

Napięcie nie opuściło mnie. Choć sama wolałabym dowiedzieć się, że ktoś dorzuca mi substancje psychoaktywne i wiecznie chodzę na haju. Ale nie, nie. To nie było możliwe. Zbyt się pilnowałam. Zbyt wiele historii zasłyszanych w barze i poza nim. Zbyt wiele cierpień, których nie chciałam być świadkiem ani ofiarą.

Garbowicz podniósł się z krzesła, wizyta dobiegła końca. Również wstałam. Podał mi plik kartek, które omiotłam spojrzeniem. Nie było wśród nich recepty.

– Nic mi pan nie zapisze? – zdziwiłam się.

Dostrzegłam grymas przebiegający przez jego twarz. Krótkotrwały. Przykryty uspokajającym uśmiechem. Nie wierzył mi. Założył, że jestem na haju.

– Nie mogę tego zrobić – powiedział. – Jeszcze nie postawiłem diagnozy. Przepisywanie leków w ciemno jest wbrew etyce lekarskiej. – Podał mi dłoń. Uścisnęłam ją. Była ciepła i chropowata. – Proszę wykonać badania i wrócić. Pani Ania zapisze panią na kolejną wizytę.

Odeszłam niepewnie. Zamknęłam za sobą drzwi, stając na niemal pustym korytarzu. Niemal. Podeszłam do recepcji, czekając, aż pani Ania pojawi się, by mnie zapisać. Miałam mieszane uczucia. Wierzyłam, że przychodząc tu, dostanę lekarstwo. A może nawet zamkną mnie i wyleczą. Ale nie. Nic takiego się nie stało.

*

(opuszczone fragmenty)

*

– Unikasz mnie. – To było stwierdzenie, nie pytanie, i zawisło między nami jak kłęb dymu nikotynowego w nieruchomym, martwym krakowskim powietrzu.

– Wydaje ci się – powiedziałam. – Po prostu mam dużo na głowie...

– Nie, Wera, potrafię odróżnić, kiedy ktoś jest zajęty, a kiedy mnie zbywa. A ty mnie zbywasz i chciałabym wiedzieć dlaczego.

Zaciągnęłam się papierosem raz jeszcze. Nie patrzyłam na nią, tylko wypuściłam dym, wpatrując się, jak obłok dołącza do smogowej chmury, która przykrywała miasto. Spojrzałam na Darię, a mój wzrok przesunął się za jej plecy, na monstrum. Parzyste, włochate odnóża unosiły się w powietrzu, a długi kolec aparatu gębowego tkwił wbity w nasadę jej karku. Zadrżałam i mocniej wtuliłam się w szalik. Policzki potwora nadymały się, a ogromne, połyskujące oczy zdawały się bezrozumne i nieobecne, a jednak tak realne, że byłam w stanie rozróżnić każdą pojedynczą płytkę, z których się składały.

– Halo! Wera! – Daria zamachała mi przed oczami dłonią. – Tutaj jestem! Co się dzieje?

– Nic, naprawdę. – Drgnęłam. – Po prostu... po prostu zbliża się rocznica – powiedziałam. Była to prawda, ale nie cała.

Daria przygasła, a rozdrażnienie na jej twarzy zostało zastąpione współczuciem. Nie znajdowała już słów na pocieszenie mnie, a ja wiedziałam, że żadne słowa nie pomogą.

Ale nie tylko o to chodziło. Monstra nie znikają. Lekarz wysnuł już kilka teorii co do tego, co mi dolega, ale leczenie nie przynosiło rezultatów. Przeciwnie. Obrazy wyostrzyły się, nabierały kolorów, jednak wciąż na mnie nie reagowały. Jakbym dla nich nie istniała. Garbowicz zaczął nawet wątpić w moją prawdziwość, powtarzał, że zachowuję się logicznie i racjonalnie. Zupełnie zgodnie z obowiązującymi normami. Więc co jest nie tak? Dlaczego te potwory nie znikają?

– Przepraszam. Jestem czasem taka samolubna... myślałam... wydawało mi się, że chodzi o mnie...

„Nie wydawało ci się, Daria. Ale nie chodziło o ciebie, tylko o potwora, który żeruje na tobie od tygodni” – pomyślałam.

– Nie, to ja przepraszam. Martwisz się o mnie, a ja nawet nie potrafię wydusić z siebie słowa. – Spojrzałam na nią, skupiając całą siłę woli, by nie patrzeć na potwora, tylko prosto w niebieskie, zatroskane oczy. – Nie martw się, znajdę sposób, by sobie z tym poradzić.

Chciałam gorąco w to wierzyć, ale nie potrafiłam. Przeraziła mnie myśl, że te demony stały się nieodłącznym elementem mojego krajobrazu. Stały się normą. Niektóre na tak długo przysysały się do ludzi, że to po nich rozróżniałam wcześniej nierozpoznawalne twarze. Zaadaptowały się. Nikogo nie dziwi fakt, że ktoś do siebie mówi, bo są słuchawki bezprzewodowe. Norma. Tak i ja przestałam się dziwić tym potworom.

– Już prawie ósma, idziemy? – zapytała po chwili Daria.

Stałyśmy pod D17, a Daria jak zwykle czekała, aż wypalę ostatniego papierosa przed zajęciami. Sama nie paliła, mówiła, że nie zamierza się truc, szczególnie, że w Krakowie ma pod dostatek siarczanów, PM10, mikroplastiku i innego świństwa, i nie zamierza dokładać kolejnych trutek do swojego organizmu. Ja wyznawałam odwrotną zasadę. Skoro tyle trucizny unosi się w powietrzu, to kilka dodatkowych pierwiastków nie robi różnicy.

Zdusiłam peta na koszu.

– Tak, chodźmy.

Katedra Informatyki mieściła się w podłużnym, czteropiętrowym budynku o zaokrąglonych narożnikach. Z zewnątrz wyglądał jak tort poprzedzielany jasnymi i ciemnymi warstwami, w które powciskano okna, ale poza tym mało skomputeryzowanym wyglądem, nie było źle. Budynek był nowy, dobrze izolowany i wyposażony w sprawny sprzęt.

Weszliśmy do środka, zostawiłyśmy kurtki w szatni, a następnie udałyśmy się po schodach w górę, gdzie przed salą tłoczyła się nasza grupa. Lekko wczorajsza, niewyspana i bez energii, jak na studentów informatyki przystało. O tej godzinie zaczynaliśmy programowanie, a właściwie programowanie obiektowe. Wszyscy ci, którzy układali plany zajęć, uważali, że przedmioty wymagające najwięcej pokładów myślenia trzeba rzucić na początek dnia, kiedy umysł jest najbardziej świeży i skory do współpracy. Szkoda tylko, że nikt naszych umysłów nie zapytał o zdanie.

Zborowski przyszedł i zaraz przy drzwiach zrobiło się gęściej. Za żadnym ze studentów nie stało monstrum. Tylko za Darią.

Coraz częściej roztrząsałam kwestię: „dlaczego?”. Co decydowało o tym, że na jednych żerują, a na innych nie? Dlaczego ten intruz żywi się akurat moją przyjaciółką? Czy to ja jestem czynnikiem wyzwalającym? Ale nie. Widywałam je także nad zupełnie obcyymi osobami, więc to nie mogło być to. Inni przenikali przez te obślizgłe stworzenia jak przez iluzję, zupełnie ich nieświadomi.

– Chodź, bo nam zamknie salę przed nosem. – Daria pociągnęła mnie za rękaw swetra.

Zajęłyśmy swoje stałe miejsca na środku sali i odpaliłyśmy komputery, a następnie Javę. Zborowski przez moment rozvodził się nad nowymi funkcjami, które wypróbujemy, i zadał ćwiczenie, by skonstruować kolejny miniprogram. Przypomniał jeszcze raz, byśmy włączyli śledzenie zmian, inaczej zadanie nie zostanie nam zaliczone, i włączył stoper, bo zgodnie z jego autorskim pomysłem raz na piętnaście minut mogliśmy poprosić o wskazówkę, jeśli coś nam nie wychodziło.

Programowanie było zajęciem precyzyjnym. Lubiłam to. Żaden znak nie mógł zostać pominięty, żaden nawias, żadna funkcja, by program mógł zadziałać. Kiedyś czytałam o teorii, że cała ludzka rzeczywistość to program stworzony przez istoty bardziej rozumne od nas. Tak ogromna symulacja komputerowa musiałaby być niezawodna, bezbłędna, tak by wszystkie istoty ludzkie były przekonane o jej prawdziwości. A co, jeśli pojawiłby się błąd? Nieszczelność. I w wyniku tego błędu niektórzy widzieliby więcej, niż powinni?

– Na następne zajęcia przygotujecie projekty w grupach. Trzy-, czteroosobowych. Wolicie sami się dobierać czy mam to zrobić za was?

Po zbiorowym „sami” wszyscy zaczęli się obracać, wołać albo machać porozumiewawczo, i już po chwili grupy były gotowe. My z Daria, nie pierwszy i nie ostatni raz, dołączyłyśmy do Wojtka i Mateusza.

– Każda z grup dostanie trochę inny program i mam nadzieję, że nie muszę przypominać, że jak zwykle macie włączyć śledzenie zmian. – Zborowski rozdawał kartki z zadaniem do wykonania.

– Niech tylko zobaczę u kogoś choć część skopiowanego kodu...

Nigdy nie kończył tego zdania, trzymając nas w niepewności, co by się wówczas wydarzyło. Na razie każdy skrzętnie trzymał się jego zasad. Pierwszy rok dość mocno przerzedził nasze szeregi, byśmy teraz próbowali jakichś sztuczek. A przynajmniej nie tak marnych, by dać się złapać.

Wychodziliśmy z budynku grupą, w której mieliśmy wykonać projekt. Trzeba było omówić podział pracy, czas i miejsce spotkania, by wszystko dokończyć. Mieliśmy na to tylko tydzień, więc im szybciej się zabierzemy do pracy, tym szybciej będzie z głowy. Akurat najbliższa sobota okazała się dniem wolnym dla wszystkich.

– Chyba jakiś nowy, nie? – zapytał Wojtek, wskazując na mężczyźną grzebiącego w koszu.

W pobliżu miasteczka nie brakowało bezdomnych. Codziennie tsunami puszek i butelek, które co wieczór opróżniali studenci, były jak żyła złota. Bezdomni walczyli o ten teren, nie raz i nie dwa doszło do krwawych bójek, gdy ktoś obcy wdarł się na nie swój rewir. Ale ten człowiek był tu nowy.

Kilka warstw ubrań, bluza i sweter wystające spod puchowej kurtki, zielony szalik, dwie czapki i poprzycinane rękawiczki – wszystko to było brudne i znoszone. Buty, choć wydawały się porządne, rozklejały się, a spodnie miały rozdarcie na kolanie i nie była to taka modna dziura.

– Zaraz Profesor go stąd wykurzy, jak znam życie – powiedział Mateusz. Nazywaliśmy tym przydomkiem jednego z nich, który co wieczór był profesorem innej uczelni i innego wydziału. – Długo tu nie pobędzie. Wera, a ty co się na niego tak gapisz, znasz go?

Drgnęłam.

– Nie... – zaprzeczyłam, ale zawahałam się, bo gdy bezdomny spojrział na mnie, zielone oczy wydały mi się znajome. Jednak nie mogłam sobie przypomnieć, gdzie je widziałam. Może kręcił się gdzieś pod Laguną. Sama nie wiem.

I nagle zdałam sobie sprawę, dlaczego jego widok tak mnie zdziwił. Nad bezdomnym nie było monstrum. Dotychczas dostrzegałam je nad każdym bezdomnym. Żerowali na nich, po tym ich nawet rozróżniałam, choć często jako ludzie byli nie do zidentyfikowania. Zaczęłam nawet traktować bezdomnych jako wskazówkę do rozwiązania zagadki omamów, bo chciałam wierzyć, że to wszystko ma jakiś sens. Że może ich samotność, kryzys albo skłonność do picia pozwoli mi zrozumieć, co decyduje o wyborze człowieka na żywiciela tych potworów, że jednak coś o tym decyduje. Mieli być grupą, którą chciałam poddać analizie, wyodrębnić ich wspólne cechy, by zrozumieć. Ale już nie mogłam.

*

– Takie piękne oczy... takie piękne... – bełkotał mężczyzna przy barze, wpatrując się w piersi kobiety siedzącej obok. Nie zwracała na niego uwagi, tocząc zażartą dyskusję przez telefon i co rusz marszcząc przerysowane brwi. – Seks. On. De. Bicz... Dla pani. – Odwrócił się w moją stronę. Oczy miał przekrwione, a jego ciało falowało, kołysząc się w lewo i w prawo. Wycelował we mnie palcem i spróbował jeszcze raz:

– On. Deee. Bicz!

– Już nie podajemy. – Wskazałam na kartkę, która oznajmiała, że sprzedaż alkoholu jest do czwartej. To był jedyny sposób, żeby wykurzyć maruderów. Znużone spojrzenie skierowałam na bramkarza, który wszedł już do środka i czekał, aż niedobitki postanowią się wynieść. Nowa polityka lokalu mówiła, że nie wyganiamy klientów, by pozostawić po sobie miłe wrażenie... Choć prawda była taka, że nawet gdybyśmy teraz wywlekli ich za fraki i rzucili w błoto pośniegowe, nazajutrz by nic nie pamiętali.

Kobieta zmrużyła nagle oczy, czytając jakąś wiadomość, poderwała się, chwyciła torebkę leżącą na blacie i zapinając kurtkę, udała się do wyjścia. Skinęłam na Marka, a ten wstał, by otworzyć zaryglowane drzwi. Pijany mężczyzna obejrzał się za nią, kończąc swój obrót na mnie.

– Wiciała pani? Wiciała?

Pokiwałam głową.

– Widziałam, jak do pana mrugnęła.

Mężczyzna zdawał się zaskoczony.

– Mnie?

– Do pana.

Otworzył usta w bezwolne „o”, to oglądając się na schody, na których zniknęła jego nowa Wenus, to na mnie. Może nawet wyczuwał jakiś podstęp, ale był zbyt pijany, by go przejrzeć.

– Ja? – dziwił się.

Podtrzymywałam to złudzenie udawaną powagą, wycierając ostatnie kufle i odkładając je na półki.

– Taa? To ten... to ja... to ja pójdę...

Znów pokiwałam głową, czekając, aż mężczyzna wytoczy się po schodach. Marek udał się za nim, a ja przetańczyłam na mokro blat, odwiesiłam kieliszki na wieszak i rzuciłam szmatkę na drewnianą poręcz. Zamiatanie i ścieranie całego lokalu zrobi się przed otwarciem.

– To co, koniec? – Marek przyniósł mi kurtkę z szatni. – Kiedy masz kolejną zmianę?

– W poniedziałek. Weekend mam wolny. – Wyciągnęłam z rękawów czapkę i szalik i zaczęłam się szykować.

– No to się wyśpisz.

– Oby, choć mam jeszcze parę projektów do ogarnięcia na studia.

– Hm? – Marek zadumał się, przekrzywiając głowę i przyglądając mi się w zastanowieniu. – Czemu nie pójdziesz na zaoczne? Znalazłabyś lepszą pracę niż to. – Machnął na pusty bar. – Przecież po tej informatyce to cię z pocałowaniem ręki gdzieś przyjmą.

Prychnęłam rozbawiona i zapięłam się pod samą szyję.

– Przeceniasz zapotrzebowania rynku, jestem dopiero na drugim

roku. Może udałoby się zahaczyć gdzieś na staż... ale staż mnie na razie nie ratuje.

– Zdziwiłabys się, ile dają na stażu. Pomyśl o tym – dodał wszechwiedząco.

Wyszliśmy na zewnątrz, mróz zamieniał nasze oddechy w parę. Naciągnęłam na głowę czapkę i sięgnęłam do kieszonek kurtki, sprawdzając, czy są tam klucze i telefon.

– Dobra, dobra. Pomyślę.

– Poradzisz sobie? – zapytał jeszcze, skinąwszy głową w kierunku, w którym miałam się udać.

– Jak zawsze. – Wzruszyłam ramionami i obróciłam się na pięcie. – Trzymaj się!

– Na razie – usłyszałam jeszcze.

Panował mrok, a spalinowa mgła znów zaczęła otulać miasto. Mdłe, pomarańczowe światła latarni sączyły się przez nią, rozproszone na kroplach wody.

Mogłam wrócić tramwajem. Mogłam. O tej porze jeździły już linie dzienne, a na przystankach stali zarówno ci, którzy kończyli dzień, jak i ci, którzy go zaczynali. Stopień degradacji był widoczny na obliczach tych pierwszych. Rozmazane tusze, czapki włożone na lewą stronę, pomięte koszule, wystające zza krzywo zapiętych kurtek, i zmięte twarze. Byłam jedną z nich.

Skręciłam w Krupniczą koło Bagateli. Ulica pełna była wczorajszych śmieci, gdzieniegdzie stały samotne hulajnogi, tworząc istny tor przeszkód. Wyciągnęłam z kieszeni paczkę papierosów i zatrzymałam się, by zapalić. Dym wypełnił moje płuca kojącą mieszanką. Miałam ruszyć dalej, ale coś mnie powstrzymało. Czuałam na sobie czyjeś spojrzenie. Obejrzałam się.

Nic. Zdawało mi się? Zdawało. Anonimowi przechodnie nie zwracali na mnie uwagi. Jakbym była niewidzialna w tej mgle.

Ruszyłam przed siebie. Miasto budziło się, wypełzając ze swojej smoczej jamy i rozprostowując skamieniałe kończyny. Szum

samochodów na nowo zaczynał wypełniać przestrzeń, wibrował, nadawał tempo, zapętlając tę samą muzykę w odtwarzaczu życia. Dotarłam do alei i skręciłam w stronę parku, obserwując podświetlone, bezlistne szkielety. Znów dopadło mnie dziwne przecucie, że ktoś kroczy za mną. Nie oglądałam się, czekałam na moment, aż drzewa i nagie krzewy zasłonią mnie, i tam się schowałam. Mijały sekundy, minuty, ale nikt nie nadchodził.

W końcu wychyliłam się, spoglądając na ludzi w parku. Mężczyzna w eleganckim płaszczu szedł szybkim krokiem w stronę przystanku, grupka studentów zataczała się gdzieś, jednak zdecydowanie wolniej. Dwóch bezdomnych grzebało w koszach po dwóch stronach alejki, jakby nie widzieli siebie, jakby nie chcieli się widzieć, a kilka osób wolno spacerowało z psami na kolorowych smyczach, wszyscy szczelnie pozapinani, wciśnięci w kołnierze i wełniane czapki.

Nikt nie zwracał na mnie uwagi. W zasadzie nikt na mnie nie patrzył. I tylko jeden potwór krążył nad ludźmi w parku, wbijając się w jedną z postaci. W bezdomnego. Mój wzrok przykuła druga ubrana w łachmany sylwetka. Ta nie miała demona. Poczułam przebiegający po plecach dreszcz. Już go widziałam. Miał na sobie te same poprzecierane dżinsy, ten sam zielony szalik i dwie czapki na głowie. Nie patrzył na mnie. Ale czułam, że to jego oczy mnie śledziły. Pamiętałam je.

Było coś niewłaściwego w tym obrazie. Jakiś dysonans, coś innego niż to, czego nauczyłam się o swoich omamach. Dostrzegłam tu dysharmonię. Puzzle zaczynały mi się mieszać. Obróciłam się i przyspieszyłam kroku. Niemal biegiem dotarłam do mieszkania. Zamknęłam za sobą drzwi do kamienicy i wyrzalam przez umieszczoną w nich szybkę. Za brudnym szkłem nie było nikogo. Odetchnęłam. Wspięłam się po schodach, weszłam do mieszkania i dopiero tam poczułam, jak mocno wali mi serce.

*

Obudził mnie łoskot w przedpokoju oraz stłumione przekleństwo. Kaśka musiała coś przewrócić. Znowu. Rozległ się szelest podnoszonych ubrań i stukot obcasów. W końcu Kaśka sapnęła i weszła do pokoju. Starła się po cichu. Stąpała ostrożnie, na

dwóch palcach dłoni niosła szpilki, a oczko ciągnęło się po brokatowych rajstopach od uda aż do stopy. Po szmince nie pozostało ani śladu, choć byłam pewna, że przed wczorajszym wyjściem Kaśka o niej nie zapomniała.

– O! Nie śpisz? – Zauważyła moje półprzymknięte oczy.

– Ktoś narobił rabanu – jęknęłam, przeciągając się.

– Sorka. – Odłożyła szpilki i zaczęła się rozbierać. – Nie wiem, kto znów przestawił ten wieszak. Wczoraj go tam nie było.

Wygrzebałam się z kołdry i sięgnęłam po telefon. Dochodziła dwunasta. W powiadomieniach pojawiły się nieodebrana wiadomość od Darii i trzy połączenia. Musiałam wyciszyć dźwięk przed zaśnięciem, ale nie pamiętałam kiedy.

„Jest dziś impreza u Kacpra. Będziesz?”

Opadłam na poduszki. Chciałam jeszcze raz uciec w senną nieświadomość, ale wraz z wiadomością powróciły moje zmartwienia. Unikałam Darii. I z każdym dniem czułam się z tego powodu coraz bardziej winna.

– Złe wieści? – zagadała Kaśka.

Spojrzałam na nią. Pozbyła się już czapki, szalika i kurtki, a bordowa, obcisła sukienka była założona tył na przód, metka wystawała Kaśce tuż przy szyi. Uniosłam rozbawiona brwi. Dopiero wtedy Kaśka spojrzała na siebie.

– Cholera! – jęknęła. – Ale gdybyś była na moim miejscu, też byś spieprzała. Zresztą... nieważne.

– Przed czym? – zapytałam.

Odłożyłam telefon i podciągnęłam się, żeby usiąść. Kaśka wygrzebała z torebki telefon, odczytała jakąś wiadomość i skrzywiła się, a dopiero po chwili spojrzała na mnie. Poskręcane w niesforne czarne loki sterczały jej na wszystkie strony, ale i tak wyglądała zjawiskowo.

– Bardziej „przed kim”. Miał na imię Jacek – zaczęła, przysiadając

na łóżku, a na jej ustach pojawił się uśmiech. – Nie powiem, niczego sobie. Wysoki, przystojny, wiesz ten typ, przy którym czujesz się bezpieczna i taka, hm, taka kobieca. To uzależniające, gdy ktoś cię wielbi, jakbyś była boskim stworzeniem. Po prostu potrzebujesz kolejnej dawki. A ja potrzebowałam i... przedawkowałam. – Westchnęła. – To była trzecia randka, więc tak no... tak akurat. – Zatrzymała na mnie spojrzenie, jakby chciała się sama przed sobą usprawiedliwić.

– Akurat? Czy to podsumowanie twojej nowej miłości?

Zaśmiała się krótko i przeczesła włosy palcami, by je związać.

– Akurat to nie była miłość. To był narkotyk, ale przeszłam odwyk.

– To co się stało?

Chwilę walczyła z niesfornymi włosami, w końcu udało jej się je związać. Milczała przez chwilę, aż spojrzała na mnie i powiedziała z niedowierzaniem:

– Wyznał mi miłość.

Uniosłam brwi.

– To raczej powód do zostania z nim, a nie ucieczki. Daria na twoim miejscu skakałaby z radości, a nie uciekała, dziurawiąc po drodze rajstopy.

– Rajstopy rozdarły się same – obruszyła się. – Poza tym Daria to romantyczka i inaczej postrzega rzeczywistość. Inaczej niż ja przynajmniej. I proszę cię, jaki normalny facet wyznaje miłość na trzeciej randce? Coś z nim musi być nie tak!

Musiałam się z tym zgodzić. Nie znałam takich mężczyzn.

– Był pijany?

– Nie, chyba nie.

– To może odurzony?

Przez moment namyślała się, ale w końcu pokręciła głową.

– Nie wiem.

– A może uważał, że tego właśnie oczekujesz, więc to powiedział?

Wydęła usta, jak naburmuszona dziewczynka, która jest rozczarowana rzeczywistością.

– Może. Zresztą. Nieważne. Było, minęło. Chcesz do łazienki, bo idę się myć?

– Mhm. Daj mi chwilę. – Podniosłam się, obciągając podwiniętą bluzkę i wciskając stopy w pantofle. Miałam wrażenie, że każda moja kość pulsuje, protestując z powodu nagłej zmiany pozycji. Ale miałam projekty do ogarnięcia, a impreza u Kacpra wisiała nade mną nieuchronnie. Po chwili wróciłam do pokoju.

– Idę do sklepu, chcesz coś? – zapytałam, otwierając szafę i próbując wygrzebać ze sterty ubrań ulubioną bluzę.

Kaśka jęknęła, podnosząc się na łokciu, bo zdążyła już zapaść w drzemkę.

– Pizzerinę... i energetyka – nieprzytomnie wyrecytowała stałą formułę, wstała i powlokła się do łazienki.

Stałam przed lustrem i zaczesalam włosy. Pasma wyslizgiwały się, zbyt krótkie, by dało się je zebrać, aż musiałam się zadowolić kikutem na czubku głowy, pozwalając reszcie włosów z niego wypaść. Ciasno owinęłam się szalikiem, założyłam kurtkę i sięgnęłam po bawełnianą torbę. Wrzuciłam do niej telefon, portfel i klucze. I wyszłam. Już na klatce poczułam, że jest lodowato. Listopad dobiegał końca, mróz zaczął przybierać na sile. Może choć raz będą białe święta.

Serce stanęło mi na tę myśl. Moje święta już zawsze będą takie same. Białe lub nie. Pozostaną lodowate.

Zbiegłam po schodach, po drodze zakładając kaptur i wyrzucając sobie, że znów nie chciało mi się zabrać czapki. Zacisnęłam troczki kaptura i wyszłam na ziąb. Do sklepu miałam niedaleko. Raptem dwadzieścia kroków. Jeszcze dziesięć, pięć i będę...

Ktoś chwycił mnie za rękaw. Szarpnęłam się bardzo zaskoczona.

A dopiero potem spojrzałam w zielone oczy i brudną, zaniedbaną twarz pokrytą gęstą brodą i częściowo zasłoniętą czapkami. Dwoma. Był wyższy i jego cień padł na mnie, zasłaniając blade słońce. Poczułam falę zimna, która nie miała nic wspólnego z mrozem, krew zaczęła dudnić w moich żyłach. To był ten człowiek. Jego oczy były szkliste, nieprzytomne, wpatrywały się we mnie nachalnie, wręcz łapczywie.

Chciałam się wyrwać, ale czerwone palce wczepiły się w moją kurtkę kurczowo. Zawahałam się. Zielony szalik pokrył się szronem tuż przy ustach, od oddechu, stare mitenki były przetarte i podziurawione. Poczułam smród, który roztaczał się wokół mężczyzny. To tylko bezdomny, przekonywałam samą siebie.

– Kupić coś panu? – zapytałam po chwili, wskazując na sklep i ignorując drżenie.

– Szukałem cię.

Zamarłam. Zupełnie jakby mróz wspiał się po moim ciele, unieruchamiając je.

– Widzimy to samo. Widzimy to samo – mamrotał, a ja szarpnęłam się znów, odzyskując panowanie nad ciałem.

– Proszę mnie puścić – warknęłam.

– Wiem to. Widzimy to samo.

– O co panu chodzi?! – krzyknęłam, wyrywając się z uścisku.

– Demony. Istoty żywiące się ludźmi. Też je widzisz, prawda? Widzisz je.

Zastygłam. To nie mogła być prawda. Moje szaleństwo było tylko moje, nie mogło się rozprzestrzenić, nie mogło być widziane przez innych. Szarpnęłam się mocniej.

– Puść mnie!

– Proszę zostawić tę panią. – Niespodziewanie w naszą rozmowę wmieszał się jakiś staruszek. – Bo zadzwonię na policję!

Bezdomny puścił mnie, jakby uprzytomnił sobie, gdzie jest i co

robi, a ja patrzyłam na niego przerażona. Jego słowa napełniły mnie grozą, która błyskawicznie zaczęła krążyć w mojej głowie.

– Widzimy to samo – wymamrotał, patrząc mi w oczy, i powoli odszedł.

O powieści

Weronika, studentka drugiego roku informatyki na AGH, podejrzewa u siebie chorobę psychiczną i udaje się do lekarza. Widzi potwory, które żywią się ludźmi, a obrazy te z dnia na dzień stają się coraz wyraźniejsze. Terapia nie przynosi jednak rezultatów. Dziewczyna dostrzega, że śledzi ją pewien mężczyzna, bezdomny Paweł, a gdy dowiaduje się od niego, że widzą to samo, zaczyna podejrzewać, że jej omamy wcale nie są objawem choroby.

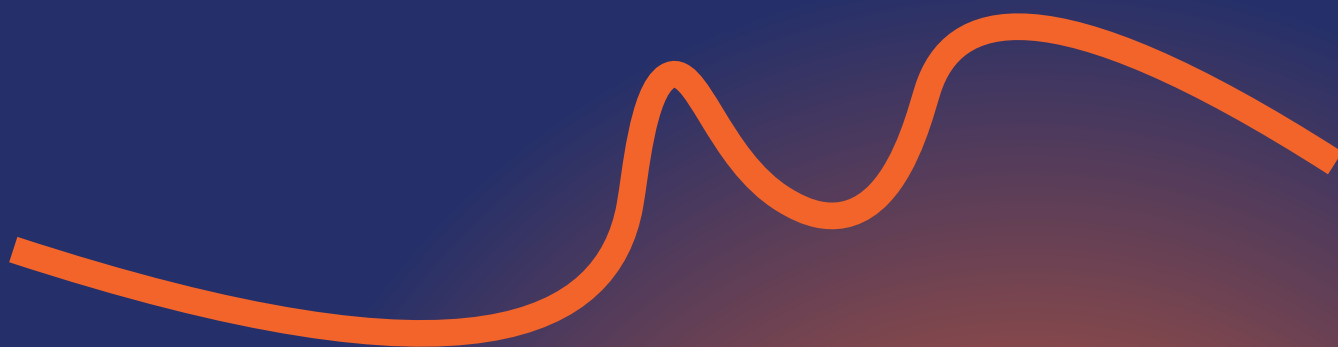
Jeden z potworów żywi się jej przyjaciółką Darią i dlatego Weronika postanawia się dowiedzieć, kim są te istoty i jaką substancję pobierają od ludzi. Razem z Pawłem szukają informacji na ich temat i natrafiają na kod, który zawiera instrukcję pobierania energii dla tajemniczych istot. Weronika i Paweł dowiadują się, że istnieją dwa rodzaje potworów. Te żywiące się cierpieniem fizycznym i te, które żywią się cierpieniem psychicznym. Drugi typ jest bardziej drapieżnym i rozumnym gatunkiem. Jednak kod nie daje się złamać w całości i bohaterowie nie mają pojęcia, jakie substancje szkodzą demonom. Dowiadują się tymczasem, że zbyt długie żerowanie na kimś może doprowadzić do śmierci żywiciela.

Wera zaczyna pilnować Darii, drażniąc ją tym, ale nie znajduje sposobu na wypędzenie potwora.

W tym samym czasie ojciec Weroniki stara się nawiązać z nią kontakt. Dziewczyna odpycha go od momentu śmierci matki, kiedy ten zachowywał się, jakby zapomniał o żonie. Córka ma mu to za złe, odrzuca telefony i nie odpisuje na wiadomości. Pewnego dnia ojciec przyjeżdża do Krakowa i czeka na nią przed uczelnią. Weronika widzi nad nim demona i nie może już zignorować taty. Idą na kawę, w trakcie której ojciec opowiada jej o bólu, z którym nie może sobie poradzić.

Po tej rozmowie Weronika czuje się zupełnie bezradna wobec tego, co spotyka jej ojca i przyjaciółkę, i upija się. W takim stanie zastaje ją koleżanka z pokoju, Kaśka. Wera pod wpływem procentów zwierza się jej i z frustracją mówi o tym, że jej komputer nie może poradzić sobie ze złamaniem demonicznego kodu. Kaśka podsuwa jej pomysł włamania się do Prometheusa, superkomputera zamontowanego w Cyfronecie, i wykorzystania go do tych celów. Weronika opowiada o tym Pawłowi i wspólnie obmyślają plan. Używając uczelnianych przepustek koła naukowego, dostają się do środka i wykorzystują moce Prometheusa do złamania kodu. Odkrywają nie tylko informacje o substancjach, które szkodzą demonom, ale także dane o groźnych wrogach. Okazuje się, że potwory są armią pozaziemskiej cywilizacji,

która obrała sobie Ziemię na żerowisko. Ta wiedza pozwoli na skuteczną walkę. Bohaterowie uwalniają od demonów zarówno ojca Wery, jak i Darię...



Ruin and the change

My pretty friend, I suppose

Love is life's sickness

You can't let go

I've seen the ruin and the change

I think it's a shame

— **Rykarda Parasol**

To był ten rok, w którym maj miał jeszcze marcową nostalgię, a listopad sierpniowo-miodowe ciepło. Wszystko opóźniało się, przeciągało. Żyło według jeszcze nieokreślonego porządku. Styczniowe plany i marzenia gubiły się w nowej rutynie. Z letargu wyrwały dni gęstych mgieł, tropikalnych upałów lub silnych nawałnic. Nawet moja babka Janka traciła rozeznanie w tego-rocznych temperaturach, a była ona światowej klasy specjalistką od pogody. Niejednego meteorologa onieśmieliłaby trafnością swoich prognoz. Znała pory roku jak własną torebkę, a w mojej rodzinie kobiety, ku niezadowoleniu panów lubiących różnora-kie śmieszki, w ciemno wyciągały ze swoich torebek klucze czy długopis, zanim ci zdążyli zorientować się, że nadszedł czas na żart. Jej wiedza była poprzedzona latami obserwacji, zapisków, studiów porównawczych. Zanim w głowie uporządkowała swoje plany na następny dzień, najpierw słuchała w skupieniu wieczornej prognozy pogody, a następnie przeglądała swoje notatki z poprzednich dni. Powtarzała, że nie należy wierzyć telewizyjnym pogodynkom. Miała w tym wiele racji, bo mama zawsze wierzyła prognozom pogody i jak mi mówiła, że mam ubrać się w kurtkę i wziąć parasol, bo będzie padać, to zawsze wracałam ze szkoły w pełnym słońcu z kurtką pod pachą, spocona, zazdrośnie wpatrzona w koleżanki w samych bluzkach i bez parasolek. Dlatego będąc już w podstawówce, przestałam słuchać rad

mamy. Moje pełne zaufanie zyskała babka Janka i to nie tylko w kwestiach meteorologicznych. Odkąd pamiętam prowadziła swoje dzienniki pogody. Codziennie o siódmej rano, wczesnym popołudniem oraz wieczorem zapisywała temperaturę z termometru za oknem. Notowała opady deszczu, śniegu, gradu, a nawet zaznaczała, kiedy z drzew spadały pierwsze liście. Aby nadać dziennikowi charakter osobisty dodawała na koniec krótkie notki z wydarzeń rodzinnych. Przykładowo 1 września 1995 roku zapisała: „Wrocław ciepły i słoneczny. Było 26 stopni i słońce lekko przykryte chmurami. Powietrze suche, drapie w gardło. Przyjemny początek jesieni. Szczepan poszedł dziś pierwszy raz do szkoły. Cały dzień wymiotował. My świętowaliśmy”. Również nie umykały jej uwagi wydarzenia polityczne: „9 października 2000 roku, 19 stopni w południe i 10 stopni w nocy. Słońce wciąż grzało. Stany Zjednoczone trzeci dzień bombardują Afganistan. Z Jankiem pożarliśmy się o sensowność tej wojny. Mój małżonek traci rozum na starość, twierdząc, że Amerykanie mają rację. W końcu zamilkłam, a on nadal swoje. Gadał niby do mnie, niby do telewizora. Jutro zjem śniadanie w salonie. Sama”. I tak piętrzyły się jej dzienniki po szufladach i szafach na Zachodniej, a ona stawała się specjalistką od pogody wrocławskiej – zdobywała uznanie w towarzystwie i moje pełne zaufanie. Więc to był ten rok, w którym pogoda wydziwiała i tylko baka Janka była szczęśliwa, siedząc przy oknie z otwartymi dziennikami, studiując i snując odważne plany wobec sadzonek na działce. A ja wciąż nie wiedziałam, jak się ubrać.

To był też ten rok, w którym Klara poznała Ighora i zaczęła chodzić z nim na randki. Tym razem spotkania nie kończyły się rozczarowaniem, zakupem paczki papierosów, milczącym telefonem. Klara coraz bardziej lubiła Ighora i coraz bardziej zakochiwała się w ich historii. Można śmiało ją opowiadać przyszłym pokoleniom, myślała z zażenowaniem, ale też obejmującym ją szczęściem zbieracza opowiadań z nadodrzańskich kamienic, ołbińskich plomb i dziedzińców na Trójkącie. A wydarzyło się to tuż po przykrej wizycie Klary u terapeutki, pani Joanny. W pewne wtorkowe popołudnie zadała jej pytania, na które nie było dobrej odpowiedzi:

– Pani Klaro, może dla pani Wrocław się skończył? Może w innym mieście znajdzie pani szczęście?

Klara nie uwierzyłaby w powagę tych słów, gdyby nie ton terapeutki. Pani Joanna zabrzmiała jak sprzedawczyni w warzywniaku oznajmująca, że towar się już skończył i lepiej podskoczyć po pomidory dwie ulice dalej, jeżeli kolacja ma dojść do skutku. Wieczorami przed zaśnięciem słowa terapeutki kłębiły się w głowie Klary i nie dawały jej zasnąć. Chciała wreszcie mieć na kogo zarzucić nogę w czasie snu, ale nie wyobrażała sobie wyprowadzki ze swojego miasta. Na szczęście mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Klara wyczerpała możliwości randkowe we Wrocławiu, Ighorowi skończyły się możliwości zatrudnienia na Ukrainie. Miasto spełniło swoją obietnicę ze sloganu: *Wrocław – miasto spotkań*.

U Szczepana mijał drugi rok, od kiedy został mężem, wziął kredyt na mieszkanie, przeprowadził się na Brochów i przestał uważać siebie za chłopaka. Szczepcio myślał o sobie w kategoriach mężczyzny. Stojąc nad rzeką w parku, kontemplował nad ulotnością czasu. Osiemset lat temu mnisi zasadzili tu drzewa, krzewy, poprowadzili kanały z rzeki do ogrodów. Dla jego dziadków Brochów był drugim domem po tym, jak wyprowadzili się w minionym wieku z ich rodzinnego Żywca, zwabieni historiami o ziemiach na zachodzie płynących mlekiem i miodem, a teraz on kitra butelkę piwa w papierowej torebce po drożdżówce i wspomina młodzińcze czasy. Nie był może i najszczęśliwszym chłopakiem, ale przynajmniej mieszkał w dzielnicach z barami, do których chodził na samotne piwko. Na szczęście wiosna sprawiła mu miłą niespodziankę. Wracając z Biedronki na swoje osiedle Mała Toskania w pewne czwartkowe późne popołudnie, odkrył restaurację Noce i Dnie. Nazwa miejsca przywołała dawne emocje. Przypomniał sobie, jak z babką Janką i z ciocią Jadwinią śledził losy Barbary i Bogumiła, a że wtedy już był po pierwszych doświadczeniach miłosnych, dobrze rozumiał tragizm Bogumiła i solidaryzował się z nim niezmiernie. Wnętrze knajpy zdobyło sympatię Szczepana. Stoliki z kremowymi obrusami, porcelanowe wazoniki z plastikowymi kwiatami i zawieszzone na ścianie zdjęcia jego dzielnicy z czasów, kiedy było niemieckim Brockau.

W menu trzy rodzaje piwa, schabowy z bukietem surówek i pizza na grubym cieście z możliwością dokupienia sosu czosnkowego. Szczepan poczuł ciepło bezpiecznych lat swojej nastoletniości. Spłacanie kredytu za mieszkanie w szczerym polu w budynku o wątpliwej estetyce miało teraz choć ociupinkę sensu. Restauracja Noce i Dnie odegra jeszcze ważną rolę w historii naszej rodziny.

Codziennosc mojej mamy wciąż odbywała się między blokiem a przychodnią na Krzykach. Jesienią robiła kiszonki, latem szwendała się po parku Grabiszyńskim, a wieczorami zasypiała przy telewizorze. Zdałam sobie sprawę, że kończy ten dziwny etap w życiu pomiędzy młodością a starością. Wiek średni, postojowy, zawieszony u mojej mamy dobiegał końca. Jej zmarszczki robiły się coraz dłuższe i głębsze. Półksiężyc wokół ust sięgały już nosa, a bruzda nad lewą brwią układająca się w literę igrek dorobiła się kompanki po prawej stronie.

Dostawałam od nich coraz rzadsze wiadomości, coraz krótsze maile. Mijało uczucie, że moje prawdziwe życie rozgrywa się wciąż między Krzykami, Szczepinem a Nadodrzem, bez mojego udziału. W Holandii czerwiec odpalił lato z całą mocą i jeszcze koniec października toczyła gorączka. Nasze zmęczone skwarem ciała domagały się chłodu i deszczu. W weekendy chowaliśmy się w naszych domach, w piwnicach knajp. Nieliczni przychodzili na targ i w cieniu parasoli żuli hot dogi ze śledziem. Mój organizm przyzwyczajony do jesiennego kataru, smarkania, kichania za nic miał wakacyjną aurę i kultywował tradycję październikowych przeziębień. Ja również budowałam swoją codzienność na nawykach. W ciągu dnia gasiłam swoje myśli pracą w warsztacie i wypalaniem porcelany, wieczorami malowałam bloki z czasów mojego dzieciństwa, kiedy jeszcze nikt ich nie pomalował w pastelowe róże czy zielenie i kiedy służyły ludziom za ich domy, a nie mieszkania pod wynajem dla studentów. W każdą niedzielę chodziłam do kawiarni, której nazwy nie potrafię poprawnie wymówić, ale mój język wciąż przywołuje smak tamtejszego jabłecznika. Siadałam na środku sali przy okrągłym stoliku dla par twarzą do okna i czekałam na swoją rodzinę. Przychodzili po piętnastej. Najpierw starsza para,

w okolicach pięćdziesiątki. Zajmowali stolik tuż przy drzwiach i oknie. Nie zamawiali nic, czekali. Chwilę później do kawiarni wchodziła ich córka ze swoim partnerem. Byli mniej więcej w moim wieku. Cała czwórka zamawiała to samo co ja: kawę i jabłecznik. Byli w pełnym zdrowiu, zadbani, ubrani w niepozorne ciuchy za setki euro. Blondyni, blondynki z niebieskimi oczami, smukłymi sylwetkami i z białymi zębami. W rozmowie odbijali nawzajem pytania, anegdoty, zdziwienie, śmiech. Nie przerywali sobie, nie okazywali znużenia, nie podnosili głosu. Nie rozumiałam ani jednego ich słowa. Obserwowałam tylko ich gesty, skupione na drugiej osobie. Byli jak z filmu. Nigdy nie zwrócili uwagi na dziewczynę, która siedzi przy pustej filiżance i się na nich lampi.

We Wrocławiu codziennie jakiś wykolejony tramwaj utrudniał mieszkańcom dotarcie na czas, zachody słońca wciąż były różowe, a kolejki do lokalnych lodziarni ciągnęły się jak guma do żucia. Po raz kolejny w internecie pojawiły się apele o przywrócenie fontanny Neptuna na placu Nowy Targ. Gdyby życie przypominało komiks, to Neptun z fontanny byłby bohaterem, który swoim trójzębem chronił mieszkańców miasta przed złem i ratował ich z opresji. Zstępował z filaru tylko pod osłoną nocy i na swoich czterech delfinach przemierzał okolice. Tymczasem w czterdziestym piątym poniósł klęskę podczas Festung Breslau. Jego postać materialna rozsypała na kawałki, tak jak i miasto, a jego duch znikł. Nikt nie potrafił odnaleźć pozostałości po posągu. Zostały tylko zdjęcia, ryciny. Tak tę historię widziałam jako dziecko, kiedy oglądałam tatkowe rysunki fontanny. Neptun z jego obrazów zawsze miał coś z superbohatera.

To był również ten rok, kiedy na Śląsku różnorakie huragany, orkany, szkwały wpisały się w codzienność mieszkańców. Orkan Wojtek sponiewierał Wrocław w listopadzie. Babka Janka nie zdążyła zapisać, jakie spustoszenia zostawił po sobie na Zachodniej i na Szczepinie. Nie zdążyła, bo przyjechała po nią karetka i zabrała na izbę przyjęć na Borowską. Dostała udaru. Babcia Janka nie potrafiła tego przewidzieć, nigdy nie zapisywała pomiarów ciśnienia w swoim dzienniku.

Tatko miał oczy zielone jak winogrona. Nikt w rodzinie już nie

ma takich oczu. Ja odziedziczyłam jego krzywe palce, które przy złączeniu składały się ze sobą jak puzzle. Szczepcio ma po nim oliwkową karnację, a po mamie brązowe włosy i oczy. Kiedy był mały, ciocia Jadwinia nuciła mu, że z niego jest taki typ włoski, łatynoski, ale dla mnie on jest tatkowy. Ma jego chód, śmiech, miny i rozdrażnienie w oczach. Tatko miał strasznie niespokojne oczy. Wrzały jak ogórkowa na ogniu. A wszystko przez to, że tatko nie został dobrze opłacanym i cenionym malarzem. Nie spełnił się w swoim marzeniu. Gonił je już za nastolatka i całe życie mu poświęcił. Aż dziw bierze, że znalazł czas na miłość z mamą i zabawę ze mną i Szczepciem. Przez marzenia o malarstwie i sztuce opuścił swoje rodzinne miasto. Bo tatko nie urodził się we Wrocławiu. Tatko wybrał sobie to miejsce. Zakochał się w krążących po krakowskich kawiarniach historiach o Grotowskim, Ludwińskim, Lach-Lachowicz, a że był studentem, to chcąc nie chcąc szlajał się po nich. A coraz bardziej nie miał ochoty błąkać po Krakowie i szukać swojego miejsca. Nie tylko przesiadywać w kawiarniach, ale i też malować, pytać sąsiadów o zdrowie, śmieszkować, popisywać się przed dziewczynami. Na samą myśl, że może wyjść poza to, co jest niezbędne, mięśnie odmawiały mu posłuszeństwa. Więc snuł się po kawiarniach w milczeniu. Zamawiał rozrzedzoną kawę w szklankach i dumał nad tymi wrocławskimi awangardami. Zupełnie różniły się od tego, czego uczył się na uczelni, ale pojedyncze słowa rozpalały mu czoło i duszę. Później zimną wódką popijał kwaskowy posmak kawy i wstawał od stolika. Opatulony smogiem, krążył po Kazimierzu, szukając zaczepki z ludźmi, którzy zamieszkali w domu po jego dziadkach, w mieszkaniach po ich sąsiadach i innych, których już nie było. Rozpalony nie myślał o niczym innym, tylko o wyprowadzce. We Wrocławiu szybko zdał sobie sprawę, że to miasto też ma swoje duchy, swoich przeklętych. Ale było wciąż miejscami dzikie i zielone, już odgruzowane, więc wiatr się rozpędzał po pustych placach, ulicach, polach i chwytał tatka za ramiona. On śledził wzrokiem dachy wysokich, poniemieckich kamienic, dawnych domów handlowych, wież kościołów. Przez pierwsze dni pobytu tatko chodził z głową w chmurach i przewracał się o wystające kocie łby. Wrocław wciąż przypominał wielki powojenny plac budowy, co pobudziło tatka do życia. Znalazł się w równoległej rzeczywistości do cenzury, beznadziei

i czołgów stanu wojennego. Malował, pisał manifesty, drukował ulotki, wymyślał parateatr. W ciemno chodził po mieszkaniach, które robiły za galerie, sceny koncertów. Na wernisaże przychodziły tłumy młodzieży, znajomych, zespoły muzyczne. Rura, Pałacyk, Luxus, tramwajarze z Solidarności, pomarańczowe krasnale krążyły po tatkowej orbicie. Nie zaprzętał sobie głowy marzeniami o paszporcie, słońcu i niemieckich markach. Wrocław ugasił tatkowe pragnienia sztuki, wolności i rewolucji. Zresztą wtedy on i Polska to była jedność. O to samo walczyli, przeciw temu samemu się buntowali i tak samo byli porywcy i niespokojni. Tyle się działo, czuł, że do tych lat on i Polska będą myślami wracać. Pierwsze wystawy, pierwsze wystąpienia, nielegalne koncerty, masowe protesty. Na strajkach Solidarności poznał mamę. Uratowało to nas, mnie i Szczepcia, przed klęską towarzyską w liceum. To były czasy, kiedy chwalono się ojcem działaczem i matką działaczką w strukturach Solidarności. Tatkowa ulotki, obrazy, happeningi wypadały słabo przy historiach z ZOMO w roli głównej, więc przynajmniej historia miłosna naszych rodziców robiła wrażenie na słuchaczach. Poznał mamę, kiedy już był po studiach. Był wciąż zapraszany ze swoimi obrazami do galerii, więc nie niepokoił się o swoją przyszłość artysty. Tatkowa bajka skończyła się w latach dziewięćdziesiątych. Znalazł się w stanie próżni ze swoim pędzlem. Nie potrafił znaleźć form, kresek, barw dla nowych treści. Malowanie przychodziło mu z trudem. Siedział nad kartką czy naprzeciw sztalugi i nic — pustka w głowie, pędzel z kamienia w dłoni. Jak już zaczął szkicować, wypełniać tło farbą, pędzlem stawiać pierwsze pociągnięcia, to potrafił na drugi dzień leżeć na kanapie zdrętwiały z rozterek. Toczyła go ta jego niemoc niemiłosiernie. W rozmowach ze swoimi dawnymi kolegami coraz częściej gościła cisza i skrępowanie. Nie mieli wspólnych tematów, bo ich codzienność bardzo się różniła. Tatko nie był już zapraszany ze swoimi obrazami na wystawy, nie zarabiał na malowaniu, nie pracował na uczelniach, w galeriach. Czasem miał wielką chęć powspominać dawne czasy, ale szybko z tej myśli rezygnował. Nie chciał wychodzić pierwszy z tematem, bo bał się, że koledzy odkryją, jak ciężko mu na duszy. A na dodatek ja ze Szczepciem rośliśmy, nasza kawalerka robiła się coraz mniejsza dla naszej czwórki. Coraz trudniej było o spokój w domu. Mama brała dodatkowe dyżu-

ry w przychodni, tatko miał przez to wyrzuty sumienia. W końcu zaczął zarabiać, ucząc plastyki i historii sztuki. W szkole każdy uczeń przypominał mu, że mógł malować inaczej, mógł bardziej się przykładać, wybierać inne kolory, kształty, tematy. Zaczął być zazdrosny o ich talent i możliwości. Wiedział, że to uczucie może być zgubne i łatwo się w nim zatracić, ale momentami poddawał się mu i stawał się koszmarem dla swoich uczniów. Nie był z tego dumny i posępny wracał do domu z pracy. Nieciekawym był to czas dla naszej czwórki.

Wielką pociechą w tych latach i w całym tatkowym życiu był Pan Staszek, jego kolega z roku. Pan Staszek lubił odwiedzać nas i przy herbacie rozmawiać o sztuce, latach osiemdziesiątych, o pojawiających się coraz częściej migrenach.

– Karolek, w tamtych czasach nawet spacer mógł być formą walki z systemem politycznym, choćby ze względu na nasz ubiór i wygląd. Wiesz bardzo dobrze, że mnie polityka nie interesowała – wspominał pan Staszek. – Lubię malować tylko to, co czuję. Przez całe życie moją największą przygodą były kobiety i seks. Niestety, wtedy musiałem porzucić te pasje przez niefortunny incydent. Pamiętasz? Raz namalowałem ministra jadącego mercedesem przed papieżem i ludzi pijących obok. Od razu zrobił się wielki skandal. Nie pamiętam nazwiska czy nawet stanowiska tego partyjniaka, który własnymi rękami wziął mój obraz i go wyniósł z galerii, ponieważ uznał go za pracę wielce szkodliwą, ale to dzięki niemu wtedy stałem się bardzo sławny. Na szczęście już nie muszę uprawiać sztuki walczącej.

Historie jak Pan Staszek stał się sławny i jak bardzo mu to ciążyło, słyszeliśmy wielokrotnie w domu. Pan Staszek, choć lubił kobiety i seks, nigdy się nie ożenił i bardzo tatkowi zazdrościł mamy i nas. Z naszą mamą to wręcz uwielbiał rozmawiać i często pytał ją o radę. Mama też lubiła pana Staszka i czuła się doceniana, kiedy opowiadał jej o swoich dolegliwościach, bólach, badaniach, które powinien sobie zrobić, wynikach tych badań i zaleceniach lekarskich. Życie pana Staszka już mu nie upływało na miłościach i sztuce walczącej. Mama czuła się bardzo podbudowana, że ważny wrocławski artysta zwierza się jej ze swoich niedomagań i słabości, a tatko cieszył się, że chociaż pan Staszek znajduje

chwilowe ukojenie w swoich bolączkach. Tatkowe też w końcu się skończyły. Jego praca w szkole dobiegła końca po kilku latach. Z ulgą przyjął zwolnienie. Został tramwajarzem, bo bardzo potrzebowaliśmy w domu drugiej pensji. Jak to się stało i jak sobie radził w nowej roli (a radził sobie znakomicie) – o tym później, bo diametralna zmiana w profesji nie oznaczała dla tatka porzucenia malarstwa. Obrął nieoczekiwany kierunek w swojej karierze. Wszystko zaczęło się od wpłaty na kawalerkę dla cioci Jadwini w pewnej spółdzielni. Babka Janka stwierdziła, że jest to najlepszy sposób na znalezienie męża dla swojej córki. Cioci Jadwini nie podobała się myśl, że zamieszka w kawalerce, dlatego swoje jednopokojowe mieszkanie nazwała „pannikiem”. Jej panik mieścił się w pewnej plombie na Niskich Łąkach. Plomba była pastelowa i pokraczna, ale miała duży balkon, wychodzący na ponemieckie kamienice, więc ciocia Jadwinia była zachwycona. Tatko w tej plombie zobaczył coś, co odmieniło jego życie i zakończyło męki twórcze. Na klatce schodowej od pierwszego piętra po ostatnie czwarte wisiały obrazy. Były na nich wazony z kwiatami, pieski, kotki, konie, domki na wsi, zachody słońca nad morzem, ratusze z kamienicami, drzewa w parkach... W skrócie wszystko, czego nigdy nie widział na wernisażach i w galeriach. Ogrom i zakres tematyczny był tak wielki, że tatko ponownie zaczął rozmyślać nad istotą i rolą sztuki. Postanowił ponownie spróbować szczęścia w malarstwie i iść śladem malarzy obrazów z klatki schodowej cioci Jadwini. Oczywiście znajdują się osoby, które prychną na widok obrazu zachodzącego słońca nad morzem i skwitują, że to jest niska sztuka, istny kicz, ale nie na ich ściany tatko malował obrazy. Nasza mama była zachwycona, jak malował bukiety kwiatów w jej wazonach, jesienne drzewa z ich spacerów po Podwalu czy Wzgórzu Partyzantów. W dni wolne od pracy tramwajarza sprzedawał swoje obrazy turystom i przechodniom pod pręgierzem. Pan Staszek towarzyszył mu. Siedzieli na małych składanych stołkach wędkarskich i oczekiwali na znaki zainteresowania ze strony przechodzących. Tako uśmiechał się najcieplej jak potrafił, ale przeczuwał, że skutek jego starań jest zgoła inny, niż zamierzał. W gardle go ścisnęło, jak miał odezwać się do klientów, więc pan Staszek zagadywał i zachęcał do bliższego zapoznania się z obrazami przyjaciela.

– Karolek, najważniejsze, że malujesz, to co czujesz. Reszta przyjdzie w swoim czasie – uspokajał tatka, kiedy ten zaczynał biadolić nad swoimi nędznymi umiejętnościami sprzedawcy.

Tatko z czasem się wyrobił. Jego obrazy cieszyły się zainteresowaniem, co zmobilizowało go do poszukiwań dalszych modeli i modelek. Pewnego wieczoru oglądał z nami dokument historyczny o Festung Breslau. Wpatrywaliśmy się w zagruzowane ulice, zniszczone budynki, bomby spadające na kościelne wieże. Na kadry tych miejsc nałożono zdjęcia sprzed oblężenia. Powojenne zgliszcza lekko prześwitywały przez zarysy budynków i przechodzących obok postaci dawnych mieszkańców. W tle wybrzmiewał głos lektora tłumaczącego na polski wypowiedzi niemieckich świadków oblężenia. Tatko, śledząc dokument, wpadł na genialny pomysł, ale niezwiązany ze sztuką. Wymyślił, jak zrobić biznes, który co prawda nie przyniósł nam milionów, ale dowartościował tatka i od tamtego czasu mogliśmy sobie pozwolić na wakacje pod namiotami w Grecji, tak przynajmniej mówiła mama. Tatko postanowił malować reprodukcje kadrów przedwojennego miasta i sprzedawać je niemieckim turystom. Podekscytowany pomysłem, krzątał się po domu. W nocy nie mógł zasnąć, dlatego dopiero na drugi dzień wczesnym popołudniem wybiegł zaspany z domu do biblioteki i wypożyczył album z fotografiami przedwojennego Breslau. I tak oto poznałam Neptuna z Nowego Targu. Na tatkowych obrazach posąg był grafitowy, a postacie dźwigające misę fontanny i delfiny – szare. Czarny książę, bohater Breslau. Tępicieł nieuczciwych polityków, skorumpowanych urzędników i morderców kobiet. Obrońca uciśnionych, postrach złoczyńców. Mogłam tak wymieniać godzinami. Mój zachwyty nad posągiem i nad moją wyobraźnią nie znał granic. Szczepcio dał się wciągnąć w wymyślanie historii o superbohaterze Neptunie. Jednak nie było między nami zgody co do kilku szczegółów. Według Szczepana Neptun nie mógł walczyć z nazistami w czasie Festung Breslau, bo przecież, to była bohaterska obrona miasta przed obcą Armią Czerwoną. Powinien pomagać w budowaniu barykad. W mojej historii Neptun bronił miasta i jego mieszkańców przed niszczycielskimi zapędami nazistów. Również spieraliśmy się o wątek, w którym Neptun został zgładzony przez radzieckiego żołnierza.

– Przecież ta historia kupy się nie trzyma! – oburzał się mój brat, historyk amator – jeżeli chcesz, żeby bronił miasta przed hitlerowcami to dlaczego ma paść ofiarą akurat żołnierza radzieckiego?

– Szczepan – westchnęłam ze zmęczenia tłumaczeniem. – Wojna to chaos. Tylko na Twoim dywanie ona jest uporządkowana. Twoje żołnierzyki trzymają się planu, nie ma żadnych niespodzianek, zwrotów akcji. Z góry wiadomo, jak się potoczy i jak się skończy.

Szczepcia zatkąło, a ja wstałam z krzesła i wyszłam z kuchni, zadowolona z siebie. Nie minął tydzień, kiedy wróciłam do malowania obrazu przedstawiającego nasz blok. Przy ostatnich pociągnięciach pędzla spod warstwy białej farby w słoiczku wyszła różowa, spod niebieskiej zielona, spod żółtej – czerwona. Obraz zniszczony, wszystkie farby w słoiczkach wymieszane. Zezłościłam się niezmiernie i głośno. Szczepcio wtedy wszedł do pokoju. Potoczył wzrokiem po obrazie, po rządku słoików z farbami i powiedział:

– Życie to chaos.

Mój brat od małego był gałganem. Nikt nie wie, po kim to ma.

Na przystanku pod szpitalem mama przekonywała mnie, żebym poszła do Klary na sylwestra.

– Od Twojego siedzenia w domu i zamartwiania się stan babci się nie poprawi. Jest pod dobrą opieką. Idź do Klary, przecież jesteś jeszcze młoda.

Ta „jeszczemłodość” brzęczała mi w głowie. Co prawda nie wiedziałam, co miałabym z nią robić tamtego wieczoru, ale nie dawała mi spokoju. Dochodziła siódma. Miasto kończyło przygotowania. Pierwsi noworoczni kolędnicy schodzili się w cekinach, w wieczornej czerni, obładowani siatkami z alkoholem. Na przystanku robiło się tłoczno. Pan z przodu, chcąc wyprzedzić swoją

przyszłoroczną niedyspozycję, składał życzenia przez telefon. Para po prawej omawiała wieczorną trasę. Byli jeszcze w wieku, w którym dostaje się po kilka zaproszeń, w którym jeszcze się chce. Po lewej grupka studentów dyskutowała, czy powinni wysłać życzenia dziewczynom, z którymi się umawiają. „Nie wysyła się życzeń noworocznych swoim randkom, złota zasada, trzyma się drugą osobę jak najdłużej w niepewności, taka gra” – włączyłam się do dyskusji w myślach. Jednak zdecydowali inaczej. Wyśła, a jeden odważny nawet zadzwoni. Młodzież doprawdy napała nadzieją. Spytałam mamę, czego sobie życzy w nowym roku. Odpowiedziała, że wakacji z ogniskiem nad jeziorem. Dopytałam, czy też z gitarą. Skwitowała, że niekoniecznie, i jej tramwaj nadjechał. Wkroczyłam na chodniki Wrocławia i co trzy, cztery kroki mijalam ludzi z małpkami i puszkami piwa w dłoniach. Im cięższy mijający rok, tym cięższa siatka z alkoholem, tym bardziej szalony musiał być ten wieczór. Zawieszeni w czasie, przejechani przez walec mijających dwunastu miesięcy, „apostołów” nowego roku, wdzięczni polskiemu państwu, że chociaż mają alkohol po taniości. Na wesoło trzeba wejść w Nowy Rok, inaczej łyży i wódka – tak mi doradziła dzień wcześniej pani Irenka. Ja nie byłam jednak przekonana, czy ma rację. U nas w rodzinie była wyraźna linia podziału, co do sprawczości poszczególnych dni. Część krewnych, tych z Żywca, powtarzała, że tak jak spędzamy wigilię, tak spędzimy cały kolejny rok. Reszta Polski wierzyła, że taką moc ma sylwester. Jedynie mama przekonywała, że to Nowy Rok jest tą kalką, dzięki której przewidzimy, co się stanie w przyszłości. Nikt jej nie wierzył. Wiadomo było, że nie lubiła, jak tatko z ciocią Jadwiną upijali się w sylwestra, bo chciała na drugi dzień jechać fiatem na wycieczkę w góry. Obie grupy trzymając w rękawie tylko jeden argument, chcąc nie chcąc, w oba dni pokazywali się z jak najlepszej strony. Ciocia Jadwinia komplementowała mamy sukienkę, babka Janka nie dopytywała się tatka, kiedy ostatnio sprzedał obraz, tatko nie odpowiadał na zaczepne dowcipy dziadka Janka, nawet Aza nie warczała na nas. A przecież w grudniu nie chce się przeokrutnie człowiekowi. Wszyscy odbębniają ten ostatni miesiąc w roku. Nie liczy się już, ile postanowień noworocznych zrealizowałeś, czy się zakochałeś, czy awansowałeś, pojechałeś na wakacje, a nawet, czy spełniłeś swoje marzenia. Po jedenastu miesiącach ścielenia łóżka,

jeżdżenia tramwajem wte i wewte, zakładania spodni, robienia zakupów, odkurzania, prasowania, mówienia „dzień dobry” i „do widzenia”, robienia miłych rzeczy, nierobienia złych rzeczy człowiek zasługuje na grudniowe nieróbstwo, najlepiej ze śniegiem w tle. W zamian dostaje tak samo wymagający i kapryśny miesiąc, a na deser kolację z dwunastoma daniami i ostatni dzień, w którym wypadaloby dotrzeć do dwunastej. Na dodatek grudnie nie bywają już śnieżne. My ze Szczepciem zachowywaliśmy się jak zawsze. Nie potrzebowaliśmy jeszcze żadnych przesądów, żeby być miłym i cieszyć się świętami i Nowym Rokiem. Zapukałam do pani Irenki zdać relację z wizyty u babki Janki. Zaprosiła mnie do salonu. Przyniosła z balkonu kawałki świątecznego makowca i zaparzyła herbatę. Po kilku kęsach ciasta stwierdziłam, że grudzień bez makowca musi nieść za sobą rozczarowanie. Zanurzyłam się w fotelu z kubkiem herbaty w dłoni i już chciałam wylać z siebie cały smutek pani Irencie, o tym jak mi ciężko patrzeć, jak mama z Szczepciem okłamują babkę, że lada moment będzie rehabilitacja, i kiedy widzę pod respiratorem jej radość, że za kilka miesięcy będzie mogła sama oddychać, wstanie, wróci do domu na Zachodnią. Ale uwagę pani Irenki całkowicie pochłonął jakiś muzyczny talent show lecący w telewizji.

– Przepraszam, zaraz mój program skończy się i porozmawiamy. Ja bardzo lubię go oglądać. Nie tylko dlatego, że ładnie śpiewają, ale lubię patrzeć na radość uczestników, kiedy zostają wybierani. Szczególnie na tych, którzy nie są młodzi. Opowiadają o tym, jak musieli porzucić swoje marzenia o śpiewaniu, bo albo chore dziecko, albo opieka nad mamą, bo musieli zacząć zarabiać na utrzymanie rodziny, a nie żyć mrzonkami – zachęcała pani Irenka.

– Ale w następnych etapach odpadają. Nie jest pani ich szkoda?
– dopytywałam.

– Kolejnych etapów nie oglądam – odpowiedziała.

Obejrzałam z nią do końca program i całkowicie kupiłam jej koncepcję rozrywki. Pani Irenka wyłączyła telewizor i spytała, co u babci. Odpowiedziałam, że bez zmian. Szczegóły zachowałam dla siebie. Złożyłam jej życzenia noworoczne i wróciłam do

mieszkania babki. Klara wysłała mi zdjęcie sylwestrowej karparki. Zostałam przekonana. Zeszłam ze Szczepina w kierunku Nadodrza. Klara mieszkała na Pobożnego z widokiem na Biedronkę na Niemcewicza. Kiedyś obok stała tam budka z kebabem. Biała z czerwonymi i czarnymi napisami. Polskie Nadodrze tak samo ją sponiewierało jak wszystko inne. Dziś była pokryta warstwą kurzu, rdzy. Napisy łuszczyły się pod wpływem słońca i smogu. Miejscami była łatana na chybcika, po domowemu. Nośiła na sobie wgniecenia, rysy, ślady po sprayu. Ale kebab był dobry i tani, a co najważniejsze swojski, prowadzony przez rodzinę romską. Ściągali do siebie całe towarzystwo z dzielnicy. Podjeżdżali swoimi furami, zamawiali, rozmawiali, jedli, krzyczeli do znajomych wychylających się z okien kamienicy naprzeciw, ci schodzili, zamawiali, rozmawiali, jedli, krzyczeli przez telefon do swoich ziomków z Sienkiewicza, Jagiellończyka, Trzebnickiej. W tle unosił się techno bit i skwaszenie sąsiadów wychodzących z zakupami z Biedronki. Wybijała dziesiąta wieczór interes zamykano, a po godzinie impreza gasła. Gdyby budka była poniemiecką kamienicą, doczekałaby zapewne rewitalizacji, ale była tylko obskurnym kioskiem z kebabem. Natomiast Biedronka poważnie potraktowała słowa miejskich radnych, którzy z dzielnicy chcieli zrobić kolejną wizytówkę miasta, ściągając do niej artystów, restauratorów, społeczników. Nowe Nadodrze kusilo ich niskimi czynszami i promocją. Kamienice wokół nabierały nowych kolorów, wstawiane były odnowione bramy zamykane na domofony, wszystkie okna miały ten sam kształt, tę samą ilość szyb i tę samą biel lub brąz. Mieszkańcy przychylniejszym okiem patrzyli na drugą stronę Odry. Biedronka nie mogła zostać tym samym supermarketem. Zarządzono remont. Plac wokół został ogrodzony. Po lecie i jesieni otworzono jedyną w mieście dwupiętrową Biedronkę. Budka z kebabem nie pasowała do nowej rzeczywistości. Romskie spotkania i melanje jednak wróciły. Nie zapomniano o starych nawykach. Jak całe Nadodrze wrywały się z nowej rzeczywistości. Owszem, nie wypadało już napić się piwa z puszki pod swoją kamienicą, bo przecież tuż obok za oknem, siedzą matki z dziećmi w kawiarni, trwa wernisaż wystawy fotografii. Krępuje załatwianie się w bramie, bo można oblać mural z wierszem wrocławskiej poetki. Ale włóczenia się po ulicach, chodzenia do całodobowych monopolowych,

przeklinania na sąsiada i na Polskę – tego im nie zabiorą. Zresztą to był ten rok, kiedy rewitalizacja obrała nieoczekiwany kierunek dla mieszkańców dzielnicy, i tych nowych, i tych z dziada, ewentualnie z pradziada. Zaczęto przywracać niemieckie napisy na ścianach kamienic. Stare, złuszczone, z brakującymi literami, akcentami, grzbietami znaków – do tego ich oczy się już przyzwyczały, a nawet polubiły i doceniły. Ale napisy pokryte świeżą farbą podkreślającą obcość wyrazów – tu już ich brwi się marszczyły, a oczy szukały drugiej pary, aby wymienić opinię, znaleźć towarzysza tych emocji.

Na rogu Kurkowej i Otwartej minęłam dwóch starszych sąsiadów z osiedla, ale tych dalszych niż bliższych, nie z klatki. Jeden stał jeszcze na Otwartej z żołądkową w kieszeni, a drugi już na Kurkowej kończył papierosa. Ten na Otwartej miał w sobie jeszcze świąteczne promile, a ten drugi, na Kurkowej, świąteczne kazanie proboszcza.

– Balangi? Najpierw z duszą zrób porządek, z własnym sumieniem zrób porządek, a potem myśl o balangach – słyszę.

Łatwo zgadnąć, który sąsiad któremu udzielił tej rady. „Za późno” – pomyślałam. Moja jaszczemłodość brzęczała w głowie, a zapach szpitala gryzł moją skórę. Przede mną świecił napis informacyjny: „Sklep 24/h. Alkohole świata”.

Mama pilnowała, aby od małego mnie ze Szczepkiem uwrażliwić na umieranie. Nie przegapiliśmy żadnego pogrzebu w Żywcu, nawet jak dotyczyły wujków i kuzynów, których mama nie pamiętała. W naszej rodzinie nie przestano robić zdjęć zmarłym. Tylko tatkowi mama nie zgodziła się zrobić zdjęcia. Jeżeli śmierć nie ma żadnej postaci, tylko jest duchem, to tatko nosił ją w sobie długo przed swoim odejściem i mama nie chciała go takim pamiętać. Nawet trumnę zakazała otwierać. W moim życiu już pożegnałam prababki Werę i Annę z Żywca, dziadka Janka, tatkę i nawet męża pani Irenki grzecznie uścisnęłam na do widzenia, a przecież tyle jeszcze przede mną. Z tatkiem było najcięższe pożegnanie, wiadomo. Prababki Anny nie pamiętam. Zmarła jak miałam trzy lata. Przy pożegnaniu z nią podobno zachowałam się bez zarzutów. Mama niczego mi nie wypomina. Natomiast

przez bardzo długi czas przed różnymi pogrzebami przypominała mi, jak w czasie ostatniej drogi prababki Wery skakałam po hałdach ziemi wokół grobu. Wtedy nie chowano ludzi do zimnego betonu. Jeszcze żaden przedsiębiorca nie odpowiedział na lęki przed robakami. Ja swojego nieokrzesa nie pamiętam. Dziadek Janek zmarł we śnie – wymarzona śmierć mojej mamy. Ja to wolałabym być świadoma w czasie umierania, ale zobaczymy, może mi się zmieni. Do babki Janki przyjechaliśmy przed północą. Piętnaście minut po telefonie pielęgniarki jechaliśmy taksówką do ośrodka. Czuwaliśmy przy babce całą noc. Mama i Szczepcio po obu stronach łóżka, a ja przy jej nogach. Na sali była absolutna cisza, jakby czas się zatrzymał. Pielęgniarki bezszelestnie uchylały drzwi, nic nie mówiły, tylko sprawdzały, czy to już. Pacjenci w sali bezgłośnie oczekiwali razem z nami na alarm maszyny, do której babka była podłączona. Jej ciało traciło ciepło, uścisk dłoni słabł, ale do końca patrzyła na mamę uważnie. Przestała oddychać o czwartej dwadzieścia. Wracaliśmy przez puste, ciemne miasto. Dzień był wciąż czystym rejestr. Ludzie dopiero budzili się, leżeli w łóżkach, wyczekując drugiego budzika. „Jeszcze piętnaście minut” – myśleli. Wciąż nic się nie wydarzyło. Nikt nie zdążył niczego zepsuć, czemuś przeszkodzić. A my już mieliśmy cały ciężar dnia za sobą. Wkroczyliśmy w czas z przewagą kilku długości. Wróciłam z mamą na Zachodnią. Ona położyła się spać do sypialni babki. Ja weszłam do kuchni i sięgnęłam odruchowo po notes. Sprawdziłam na komórce temperaturę. Było minus pięć stopni. Zapisałam temperaturę, brak opadów, godzinę wschodu słońca i śmierci babki Janki. Moje notatki były krótsze niż jej, ale tak samo jak ona odnajdywałam spokój w tych sprawozdaniach. Regularne, spisywane z własnej woli, bez konieczności, notowanie temperatury i obserwowanie nieba zaczęły przybierać charakter intymny. Szczepan zadzwonił z informacją z urzędu, że pogrzeb jest za dwa dni. Załatwił też dom pogrzebowy i księdza. Jeszcze tylko stypę trzeba było zorganizować. Nie musieliśmy wiele załatwiać. Babka Janka już dawno temu przygotowała się na śmierć. Kupiła specjalnie na tę okazję sukienkę, torebkę i buty. Miejsce na grób z pomnikiem czekało na nią od kilku lat. Kazała nawet wykuć swoje nazwisko, datę urodzenia i wstawić zdjęcie. W zakładzie kamieniarskim powiedziano jej, że od lat dziewięćdziesiątych

nikt już nie umieszcza zdjęć zmarłych na pomnikach, ale ona się uparła.

– Tak łatwo się nie zapomina zmarłego, jak z fotografii na ciebie patrzy z nagrobka – powiedziała właścicielowi zakładu, wręczając mu swoje zdjęcie.

Nie tylko ona miała wykupione miejsce przed śmiercią. Pośmiertnymi losami cioci Jadwini, tatki i mamy babka też się zajęła. Zafundowała rodzinie trzy piwniczki obok siebie, odgrozione od pozostałych grobów krzakami i brzozą. Była zachwycona, gdy dokonywała transakcji. „Taki nasz grobowiec rodzinny” – z dumą powtarzała i czuła się pierwszy raz w życiu jak bogaczka. A wszystko się zaczęło od dziadka Janka, który na sam koniec małżeństwa i swojego życia doczesnego, wywinął babce numer, bo jak umarł, to dowiedziała się, że wykupił już dawno miejsce na cmentarzu w Żywcu. Wszystko to trzymał w tajemnicy przed nami. Zdawał sobie sprawę, że jego żona nie będzie chciała wracać do Żywca na cmentarz, aby tam spędzić całą wieczność. Sekret wyjawiał krótko przed śmiercią cioci Jadwini i to na jej barkach zostawił dopięcie jego planu. A że było to życzenie umierającego, ciocia Jadwinia z powagą podeszła do tematu i nie uległa babcinym namowom i krzykom. Pod wpływem smutku za zmarłym obudziły się w niej wspomnienia tęsknoty dziadka za Żywcem i jego wzruszenia, ilekroć tam jeździł. Mama milczała, bo choć szanowała decyzję zmarłego, to uważała, że zbyt wysoką cenę zapłaci za jego sentyment. W skrócie, nie paliła się do przyszłych, całodniowych wycieczek, aby zapalić znicz i posprzątać liście wokół grobu. Babka Janka kipiała od emocji, rzucała przekleństwami na prawo i lewo, ale zawsze kierowała je ku nieboszczykowi. Postawił ją przed faktem i musiała zdecydować czy wybiera męża w Żywcu, czy nas we Wrocławiu. Dopiero rok po pogrzebie dziadka Janka podjęła decyzję, a zrobiła to odważnie i z rozmachem. Strasznie się bała, że tatko pójdzie za jej mężem, zabierze jej córkę do Krakowa na cmentarz i rodzina zupełnie się rozsypie. Jemu przez myśl to nie przeszło, bo nikt go nie namawiał do przyjazdu do Wrocławia. On sam wybrał sobie to miasto do życia, kochał je i nigdy nie tęsknił za Krakowem. Powtarzał jej to kilkakrotnie na alejkach cmentarza, ale

babka Janka wiedziała swoje i wierzyła, że nie tylko w naturze panuje cykliczność, ale również w wyborach ludzkich, więc na wszelki wypadek wykupiła jeden grób dla nich, a drugi dla cioci Jadwini i dla jej przyszłego wybranka. My z Szczepciem podziękowaliśmy jej ładnie, ale powiedzieliśmy, że nie skorzystamy, choć wcale nam nie proponowała, że wykupi i dla nas miejsca. Chcieliśmy trochę rozładować emocje, bo był ładny, słoneczny dzień wczesnej wiosny i też dlatego, że byliśmy zmęczeni całą tą historią. Wróciły wspomnienia pogrzebu dziadka Janka, który momentami przypominał ich rozwód, a nie ostatecznie pożegnanie. Po mszy ledwo co wsiadła do samochodu, zaczęła się odgrażać, że za tydzień znowu pojedzie do Żywca i wszystkie kwiaty, wieńce sprzątnie z grobu.

– Wiadomo, kwiaty i wieńce muszą leżeć co najmniej trzy miesiące inaczej jego dusza będzie się błąkać – tłumaczyła babka intencje swojej zemsty.

– Mamo, o czym ty mówisz? – oburzyła się nasza mama. – Mylisz się, jak wcześniej się posprząta grób zmarłego, to wciągnie do niego kogoś z bliskich, czyli najprawdopodobniej ktoś z nas umrze w krótkim czasie.

Babka machnęła ręką i skwitowała:

– Nie znasz się, córca.

Ja, wciągnięta w nastrój rozmowy, dodałam, że to jest zbyt poważna sprawa i że nie mam zamiaru, żeby dziadek mnie nawiedzał, bo miał dość osobliwe poczucie humoru. Babka przytaknęła i stwierdziła po raz setny, że po śmierci go dorwie. Nie wiem, czy to zrobiła, tak jak zaplanowała, ale nie chciałabym być na jego miejscu. Sprawdziłam pogodę, jaka będzie w dniu jej pogrzebu. Na ekranie wyświetliły mi się chmury z opadami deszczu. Szkoda, że nie śnieg. To dodaje otuchy, jak w dzień pogrzebu jest zmiana pogody. Wtedy człowiek sobie myśli, że słońce świeci, bo zmarły był tak dobrą osobą, albo świat oplakuje go razem z bliskimi lub inne banały. Tej zimy jeszcze nie śnieżyło. Nie było mowy o żadnym babraniu się, taplaniu, bałwanach, orłach i innych przyjemnościach. Jakby spadł śnieg w dniu pogrzebu babki, przeżylibyśmy taki mały cud nad Odrą.

Mama wstała dopiero przed wieczorem. Wyglądała na spokojną i wypoczętą. Jej zmarszczone czoło wygładziło się. Podeszła do szafy i wyjęła z pokrowca przygotowane przez babkę czarną sukienkę i jasnozielone buty. Wsunęła stopy w czółenka i przyłożyła sukienkę do swojego ciała. Spojrzała w lustro i przytaknęła głową.

– Dobry miała gust, ta nasza Janka – skwitowała i uśmiechnęła się jak każde dziecko, kiedy nazwie swojego rodzica po imieniu.
– Zostań na dłużej. Pomożesz mi posegregować i zapakować rzeczy babki – dodała.

Zgodziłam się. Zdałam sobie sprawę, że właśnie straciła swoją mamę i nie chciałabym nigdy znaleźć się na jej miejscu.

O powieści

Główna bohaterka Iga próbuje zakorzenić się w Holandii. Na wieść o udarze babci wraca na święta Bożego Narodzenia do rodzinnego Wrocławia. W połowie sparaliżowana kobieta przestaje samodzielnie oddychać i leży pod respiratorem. W obliczu nieuchronnej śmierci babci Iga mierzy się z życiem wrocławskim, które porzuciła po studiach. Obserwuje, jak jej bliscy radzą sobie bez niej, jak jej przyjaciółka angażuje się w swój związek, jak jej brat stawia pierwsze kroki w małżeństwie. Wspomina swoich zmarłych i ich utratę. Rekonstruuje historie rodzinne, odrzucając filtr i perspektywę dziecka, na nowo poznaje swoich bliskich i siebie. Każdy z bohaterów nosi w sobie jakieś marzenia, oczekiwanie na ich realizację lub ich niespełnienie.

W tle snuje się opowieść o dawnym Wrocławiu odbudowywanym i tworzonej na nowo przez migrantów i uchodźców, przez dziadka Igi, który opuścił Żywiec dla lepszych perspektyw i cały czas za nim tęsknił, przez rodzinę Klary pochodzącą spod Lwowa. O staraniach, aby spolszczyć wszystko, co było niemieckie, ale też o postaciach, takich jak Klara, która jako historyczka i reporterka zbiera opowieści

o przedwojennym Breslau, lub jej babka chowająca do piwnicy poniemieckie artefakty znalezione w mieście, by ocalić je przed zniszczeniem. Współczesny Wrocław jest pokazany z perspektywy lat 2015-2020 jako miasto, które dojrzało do zaakceptowania swojej historii i niemieckiego dziedzictwa – przyjęcia go jako elementu swojej tożsamości. Przytoczone miejsca, wydarzenia i anegdoty są prawdziwe. Choć w wypadku przywrócenie zniszczonej w czasie Festung Breslau fontanny Neptuna autorka pozwala sobie wyjść z własną propozycją wydarzeń, które odbędą się w przyszłości.



Prosto żyć

1

Byłam już tutaj wielokrotnie, a jednak ciągle zaskakuje mnie to wewnątrz. Byłam tu od razu, gdy tylko zaczęłam się interesować opisaniem tej historii, kiedy ona sama stanowiła dla mnie coś w rodzaju osobistego wyzwania. Kilka zdjęć, kilka e-maili, opowieść snuta przy kolacji. Byłam też później, kiedy historia stała się dla mnie rzeczywistością, a nawet byłam jej częścią. Teraz nadszedł czas, abym to uporządkowała, zostawiając puste miejsce tam, gdzie to konieczne, bo przecież ta historia będzie dalej.

Cała sprawa zaczęła się od wyzwania rzuconego ot tak, przy okazji jakiegoś wieczoru literackiego.

– Pochodzisz z tamtych okolic, masz pewnie jakieś stare kontakty. Jedź tam i napisz reportaż o nich. W dzisiejszych czasach taka historia będzie na wagę złota.

Odmówiłam w pierwszej chwili. Bałam się tej historii.

– Już nie piszę reportaży o zmianach, już nie. Nie jestem „instastory”. Nie potrafię opisywać historii w pięciu zdaniach. Teraz moje historie zajmują dużo więcej miejsca.

– No to zrób to po swojemu – nalegała Basia. – Niech to będzie nawet powieść sensacyjna!

Podniosłam brwi i kieliszek. Spojrzałam na nią przez swojego drinka. Jej karminowe usta błyszcząły. Opierałam się do momentu, gdy Basia zagroziła, że zaprosi do stolika wszystkich z kawiarni.

Pomysł z opisaniem historii nabrał nieoczekiwane kształtu.

Następnego dnia Basia przekazała mi swoje kontakty z informacją, że jestem umówiona na rozmowę w biurze wójta. Zadzwońlam do razu, póki miałam zapal, wiedziałam, że jak zacznę analizować historię, to prawdopodobnie się wycofam. Nie zdążyłam się nawet przedstawić. Słopotok sekretarki skutecznie to unieвозмоżliwił.

– Jestem niezmiernie wdzięczna, że pani dzwoni. Właśnie zastanawiałam się, kogo mogę prosić o pomoc. Kiedy może pani przyjechać i porozmawiać? Będę do pani dyspozycji. – W głosie kobiety brzmiała ulga. Co też Basia jej nagadała?

– Jeśli pani pasuje, będę jutro.

– Świetnie się składa, jutro wieczorem mamy kolację naszego klubu. Tym razem będzie zielono. Rezerwuję dla pani miejsce. Proszę przyjechać wczesnym popołudniem, zdążymy ze wszystkimi porozmawiać przed kolacją.

– A czy będzie pani Katarzyna? – upewniłam się.

– Oczywiście, to wszystko na jej prośbę. Zapraszam, proszę zapisać sobie telefon do mnie. – Podyktowała mi numer i rozłączyła się.

Patrzyłam przez chwilę bezmyślnie na milczący smartfon. Przemknęła mi myśl: „W co ja się wpakowałam?”. A potem zabrałam się do pracy. Jeśli opowieść ma być ciekawa, potrzebuję znaleźć wszystko, co się da o pani Katarzynie.

Zaczęłam od zdjęć.

Lubiłam stworzyć sobie wyobrażenie postaci, która ma stać się moim bohaterem. Podobały mi się jej krótkie włosy, bystre spojrzenie i oczy o migdałowym kształcie. Przypominała aktorkę Judi Dench, widać było podobną energię, niesforność, ale też czułość.

A teraz, po tym wszystkim, znowu tu jestem.

Świętowałyśmy wygraną, ale też zmianę. Świadomość, że się da, była niezwykle ożywcza. Obserwowałam Katarzynę, jak idzie do stołu po nowy kieliszek. Z drugiej strony sali ruszył w jej stronę

pan Edward. Szedł niespiesznie, kiwając głową do ludzi stojących w grupkach. Wyglądał jak dobrotliwy władca, aprobujący każde zachowanie swoich poddanych.

Podszedł do Katarzyny i stanął za nią, gdy ta sięgała po kieliszek. Byłam ciekawa, czy się wystraszy, gdy zobaczy go za swoimi plecami. Podchodziłam powoli do nich, żeby nie uronić niczego z ich rozmowy.

Katarzyna odwróciła się, jej ręka z kieliszkiem znieruchomiła. Nie doniosła go do ust. Po chwili nie dłuższej niż mrugnięcie lekko opuściła rękę. I delikatnie się uśmiechnęła do ekswójta.

– Chyba mnie pani nie unika? – Jego głos brzmiał kpiąco.

Otworzyła szeroko oczy. Mruknęła coś niezrozumiałego.

– Kto by pomyślał, że ten domek z mchu i paproci może być tak atrakcyjny.

– Cudowne były kiedyś bajki, nie sądzi pan? Ciekawe, ile jeszcze osób na tej sali je pamięta? – Rozejrzała się wokół. Podążyłam za jej spojrzeniem. Głowy zgromadzonych co rusz odwracały się w ich stronę. Ciekawiło mnie, czy ktoś robi zakłady, o czym Edward rozmawia z Katarzyną.

– Wie pani, dla mnie nadal ta cała sytuacja jest dosyć nowa. Cieszę się, że trafiło na panią. Syn ostatnio opowiadał mi o swoich doświadczeniach z grupą starszych pań z tego nowego koła, uczył je obsługi smartfona. On, młody, zareagował na pani ogłoszenie o budowie ośrodka wiedzy. Coś jest na rzeczy, że ludzie garną się do dzielenia wiedzą.

– Cieszę się. I co, podobało mu się?

– Powiedział, że sam nie wie, komu było trudniej przekazać wiedzę. Dla niego starość i jej problemy są równie abstrakcyjne, jak dla starych wirtualna rzeczywistość. Pierwszy raz musiał zrozumieć ich kłopot, żeby połączyć się z ich światem. Trzymając się jego języka informatyków, na razie siła sygnału była słaba. Z tendencją do wzrostu.

Oboje obrócili się w stronę, gdzie grupka młodych z czegoś głośno się śmiała.

Przypomniałam sobie, jak Katarzyna opowiadała mi przy jakiejś okazji, że początkowo taki śmiech przyprawiał ją o lekki dreszcz. Napakowane ciała, upchnięte w obcisłe T-shirty. Dumny, zamaszty krok młodych, którym wszystko wolno.

Chyba nie do końca była świadoma, jak działa na ludzi. Zmiany były niezauważalne. Parę razy usłyszałam prześmiewcze historie o obcej, której w głowie się przewracało. A jednak obdarzyła ich zaufaniem. I dała temu wyraz. Słuchała ich zdania, prosiła o rady, ale też nie zgadzała się i pokazywała, że można inaczej. Trudny był to dialog, a jednak udało się.

Centrum stoi i tętni życiem. Domek z mchu i paproci, dobre sobie.

Pamiętam, jak słuchałyśmy razem jej ulubionego podcastu Brené Brown o tym, że zaufanie buduje się na bardzo małych, z pozoru nieistotnych gestach, które nagle, po upływie czasu, stają się ważne, a każda ludzka interakcja jest szansą na zwiększenie kredytu zaufania. Nie ma zresztą neutralnych interakcji. Sprawa zaufania budzi niesamowite emocje chyba u wszystkich, nawet u mnie. Nie sądziłam, że aż tak pochłonie mnie ta sytuacja.

– Taak, teraz to widzę wyraźnie. – Długie milczenie przerwał znowu pan Edward. – Na nowe czasy potrzebujemy nowego stylu życia. To wymaga dojrzałości i wzięcia odpowiedzialności za bałagan, którego sami narobiliśmy. Ja na szczęście wiem, kiedy oddać sprawę w inne ręce. – Zaśmiał się szczerze. – Słyszysz pani, to o mnie. – W tle leciała słynna piosenka zespołu Perfect. – Trzeba wiedzieć, kiedy zejść ze sceny. Mam nadzieję, że wybrałem dobrą porę.

Katarzyna patrzyła na niego bez słowa. Wyglądała, jakby nie wiedziała, co ma powiedzieć. Oboje słuchali przez chwilę piosenki, rozglądając się po sali. Katarzyna łapała ukradkowe spojrzenia, ale też delikatne uśmiechy.

Być może wtedy przypomniła sobie pierwsze spotkania w tej sali.

Górski klub kolacyjny. To wtedy narodził się pomysł szkoły, centrum, klubu. Na początku wszyscy pałali entuzjazmem i chęcią pomocy. Dobrze ich rozumiała. Zapuszczali rodzinne korzenie w miejscu nieco nieprzyjaznym, gdzie nawet rozmowa o pogodzie mogła zostać źle odebrana. A ona też potrzebowała zmiany. Dusila się w mieście, w domu. Każde miejsce, każdy kąt przypominał jej Piotra. Jak dobrze, że siostra o niej pamiętała. Od czego to wszystko się zaczęło? Chyba od choroby mamy.

2

Kilka lat wcześniej

20.10.2020

Jadę do mamy. Marta dzwoniła i poprosiła o pomoc, nie daje już rady sama. Wzięłam kilka dni urlopu i papiery do zrobienia. Przyda mi się wolne.

Michał na kolejnym szkoleniu z liderzipu powiedział, że nikt w dzisiejszych czasach nie pisze już pamiętników. Pff! Co on tam wie. Mam w końcu czas na opisanie szkolenia w Danii i wymyślenie, gdzie to można wykorzystać.

Te widoki przesuwane się za oknem pociągu. Dania to taki zlepek wielu wsi, gdzie do perfekcji opanowano sztukę promowania lokalności. Chwalą się tym tak, jakby to był ósmy cud świata. A może jest? Przecież to takie proste. Rozejrzeć się dookoła, wybrać to, co najciekawsze, i pokazać innym.

Zadanie na kursie – zobaczyć jakąś miejscowość w Danii i stworzyć plan przeniesienia dobrych idei do swojej społeczności.

Wybrałam Skanderborg – bo niedaleko i nie ma tam nic takiego, żadnych wielkich atrakcji, słowem: powinna być nuda. Pogoda jak w listopadzie. A ci ludzie kompletnie się tym nie przejmują.

Budynek wygląda, jakby stał od dawna pod górką i prawie się z nią zróślił, dach pokryty mchem, ogromne tafle okien, kawa i książki. Muzeum czynne do dwudziestej! A kawiarnia w muzeum czynna do dwudziestej pierwszej. To przecież nie do pomyślenia u nas. Ale w sumie dlaczego? Przeczytałam w ich przewodniku, że rada gminy podjęła decyzję o dostosowaniu godzin pracy muzeum i biblioteki do czasu wolnego mieszkańców. Oni tu przychodzą się spotkać, porozmawiać, wypić kawę, zjeść ciastko, prowadzą kluby, dotowane częściowo przez gminę. Dzieci mogą przychodzić na warsztaty. Wiadomo, kiedy jest organizowane spotkanie z kimś ciekawym. Biblioteka też jest i ma całkiem fajne książki. Przypomina mi to księgarnię de Revolutionibus na Brackiej w Krakowie, tylko to jest mała wieś, a nie duże miasto. Jak oni to zrobili?

Po rozmowie z przemiłą panią w bibliotece jestem skołowana. Ona wierzy w to, że robi dobrze i tak powinno być. Ta służba w Danii to zaszczyt i odpowiedzialność. Niesamowite. W kawiarni całkiem sporo ludzi. Muzeum to tylko umowna nazwa. Oni tu mają po prostu miejsce spotkań. Kawiarnia prowadzona przez spółkę gminną ma ceny bardzo w porządku jak na Danię. Raz na miesiąc kolacja degustacyjna z wyrobami lokalnymi! Chwalą się tym wszem wobec: hodowle ekologiczne, przydomowe, wszystko hand made. Czują się jak u siebie w domu, siedząc w wygodnych fotelach wokół kominka! Pani mi mówiła, że cała gmina przeznaczyła duże środki na instalacje filtrów kominowych, dlatego nie ma smogu. Mogą palić tylko drewnem lub brykietami.

Myśl o szkole chodziła za mną już od jakiegoś czasu, chyba od momentu, gdy wskazówki symbolicznego „zegara zagłady” zostały przesunięte o dwadzieścia sekund do przodu. Niby tylko dwadzieścia sekund, ale zegar jeszcze nigdy nie wskazywał tak bliskiej katastrofy. Pomyślałam wtedy, że może to nie jest zagłada kompletna, tylko zagłada tego, co do tej pory znaliśmy i rozumieliśmy.

Sprawdziłam w słowniku, co znaczy słowo „apokalipsa”. Zaskoczyło mnie wyjaśnienie, że pochodzi z greckiego („odślonięcie, zdjęcie zasłony, objawienie”, od apokalýptein w znaczeniu „odsłaniać, ujawniać”; apó – „od” i kalýptein – „zasłonić”). Pierwotnie to nie było objawienie o dniach ostatecznych, unicestwienie, tylko prorocstwo i objawienie.

Pokażę siostrze mój plan i pomysł, może będzie wiedziała, do kogo z tym pójść. Na miejscu okaże się, co mogę, a czego nie da się zrobić. Może z mamą nie jest tak źle?

3

Siostra czekała na nią na parkingu przed dworcem. Miała jak zawsze włosy rozwiane w każdą stronę, zawadiacki uśmiech, ogromne okulary na nosie. Uściskały się szybko. Po drodze prawie na wyścigi wymieniały się ostatnimi informacjami. Mama po kolejnej chemii jest słaba i nie ma się co łudzić, że będzie lepiej. Pielęgniarka środowiskowa to pojęcie ze słownika wyrazów obcych. Marta zapaliła się do pomysłu klubu kolacyjnego.

– Wiesz, to jest myśl, można by wkręcić w to dziewczyny, które hodują rośliny, pieką, tkają, szyją i robią ceramikę. Jutro mamy spotkanie z okazji urodzin Ali, mojej przedszkolanki. Opowiesz im o pomysle i pewnie się uda. Zostawię cię teraz z mamą, bo muszę jechać do gminy, kolejne rozliczenie dotacji, termin mija jutro. Zapytam panią Basię, czy przyjdzie też na urodziny, ona w razie czego pomoże nam w kontakcie z wójtem, bez tego ani rusz.

W domu powitała je cisza i silna woń lekarstw. Jak w szpitalu.

– Dobra, zostawiam cię, wiesz już, co i jak, i tak jestem spóźniona. Na razie. – Marta poszła.

Katarzyna rozejrzała się po przedpokoju i poszła przywitać się z matką.

4

Przez delikatny ton Ludovico Einaudiego przedarł się trzask zamkniętych drzwi.

– Co to jest!?! – Na głos siostry zmarszczyła brwi i zamknęła oczy.

No tak, zapomniała o walających się w przedpokoju gazetach. Wpadła w trans, pracując.

– Co to ma być? Co tam się stało? Gdzie mama? – słowa wypadały z ust Marty jak kule z karabinu maszynowego.

– Spokojnie, to ja zrobiłam ten bałagan. – Katarzyna przeczesła dłonią włosy i podeszła do siostry. – Zapomniałam posprzątać, zajęłam się pracą, mama śpi spokojnie. Nie wrzeszcz, obudzisz ją. – Dotknęła ramienia Marty, odgarnęła jej włosy z czoła.

– Chodź do kuchni, pani Ziuta przyniosła rosół. Kiedy zdążyłaś jej powiedzieć, że ja będę? Bo nie zdziwiła się na mój widok. Pomogła mi ogarnąć sprzątanie. – Pociągnęła siostrę za sobą i do kuchni. Jej sweter szydełkowy rozdał się jak żagiel i zasłonił bałagan w przedpokoju.

Marta zdjęła kurtkę, rzuciła ją na krzesło i usiadła ciężko przy kuchennej wyspie. Jej obfity biust falował. Spojrzała na blat, był czysty, pachniał czymś cytrynowym. Kwiatki w miseczce przypominały jej letnie wakacje. Przeniosła spojrzenie na Katarzynę, która wyjmowała z szuflady miski. Kuchnia lśniła czystością. Białe szafki, stojące rzędem pod oknem, odcinały się bielą od drewnianego parapetu.

– Jedz, bo ci wystygnie. – Katarzyna postawiła przed nią parującą zupę.

– To co to za burdel tam jest? Miałaś opiekować się mamą, przecież po to przyjechałaś. Pani Ziuta sama zaproponowała, że będzie przez miesiąc gotować obiady i pomagać przy sprzątaniu. Martwi się zwyczajnie o mamę i nie ma z kim grać w remika. – Wyburczała już dużo spokojniej, rosół widocznie wpływał na nią kojąco.

– Mama zjadła obiad, byliśmy na krótkim spacerze, a teraz odpoczywa. Zasnęła niedawno, chyba uspokoiła ją muzyka z Nietykalnych. Nie mam co robić, więc zaczęłam planować tę szkołę. Mało czasu zostało do marca. Wyjęłam materiały z kursu i zrobiłam plan, jak zjesz, to ci go pokażę, uda się, zdążymy, ale musisz namówić Irka i Sebastiana, by nam pomogli.

Kolejne dni to było niekończące się pasmo spotkań. Nowe twarze, nowe pomysły. A wszystkich połączyła ta sama sprawa: poczucie sensu, budowanie zaufania i chęć wspólnoty. Okazało się, że nie trzeba opuszczać Polski, aby zbudować własny klan. Nawet najoporniejsze panie z kółka różańcowego dołączyły do grona tworzącego klub kolacyjny. Zarządzały grafiką i pilnowały budżetu.

Dobrze, że było od czego zaczynać. Stary budynek strażnicy świetnie nadawał się na przeróbkę. Młody syn wójta miał chęć się sprawdzić. Zaimponowała mu wiedzą, że Kopenhaga ma taki program, żeby budować wszystko ekologicznie, a na dodatek pokrycie dachu ma być z mchu. Pokazywała mu na zdjęciach, że są już podobne domy w Polsce. Pojechali zwiedzić Rusinową Polanę w Bieszczadach. Domy wyglądały pięknie na tle surowego, zimowego krajobrazu. Okazało się, że są pieniądze na ekologię i jest szansa je wydać.

Jola, znajoma Marty z urzędu gminy, pomogła napisać aplikację o grant. Znała fundację z Niemiec, która od dawna finansuje rozmaite poważne projekty ekologiczno-edukacyjne. Nawiązali z nimi kontakt i zgodzili się być partnerem. Remont ruszył. Znajomości z Kaospilot w Danii pomogły w znalezieniu konsultantów.

W marcu ruszyły spotkania klubu kolacyjnego. Co prawda, trudno było wierzyć, że liczba uczestników na początku będzie duża. Jednak Sebastian zapewnił, że fama już poszła, każdy chce zobaczyć to nowe. Jedna z pań rzuciła pomysł, że jej córka może pożyczyć ręcznie robione naczynia na pierwszą kolację. Druga poddała myśl, że płaci się na końcu za jedzenie, a jak ktoś chce, to może piękny talerz wziąć ze sobą, na zawsze, no i poszło.

Przyjdź, zjedz, zabierz do domu talerz, jeśli chcesz. Zasada od początku ta sama, nie było miesiąca, żeby nie odmawiały kolejnym chętnym.

A budynek dawnej strażnicy przepoczwarzał się powoli w szkołę.

Cudownie wyglądał na skraju zbrocza, otoczony przez pagórki.

Okna odbijały krajobraz z zewnątrz. W środku na korytarzu umieszczono terrarium, stare szafy, rzeźby i drewniane naczynia, a pod sufitem zawisły gałęzie z glinianymi, ręcznie malowanymi ptaszkami.

5

20.10.2021

To już rok! A może dopiero? Niesamowite ile udało się zrobić w tym czasie. Uruchomienie szkoły, której świetlica po południu zmieniała się w kawiarnię i salę spotkań, było początkiem zmian, kamyczkiem uruchamiającym lawinę.

Kilka dni burzowych, gdy cała okolica była bez prądu, bo stacja trafo się spaliła, przyspieszyła myślenie o uruchomieniu ekologicznej elektrowni. Poza tym, w radzie gminy znalazły się osoby, które wiedziały, na co skarżą się mieszkańcy i co chcieliby zmienić.

6

20.10.2022

To już chyba tradycja, że piszę podsumowanie roku w tym dniu. Postanowiłam, że to będzie moja data, moje święto założenia plemienia.

Sięgam pamięcią do zachowanych obrazów ze Snaderborga. Otwieram oczy, patrzę przed siebie i czuję dumę.

W nieprzyjaznym środowisku, gdzie każda nowa rzecz może nam zaszkodzić, można się albo poddać, albo zacząć myśleć. Powoli, do przodu, zrobić pierwszy krok, a potem następny.

Na razie biję się z myślami, czy zdecydować się na kandydowanie. Jeszcze trochę czasu jest. Męczy mnie świadomość, że to trudne zadanie, nie wiem, czy mi się w ogóle chce.

Pani Krystyna umówiła mnie na spotkanie z dziennikarką, która podobno może mi pomóc przejść przez cały proces. I pomoże z obsługą medialną. Jutro mamy spotkanie przy okazji kolejnego klubu. Muszę znaleźć coś zielonego do ubrania się. Zielony to przecież kolor nadziei.

O powieści

Katarzyna, studentka I roku studiów prawniczych, dziewczyna Roberta, syna znanej w miejscowej palestrze pani mecenas, poznaje reguły rządzące zamkniętym światem znajomych. Kiedy po raz pierwszy i ostatni spotyka się z panią mecenas, poznaje, czym jest brak akceptacji społecznej. Ucieka i postanawia znaleźć lub zbudować swoje plemię. Wola należenia do wspólnoty, talent do realizowania marzeń i poznani ludzie powodują, że staje się organizatorką szkoły na wzór edukacji w Danii. W trudnym świecie nieufności i braku akceptacji społecznej przetrwać może tylko wyjątkowa kobieta.



Polot

To nie do pomyslenia. Zupełnie. To znaczy, z jednej strony jak najbardziej, to normalna rzecz, powinna być normalna, ale w mojej sytuacji jest zupełnie nienormalna. Nierealna. Nie do pomyslenia.

Na pierwszy rzut oka jestem zwykłym nastolatkiem (chłopak, blondyn, okulary, grzywka całkiem nieźle przycięta, pasiasta czerwono-żółta koszulka z krótkim rękawem, ci bardziej bystrzy zauważą, że à la lata 90. – megastyłowa, krótkie czarne spodnie, tutaj akurat bez szaleństw, czarne Vansy i białe skarpetki), grzecznym uczniem, może trochę za cichym, ale sympatycznym (choć, co już można było zauważyć: z rozeznaniem w modzie). Jeżeli jednak ktoś znalazłby się w mojej głowie, na moim miejscu, zorientowałby się, że z tej perspektywy te wspaniałe, idące gęsiego ze złożonymi do paciorka dłońmi „zwykłość”, „grzeczność”, „cichość” i „sympatyczność”, są tak naprawdę jedną emocją na sześć liter: STRACHEM¹. Strachem przed wszystkim co ode mnie większe, mądrzejsze, bystrzejsze, fajniejsze i tak dalej, wiecie, o co chodzi. Dlatego ta rzecz, która obecnie ma miejsce, jest w mojej sytuacji tak bardzo dziwna.

Jaka rzecz? Otóż przede mną (dobrze ubranym, to już wiesz) siedzi właśnie zjawiskowa dziewczyna. Ma zamknięte oczy, namięte, lekko rozwarte usta i liczy na to, że moje usta... wiadomo.

I to jest właśnie niezwykle. Ten moment, który miał nigdy nie nadejść, a naszedł dla mnie właśnie wtedy, gdy mam na sobie

¹ Niefortunnie w narzędniku to słowo na sześć liter ma liter osiem. Wiem, sam policzyłeś czytelniku, przepraszam. Chciałem tylko: a) zapewnić, że ja też umiem liczyć, b) dać dowód na to, że polska gramatyka jest beznadziejnie głupia i nie powinna być obowiązkowa na żadnym szczeblu edukacji – po co? (Wiem, że dowód nie jest zbyt logiczny i mocny, ale robię co mogę).

czerwono-żółtą koszulkę, czarne spodenki², czarne Vansy i białe skarpetki, obowiązkowo podciągnięte à la lata 90. Całowanie ćwiczyłem wielokrotnie na szybie, lustrze i ręce, ale perspektywa dotknięcia ustami czyichś ust od zawsze była dla mnie wielkim, nieosiągalnym marzeniem. Jeszcze dwie godziny temu chwycenie dziewczyny za dłoń to był Święty Graal, zupełna ekstaza, totalne zdobycie ośmiotysięcznika. A teraz ona siedzi obok, kilka, kilkanaście centymetrów dalej, jej usta są wilgotne, o, właśnie je jeszcze raz oblizuje, połyskują więc tylko dla mnie, dla moich warg, dla których jeszcze dwie godziny temu najmiłym doznaniem był łyk zimnej Fanty, albo smak mentolowego papierosa. Wszystko to się może zmienić w sekundę albo pół. Wystarczy tylko przysunąć twarz. Zbliżyć ten zbyt duży nos, niestety nieco nieporadne oczy, policzki spieczone słońcem, mokre czoło z dwoma wrednymi chcącymi zepsuć imidż pryszczami i głównego aktora, w zasadzie parę głównych aktorów – usta.

Tylko, że to nie takie proste.

Siedząca przede mną Ala jest dziewczyną, której nie oszukasz. Jest niby tylko trzy lata starszą studentką pierwszego roku malarstwa na Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach, ale ma doświadczenie na oko z dziesięć lat starszej kobiety. Jestem przekonany, że w podobnej sytuacji jak ja teraz (albo odwrotnie, będąc na tym miejscu, na którym jest teraz) znalazła się po raz setny lub tysięczny, dlatego nie wcisnę jej kitu, że robiłem to milion razy. Ala od razu pokapuje się, że to mój debiut, że nurkując na oślep językiem w jej gardle tracę właśnie „pocałunkowe dziewictwo”. Na Akademiach Sztuk Pięknych robi się różne rzeczy, to w końcu artyści, pozują przed sobą wzajemnie topless, albo nago, piją hektolitry alkoholu (żeby to był tylko alkohol!), palą najbardziej podejrzane i najlepiej kopiające skręty świata, a nocami dzieje się to co najlepsze i najbardziej ryzykowne. Nocami studenci ma-

² Zapomniałem dodać, że spodenki są z Adidasa. Kupione w lumpie za 7 zł! 7 zł!!! A jakby niechodzone. Zdaję sobie sprawę, że chłopak w moim wieku (siedemnaście lat) szukający ubrań w lumpeksie to ewidentnie gość homo, ale nic z tych rzeczy. Wiem po prostu, co znaczy dla człowieka dobry ubiór i styl. Choć do homoseksualistów nic nie mam, swego czasu nawet myślałem, że nim jestem, ale poznałem Alę. O Ali przeczytasz w następnym akapicie.

larstwa wymieniają się kochankami w pakiecie z najbardziej egzotycznymi chorobami wenerycznymi i wirusami od HPV począwszy, na HIV skończywszy. To znaczy tak sobie wyobrażam, bo Ala na każde moje pytanie o życie artystyczne uśmiecha się znacząco. Sprzedaje mi swój piękny malarski uśmiech. Idealny do namalowania. Ala cała jest zresztą idealna do namalowania. Wyobrażam ją sobie czasem jako tę laskę w *Titanicu* rozłożoną nago na kanapie, a siebie obsadzam w roli, którą grał DiCaprio. Tylko, że Ala jest ładniejsza od tej aktorki, ja taki uroczy jak Leo jeszcze nie jestem, no i nie umiem malować. Mam za to wybujałą wyobraźnię.

Nigdy bym sobie jednak nie wyobraził, że nasze luźne wyjście na wegeburgery skończy się akcją usta-usta, a właściwie przygotowaniem do niej. Trzy lata starsza studentka malarstwa! Z zamkniętymi oczami, błyszczącymi ustami, lekko rozwartymi wargami, dobrze, modnie ubrana, na lata 70. W sumie modowo lata 70. dużo się od 90. nie różnią, więc dobrana z nas para. Zastanawiasz się pewnie co taka dziewczyna we mnie widzi. Podejrzewasz zapewne, że chodzi o mój styl: świetnie dobrane, prawidłowo leżące, niebanalne ciuchy. Ja mam natomiast inne podejrzewania. Urzekła ją moja dojrzałość, poczucie humoru i wrażliwość.

Co do pierwszej cechy, pomimo młodego wieku bez wątpienia jestem osobą odpowiedzialną. Muszę, bo mieszkam w domu z nieodpowiedzialną czterdziestoletnią matką, która przeżywa drugą młodość, mentalnie znów ma dziewiętnaście lat, obecnie przechodzi coś w rodzaju nastoletniego buntu. W domu rozpiżdziel, nie ma komu umyć naczyń, w ogóle nie ma komu ogarnąć mieszkania, bo popołudniami śmiertelnie zmęczona mamusia śpi, żeby wieczorem iść na imprezę, albo drugą zmianę do pracy. Robi („Urabia się!”, „Wypruwa żyły!!!”, „Haruje jak pierdolony wół!!!”) na dwa etaty – jako kelnerka i barmanka. Pieniędzy z tego nie ma, ale są za to wspaniałe relacje międzyludzkie: częste wizyty sympatycznych tatusiów, kolegów z pracy, klientów, sąsiadów, kolegów kolegi, kolegów sąsiada, nawet czasem przychodzą do nas faceci, których mama później nazywa prezesami, ale nie chce mi się wierzyć, że mają coś wspólnego z tym stanowiskiem.

W tym wszystkim jestem ja i mój młodszy o pięć lat brat, który całej sytuacji jeszcze bardziej nie ogarnia i miota się od mieszkania ojca³ do siedziby/speluny naszej matki, gdzie ja też obecnie stacjonuję.

Druga cecha – poczucie humoru jest czymś, do czego bardzo głupio jest kogoś przekonywać. No bo opowiadanie o tym, że moje kawały robią furorę na imprezach rodzinnych⁴ jest raczej słabe i mało wiarygodne. Co więcej, jestem pewny, że ludzie pozabawieni poczucia humoru albo z poczuciem humoru tzw. „sugarowym” są bezsprzecznie przekonani o swoich cudownych zdolnościach w rozbawianiu innych ludzi. Daję głowę, że na przykład taki Karol Strasburger uważa się za mistrza dowcipu. A ja po prostu wiem, że mam poczucie humoru, które przyciąga ludzi (inteligentnych!) i tyle. Nie będę nikogo do tego przekonywał.

Ostatnią cechą, która moim zdaniem urzekła Alę, czyli wrażliwość, opisałem pokrótce w trzecim przypisie, szczerze mówiąc, nie chce mi się więcej o tym mówić. Wiadomo, lubię zwierzęta, jestem wege, nie zabijam, nie kradnę, trochę palę i piję (ale w racjonalnych ilościach), oszczędzam wodę i przesadnie martwię się o wszystko. W zasadzie to wspomniane na początku tej hi-

³ Rodzice się oczywiście rozwiedli. Ojciec jest wykładowcą akademickim. Nie chce mi się o nim opowiadać, jemu też odbiło. Miał na mnie jako taki wpływ, nie powiem, ale w tym momencie unikam z nim kontaktu. Może to właśnie on jest powodem obecności w tej krótkiej historii przypisów. Dużo z ojcem rozmawialiśmy swego czasu o literaturze, on chyba jest też „przyczyną” mojej wrażliwości. Chociaż nie wiem. Równie dobrze może być nią matka, która od dziecka zabierała mnie do teatru, gdzie zwykle robiła mi wstyd. Na komediach piła na cały głos, a na co bardziej tragicznych historiach chlipała, nic sobie nie robiąc z pochrzkujących ludzi wokół. Mnie też się ten ekspresyjny, emocjonalny rollercoaster udzielał, do momentu kiedy zorientowałem się, że to trochę nie wypada. Pomimo późniejszej niechęci do wychodzenia do teatru z matką, a potem do niej samej, wybudzona w najmłodszych latach emocjonalność nie wyparowała, jednak od kilku lat płakałem i śmiałem „do środka”.

⁴ Sytuacja czysto teoretyczna, w moim życiu NIE MA czegoś takiego jak imprezy rodzinne. W zasadzie rodzina to zbiór pusty. Dobra, może ewentualnie wrzuciłbym do niego brata i dziadków, ze strony matki, ale tak jak mówię – ewentualnie.

storyjki słowo STRACH⁵ chyba najlepiej może zobrazować moją wrażliwość. Jestem introwertykiem, takim maksymalnym, ale mam momenty, że się otwieram i potrafię pogadać z nową osobą, czasem nawet się powyglupiać. Niestety, często po momentach „otwarcia się na życie” wraca do mnie ogromna, gorąca fala wątpliwości i obaw, w której się topię, dławiąc się obrazami wszystkich spotkanych nieco wcześniej ludzi pękających ze śmiechu na wspomnienie o takim debilku jak ja. No ale widocznie niektórych takie dziwaki urzekają, jedną z tych osób jest ta młoda mallarka, która siedzi teraz przede mną i czeka na moje usta.

A więc Ala oblizuje delikatnie i powoli swoje wargi, które, jak zostało wspomniane, są namiętnie rozchylone. Są też różowe i pełne, myślę, że mogłyby być niezłą inspiracją dla kobiet chcących zrobić operację plastyczną tego elementu twarzy. Słowo „element” jest krzywdzące, bo bliżej jest im do jakiegoś totalnie zachwycającego, boskiego cacka, wymuskanego przedrogiem biżuterii stworzonej tajemniczą metodą przez natchnionego japońskiego mistrza, otoczonego zasłużoną sławą, a może i legendą. Takie misternie wyrzeźbione lub utkane z najdroższej materii usta mogłyby wywoływać wojny, leczyć z najgorszych chorób, przenosić do innego wymiaru⁶. Powszechnie wiadomo, że usta różnych równie pięknych kobiet właśnie takie rzeczy wielokrotnie powodowały w historii ludzkości. Pytanie, czy uda mi się zdecydować, żeby te właśnie dwa różowe cacka uratowały, przeniosły, wyświęciły, rozbudziły, rozkochały, zamordowały, uzdrowiły czy zrobiły cokolwiek tego typu właśnie mnie, tutaj, teraz?

Z każdym słowem czasu coraz mniej. Tak, zdaję sobie z tego sprawę. Tak, wiem, że Ala nie będzie wiecznie siedzieć z zamkniętymi oczami i otwartymi ustami, czekając aż ja łaskawie uraczę ją pocałunkiem. Pół sekundy po tym jak ona te swoje wspaniałe wargi oblizuje, ja decyduję się w końcu przysunąć twarz. Przysuwam więc twarz. Jest bardzo blisko. Wcześniej było spokojnie,

⁵ Wielkie litery są intencjonalne.

⁶ Plotąc takie rzeczy, mogę sprawiać wrażenie zakochanego, ale to tylko zwykłe rozkminy, może nieco zbyt poetyckie, chodzi mi tylko o to, żeby oddać cudowność jej ust. Bo są cudowne!

teraz zaczęło coś mi grać w brzuchu, a właściwie to i w brzuchu, i trochę wyżej, w klatce piersiowej. Podskoczyły jakieś kontrolki w ciele, adrenalina czy coś. Mózg od ciała dostał sygnał w stylu: „będzie się działo” albo „zapinamy pasy” i wystartował tryb specjalny. Wiele więc rzeczy podskoczyło, w tym jedna, o której nie wypada opowiadać, ale rzetelność nie pozwala mi tego nie zanotować⁷. Teraz pytanie: zamykać oczy czy nie?

Mógłbym inspirować się oczywiście filmami, ale to by było zbyt proste, bez polotu⁸. Nie można pozwolić, żeby filmy uczyły nas jak żyć i jak całować. Chociaż niestety ten sposób zdaje się najbardziej naturalny. Przypominam sobie wszystkie sceny pocałunków z reklam, billboardów, zdjęć – chyba na każdym całujący się mają zamknięte oczy. Gest ten oznacza uległość, poddanie się drugiej osobie, wejście w pewien rodzaj transu. Ale jak wejść w trans, będąc zupełnym amatorem? Zamknięcie oczu może poskutkować, za przeproszeniem, „chybieniem celu”. Zderzymy się (filmowo!) nosami, albo ją ugryzę, mogę też nie zauważyć, jakichś jej subtelnych kobiecych znaków, żeby całować mocniej albo lżej, albo że idzie kelnerka z herbatą. Bo o tym, z tego co pamiętam, nie powiedziałem – jesteśmy w kawiarni, trochę takiej spelunie na obrzeżach Katowic, miejscu stworzonym chyba przede wszystkim dla zakochanych. Ogromny wybór kaw i herbat, cicha romantyczna muzyczka, intymna atmosfera.

Ona oblizuje wargi, ja przysuwam twarz. Czuję jej oddech, kawo-

⁷ Nie precyzuję, bo to by było żenujące. Każdy bardziej rozgarnięty się zorientuje, co może podskoczyć nastoletniemu chłopakowi przy pięknej dziewczynie mającej na niego ochotę.

⁸ Wiem, gadam o polocie w sytuacji, w której do polotu mi tak daleko, jak z Katowic do Kalifornii (na mapie, nie w słowniku). Gdybym był pełen polotu, wziąłbym ją w ramiona i tak wycałował, że zapomniałaby, jak się nazywa. Albo inaczej: jedną dłońią złapałbym ją za szyję, delikatnie wcześniej muskając, tak żeby przypawić ją o dreszcze, druga dłoń romantycznie odgarnęłaby jej kosmyk włosów, przygotowując na niezapomniane uniesienia, moja twarz przybliżyłaby się delikatnie, ale stanowczo, umożliwiając finezyjne muśnięcie (też delikatne i zdecydowane) ustami o usta. To by był polot! W tym momencie chodzi o zrobienie tego po prostu dobrze. Po prostu dobrze. W „po prostu dobrze” też może być choć odrobina polotu, tak sądzę.

wy oddech, zapach ziemistej czarnej kawy, bardzo pociągający. Ona chyba też wyczuwa ten mój ruch, bo uśmiecha się, na policzkach tworzą jej się symetrycznie małe, urocze dołeczki, uśmiech ten sprawia, że odkrywa też na moment górny rząd zębów. Nie jestem dentystą, nie będę się wdawał w szczegóły, trudno mi tylko uwierzyć, że skoro, jak mówi, wypija do dziesięciu kaw dziennie – jej zęby, a właściwie ząbki są mlecznobiałe. Zanim zdradzę czy zdecydowałem się zamknąć oczy czy nie, wypada jeszcze skomentować specyficzny ton z jakim się o Ali wypowiadam. Jak już zostało nadmienione w przypisie numer sześć, pomimo wyzierającej spod peanów ogromnej fascynacji i sympatii do siedzącej przede mną studentki pierwszego roku malarstwa, jeszcze się w niej nie zakochałem. Traktuję ją jako koleżankę. Bardzo sympatyczną i bardzo atrakcyjną koleżankę, która może okazać się niezwykle przydatna w zbieraniu doświadczeń życiowych, na czele z pierwszym pocałunkiem⁹. Wszelkie słodkie słówka i komplementy, które prawię odnośnie jej osoby, są wynikiem pewnego rodzaju chemii, która wytworzyła się między nami w momencie, w którym Ala ni z tego, ni z owego spojrzała na mnie zalotnie i wystrzeliła tekstem: „A teraz mnie zaskocz, zrób coś szalonego!”¹⁰. Zamknęła oczy i seksownie przygryzła wargi. Dwie sekundy później nastąpiło opisane już oblizanie warg, potem ja zbliżyłem swą twarz do jej twarzy.

Zdecydowałem na wszelki wypadek nie zamykać oczu. Będę dokładnie obserwować, co się dzieje z jej twarzą, czy jej się podoba czy nie, czy ktoś się na nas przypadkiem głupio nie patrzy i czy nikt nie jest przypadkiem urażony naszym zachowaniem (choć jak mówiłem, wewnątrz kawiarni zapewniało intymność). Patrzę się więc na jej ujmujący uśmiech, dołeczki w policzkach, ząbki

⁹ Nie znaczy to, że chcę ją wykorzystać, oboje przecież możemy na pocałunku zyskać. Ona z pewnością mniej, ale nie sugerowałaby tego typu interakcji, gdyby nie przewidywała płynącej z niej przyjemności.

¹⁰ Miałem na początku nieodparte wrażenie, że to tekst z reklamy McDonald's albo innej sieciówki, przez moment przyszło mi do głowy, żeby podzielić się tą informacją, ale kiedy zdałem sobie sprawę, że rzeczywiście się coś kroi, zrezygnowałem. Podobieństwo do haseł reklamowych było chyba w przypadku tego tekstu niezamierzone.

i nie mogę wyjść z podziwu, że akurat ona i akurat ja, i akurat dzisiaj. Nic na to nie wskazywało, nad wegeburgerem gadało się jak zwykle na normalne tematy, trochę o ciuchach, trochę o filmach, ocenialiśmy też z nudów urodę polskich aktorek, przez moment przeszło mi przez myśl, czy przypadkiem Ala nie traktuje mnie jak jedną ze swoich przyjaciółek, czy nie jestem w jej oczach stereotypowym „kolegą gejem”, z którym można poplotkować i w ogóle pogadać o wszystkim. Po jedzeniu zaproponowałem kawiarnię, zaznaczyłem, że jest dobry klimat, niezła kawa, można sobie usiąść w kącie, poczułować, odlecieć. Była zaskoczona, ale uśmiechnęła się w podobny sposób jak teraz. Wtedy też zwróciłem uwagę na dołeczki rozmieszczone z matematyczną precyzją, dodające jej nieprzeciętnej twarzy czegoś w rodzaju kropki nad i, mogącej służyć jako ostateczny dowód na to, że oto mamy do czynienia z czymś więcej niż tylko zwykłą twarzą.

Twarz jest więc przy twarzy, zanim jednak nastąpi ostateczny ruch, złączenie dwóch ust, czterech warg, najpewniej też dwóch języków, pozostaje jeszcze kwestia etyczna i higieniczna. Ta pierwsza łączy się z moim światopoglądem, mianowicie mam przekonanie, że całowanie się z drugim człowiekiem to nie jest byle co, to nie zwykła czynność w stylu podania sobie rąk. W momencie decydującym, tuż przed ostatecznym „zbliżeniem” uświadomiłem sobie, że najprawdopodobniej po pocałunku nasze relacje się zmienią. Jasne, nie muszą się zmienić, ale nie jest wykluczone, że albo Ala oszaleje z miłości, albo paradoksalnie, po złączeniu ust, nasze losy się rozłączą. Żeby była jasność, ja osobiście wcale nie uważam pocałunku za wielkie aj-waj, ale mam świadomość jego tradycyjnego, społecznego znaczenia (z pewnością większego niż podanie sobie ręki), przez co obawy, że może on być początkiem końca tej relacji. Może lepiej przed takim pocałunkiem porozmawiać, sprecyzować swoje oczekiwania względem drugiej osoby, naświetlić wszelkie niejasności mogące później spowodować jakieś ewentualne nieprzyjemności. Nie jestem zakochany, czy zatem powinienem całować? Dziewczyna zachęca, jednak jej decyzja jest z pewnością efektem zakochania. Jeżeli tak jest i pocałuję, wygeneruję automatycznie kolejne zobowiązania, które niekoniecznie byłbym chętny spełniać. Nadzieję daje rodzaj jej prośby: „zrób coś szalonego!”

sugerujący raczej chęć czystej niezobowiązującej zabawy. Ale czy miłość, której początkiem jest niewątpliwie zakochanie, nie jest czymś szalonym? Znając jednak styl życia artystów, najbardziej prawdopodobna jest po prostu chęć urozmaicenia sobie popołudnia, a nie żadne głębsze rzeczy.

Z tym artystycznym stylem życia łączy się również kwestia higieniczna. Jeżeli Ala całowała się w życiu z, dajmy na to, dwudziestoma facetami, z których każdy całował się, dajmy na to, z trzydziestoma dziewczynami (lub facetami) daje to razem około 600 osób¹¹ mniej lub bardziej zaangażowanych w ogólnopolski, a w dobie Erasmusa – międzynarodowy rynek wymiany bakterii metodą usta-usta, do którego za moment mogę dołączyć. Szansa, że któraś z tych osób była nosicielem wirusa HPV, HSV1 lub HSV2 jest więcej niż pewna. Ogromna jest więc ewentualność, że na tych cudownych, miękkich ustach czai się ustrojstwo, które mogłoby doprowadzić mnie do opryszczkowego zapalenia mózgu, opryszczkowego zapalenia opon mózgowych, opryszczkowej choroby gałki ocznej, opryszczkowego pęcherzykowego zapalenia skóry, opryszczkowego zapalenia gardła i migdałków lub po prostu wyprysku opryszczkowego – na które zupełnie nie mam ochoty. Ale z drugiej strony w środkach transportu publicznego, czy publicznych toaletach również czyhają na nas podobne zagrożenia i ryzyko podejmujemy. Mój organizm na szczęście jest dość odporny.

Twarz mam więc przy twarzy Ali, sam przed sobą zgłaszam gotowość do akcji. Decyzja podjęta, w zasadzie szereg decyzji, czuję się trochę jak spadochroniarz z filmu o drugiej wojnie światowej. Pali się zielone światło, znajduję się jakby tuż przy krawędzi samolotu, wiatr rozwiewa wszystko co wokół, skupiony jestem na jednym punkcie, widzę tylko przepaść, widzę rozchylone różowe usta i mam już skoczyć, kiedy nagle lampka staje się na powrót czerwona. Wzrok kieruję poza najważniejszy przed chwilą punkt, wzrok unoszę, bo moją dłoń łapie dłoń Ali, otwierają się jej oczy, jaśniejsze, zieleńsze niż przed zamknięciem, źrenice w lewym i prawym oku zmniejszają się i ja się zmniejsz-

¹¹ Niektóre osoby się powtórzą, więc przyjmijmy ostrożnie liczbę 450 osób. To i tak dużo.

szam, staję się mały, malutki jak te źrenice, nie otacza mnie jednak zieleń tych bystrych oczu, ale jakby czerwień, ogień, który obejmuje moje policzki, moje całe ciało. Wiem już, że zmarnowałem szansę, próbuję doszukać się w jej oczach pogardy wobec takiego idioty jak ja, który mógł całować te śliczne miękkie usta, ale tego nie zrobił, bo myślał, rozkminiał bzdety nie do rozkminiania. Żeby działać trzeba jednak mieć to, czego od zawsze mi brakowało, coś co odróżnia ludzi fajnych od nudnych, pięknych od smutnych: polot. Polot – magiczną substancję pozwalającą odciąć niepotrzebne wątpliwości. Polot – lekarstwo na STRACH w najróżniejszych postaciach.

I teraz wszystko pędzi, jakby ktoś ten mój samolot ze mną – spadochroniarzem, zestrzelił, i jakby wszystko wokół na zmianę pulsowało i rozmywało się. Łapię na moment świadomość, ostatkiem sił łapię w źrenice światło i widzę jej oczy bliżej i bliżej, usta bliżej i bliżej i bliżej... BUM!!!

I oto okazuje się, że siedząca przede mną Ala oprócz tego, że jest piękną i inteligentną dziewczyną, jest również wybranką bogów, a w jej żyłach płynie substancja, o której była mowa kilka zdań wcześniej – najprawdziwszy z prawdziwych, niezawodny polot! Działając na układ nerwowy a potem ruchowy mojej towarzyszki, doprowadził on do szokującego, niespodziewanego zderzenia mojego spadającego samolotu z ziemią. Wszystko odbyło się szybko, szybkie BUM, szybkie cmok, bez jęczyczka, mamlania, mlaskania, miziania i innych podobnych rzeczy. Nie zdążyłem się jeszcze otrząsnąć, kiedy ona powiedziała, że mnie „lubi bardzo”, a ja odpowiedziałem, że „się muszę się zbierać”, potem ona zaczęła pytać (padły trzy pytania), a ja wstałem (i prawie wypadłem przez okno, bo zawróciło mi się w głowie) i wyszedłem. Nasza rozmowa wyglądała tak:

Lubię cię, bardzo.

Się muszę się zbierać.

Co? Dlaczego? Coś zrobiłam nie tak?

Wszystko dobrze, ale jestem umówiony, muszę szybko lecieć.

Naprawdę? Na pewno wszystko okej? Myślałam, że tego chcesz, przepraszam jeżeli...

I coś jeszcze tam było, ale wyrzuciłem z pamięci. Wiem, że wyszedłem szybkim krokiem z kawiarni, tak jak stałem, w czerwono-żółtej koszulce z krótkim rękawem, w krótkich czarnych spodenkach, czarnych Vansach i białych skarpetkach. Od tamtej pory¹² się już do niej nie odezwałem, nie mogąc sobie poradzić z tym, że to nie ja, lecz ona była autorem tego pocałunku. Wyobrażałem sobie jej koleżanki, które dławią się ze śmiechu na tysiąc sposobów, słuchając kolejnych wersji przekomicznej opowieści o „pajacu, któremu trzeba było pomóc w całowaniu”.

¹² Dokładnie od wczoraj.

Zemsta starych bogów

*Pod asfaltem jest rzeka, najstarsze koryto,
są głęboko pod domem odwieczne topielce,
choć wzywają mnie we śnie wyciągnięte ręce,
nawet stamtąd nie jestem.*

— **Marcin Świetlicki**

Prazdrada

Dawno, dawno temu w tych górach i lasach, które zawsze są przekakiwane w opowieściach, na których zostaliście wychowani, żyli sobie on, on i ona. Pierwszy on był władcą podziemi, nazywał się Weles, drugi był panem piorunów i nazywał się Perun, a ona odpowiadała za wszystko, co przecieka między niebem a ziemią. Od wilgoci warg po strzępki grzybni, od deszczu po podziemne ciekły wodne. Nazywali ją Mokosz. Perun był gromem, światłem i energią, która obudziła życie w roślinach. Weles dał im ziemię, która je odżywiała, a Mokosz wodę, by z substancji odżywczych i światła mogły samodzielnie budować swoje ciała. Mokosz łączyła życie w różne formy, a gdy widziała, że dana istota nie wpływa źle na resztę stworzenia, to wypuszczała ją z siebie, otwierała się na słońce i stwarzała nowe istnienia. Z czasem spomiędzy wilgotnych warg Mokoszy wyszli też ludzie. Nasi przodkowie zaczęli czcić Welesa, Peruna i Mokosz i zrobili z nich swoich bogów.

Weles i Perun pokochali swój obraz w oczach ludzi. Pożądali go i chcieli coraz więcej i więcej. Ale Mokosz nie chciała, by spomiędzy jej warg wychodzili kolejni ludzie. Etap tworzenia człowieka zakończył się, a na świecie było jeszcze wiele do zrobienia.

W tamtych czasach życie było proste. Weles sprawiał, że ziemia przynosiła plony, Perun dał ludziom ogień. A Mokosz sprawiała,

że świat ciągle się odnawiał. Wdzięczność ludzi nie miała końca, a ich podziękowania zamieniły się w jedno, nieustające święto ku czci bogów. Na początku używali ognia, który otrzymali od Peruna, do przygotowania wspaniałych potraw. Ale apetyt ludzi rósł i nie wystarczało im już tylko jedzenie. I tak ludzie pokazali bogom, że ogniem można również zabijać. Zaczęli od zwierząt, ale rychło skierowali swoją przemoc w stronę swoich pobratymców. Strach i lęk mieszały się w ich życiu z agresją i dominacją, co spodobało się Welesowi i Perunowi. Sytość nikogo już nie satysfakcjonowała. Ci, którzy umierali, zostawali wtedy jeszcze na ziemi i zamieniali się w to, czego im w życiu brakowało. Ich obecność budziła lęk, a lęk powodował pragnienie jeszcze większej dominacji. „Nie podążajcie ich ścieżką – pouczała bogów Mokosz – oni mają swoją drogę. Nie mieszajcie się do ich przeznaczenia”. Weles i Perun przytakiwali jej, bo w sumie się z nią zgadzali, ale ich uzależnienie od uwielbienia w oczach ludzi nie malało. Im bardziej rosła potęga ludzi, tym bardziej prawdziwi i ważni czuli się bogowie. Coraz częściej ucztowali z ludźmi, coraz więcej chcieli ich zachwyty i coraz bardziej pociągała ich moc niszczenia, łatwość, z jaką można osiąść coś, co nie jest nasze, czego się nie dostało lub nie wypracowało. Dominacja kosztowała mniej niż magia i była dostępna dla każdego, kto w danej chwili był od czegoś lub kogoś silniejszy. Perun i Weles zwabili któreś nocy Mokosz, która ciągle dystansowała się od ich fascynacji ludźmi. Pograżona w swojej pracy stwarzania, utrzymywania i przetwarzania życia, potrząsała głową, gdy próbowali ją przekonać, by całą ziemię zasiedlić ludźmi. Myślała, że może żyć niezależnie od obu braci. Nie dostosowywać się. Zaprosili ją któregoś dnia na wspólne świętowanie. We trójkę pili wino, a im więcej pili, tym większe czuli pragnienie. Oczy Mokoszy wilgotniały.

– Mokosz, daj nam więcej ludzi, byśmy byli potężni. Żadne inne zwierzę nie oddaje nam czci tak jak ludzie. – Perun wręczył Mokoszy butelkę mocniejszego trunku.

– Daj nam więcej dzieci, Mokosz, przecież to żaden problem dla ciebie! – wtórował Weles.

– Głupi jesteście! – odparła Mokosz, ale piła wino.

Welesowi i Perunowi oczy szklily się coraz bardziej, a ona ani trochę nie podejrzewała swoich braci o nieczne zamiary. Zresztą do dziś nie wiadomo, czy tego nie chciała, czy nie miało tak być. Przecież nie piłaby wina, gdyby nie chciała. Przecież wiedziała lepiej od Peruna i Welesa, co się z nimi dzieje.

Weles i Perun obudzili się, gdy wzeszło słońce, które przypaliło ich twarze. Działanie wina minęło, ale pragnienie pozostało.

– Była wczoraj tak mokra jak nieskończona woda, która płynie i płynie, i ciągle jest jej więcej i więcej. – Weles westchnął, nie otwierając oczu.

I zobaczyli przed sobą rzekę, a była to pierwsza rzeka, którą widzieli. Weszli do niej i zrozumieli, że pragnienia, które czuli, nijak nie ugaszą, bo nigdy już nie będzie Mokoszy, którą znali. Przypomnieli sobie wtedy, że gdy kładli się na niej, jej ciało miękło. Od każdego ich uderzenia w jej wnętrze, od każdego pchnięcia, stawała się coraz bardziej uległa. Poddawała się ich pragnieniom, cofając swoje istnienie. Jej ciało zamieniło się w rzekę, a rzekę tę dziś ludzie nazywają Wisłą. Weles i Perun wiedzieli, że zrobili coś złego, i od tego czasu również uczynki ludzi dzielą się na dobre i złe. A niebo i ziemia są oddzielone od siebie, bo brakuje Mokoszy, która czyniła je całością. Człowiek rodzi się z człowieka, ale nie w akcie radosnego tworzenia, lecz w bólu i krzyku, a na każdym etapie tego procesu czai się śmierć – czyha zarówno na matkę, jak i na dziecko. I całemu życiu ludzi towarzyszy strach, a ludzie nie potrafią już wielbić bezwarunkowo. Każda ich modlitwa to prośba o wybaczenie, uzdrowienie czy choćby o zachowanie tego, co mają.

– Nikomu o niej nie powiemy. A wraz z jej obrazem zniknie nasza wina – zaproponował Perun.

– Nigdy jej nie było. To my ustaliliśmy porządek – zgodził się Weles.

Był to ostatni raz, kiedy się w czymś zgodzili. Od tej pory Weles i Perun toczą walkę. A w każdym ich starciu giną ludzie.

Mokosz zostawiła w Welesie pustkę po sobie, a on napełnił ją śmiercią. Od tego czasu ludzie umierają i schodzą do podziemi.

Perun po Mocoszy czuł tylko złość, więc napełnił świat piorunami, wichrami, tajfunami. A od tego czasu śmierć i zniszczenie już nie fascynują, a tylko przerażają. Weles i Perun chłoną je, ale nigdy nie będą syci, bo nie da się najeść brakiem. I tak samo ludzie nigdy nie są syci, nawet gdy jedzą bez umiaru. I ciągle bogowie widzą siebie w oczach ludzi, ale już nie są w stanie znieść tego widoku.

I tak ludzie zapomnieli o Mocoszy. A w swoich baśniach przeskakują siedem rzek i siedem gór, żeby nie pamiętać.

Pani Wisława

„O której to się wraca? Gdzie byłeś?” – Pani Wisława знаła na pamięć te kwestie, słyszane zza ściany. Czwarta w nocy, a sąsiedzi dopiero rozpoczynają kłótnię. Drą się na siebie zwykle ze trzy kwadranse, ale potem godzą się ze dwie godziny, a młóćą przy tym łóżkiem o ścianę bez opamiętania. Ona – sąsiadka – to jeszcze stara się być przyzwoita, bo dzieci ma, i nie jęczy zanadto, za to on sapie jak koń w drodze do Morskiego Oka. Trzy godziny nie ma co czekać, to już prędej zaświta, zanim skończą. Cegły, od lat tworzące prowizoryczną kuchenkę, która grzeje pomieszczenie, już pewnie wystygły. Nie ma co leżeć w łóżku i udawać, że jeszcze się zaśnie w tych hałasach i zimnie. Trzeba by napalić, żeby cegłę zagrzać, a żeby napalić, to trzeba mieć czym, a żeby mieć czym, to trzeba pochodzić. Plastik od plastiku człowiek nie rozpali, a jak już wyjść, to lepiej dzień zacząć, bo na cóż to tak wstawać, jak i tak człowiek nie zaśnie. Zanim się człowiek ubierze, ablucji dokona. Ablucji dokona.

– Kto to tak mawia, że tak mi się zaplątało? – zapytywała samą siebie pani Wisława. Powtórzyła kilka razy te słowa, aż zapomniała, po co to robi.

Ani stawy, ani mięśnie nie pomagały jej wstać.

– Od samego wstawania człowiek się zasapie, a co dopiero. No właśnie. Także tego. O czym to ja? A, do łazienki – mówiła sama do siebie, bo i tak nikt nie słyszał, a jak na głos człowiek myśli, to zawsze jest taki pozór bycia z kimś, bycia gdzieś, jakby te słowa

to były takie kotwice, które zarzuca tonący na rzeczywistość.

– Tonący? Jaki tonący?! Przecież nikt tu nie tonie! – krzyczała do własnego łokcia, jakby za nim kryli się zidiociali wrogowie.

Sprawdziła pieluchę. Wilgotna. Mogłaby zmienić. Ale jakby tak zmieniała za każdym razem, jak jest potrzeba, to przecież zapas na miesiąc starczyłby jej na tydzień. Kiedyś lubiła ładnie pachnieć, ładnie wyglądać.

– No – pociągnęła nosem, hamując płacz – co było, to było, nie ma co się rozkliwiać. Co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr – dogadała swojemu odbiciu w lustrze. – Przy emeryturze 124,78 złotych nie ma co narzekać. Pieluchy przynajmniej dostają od prawie miłej pani z MOPS-u.

Prawie miła pani z MOPS-u ciągle ją śledzi i donosi. Trzeba się pilnować, żeby nie miała o czym donosić, bo bez pieluch to już w ogóle nie będzie jak. I z pieluchami to ciągle jest zaparzona, stany zapalne.

– Ale co mi na starość po tym wszystkim, co między nogami. Tak że tego. No. Ale o czym to ja? A! Psiknę się perfumami. – Znalazła je na rogu Skalecznej z Augustiańska. Sąsiedzi wystawili. – Na parę psiknięć jak znalazł. Na bale nie chodzę, to i po co mi więcej. Herbaty bym zaparzyła. – Spojrzała na suszące się na oknie zużyte torebki. – Ale nie ma co grzać i ciepła tracić, jak przecież wychodzę.

Zbiera się pani Wisława. Zakłada stare relaksy, które pamiętają jeszcze czasy, jak zimy były zimne, a wódka sycąca. Ale nie ma co narzekać, bo poza relaksami to jej po tych zimach został artretyzm. Bez niego wstawalaby jak młody bóg. To znaczy bogini. A nie. Może jednak bóg. W każdym razie nic by jej przy wstawaniu z łóżka nie bolało. A reszta rzeczy to z MOPS-u. Wygląda okropnie. Wie o tym doskonale. Ale pachnie też nie najlepiej. Na pewno inni sobie myślą, że to starczy zapach. Na pewno tak myślą. Jak była młoda, to też tak myślała. Zarzekała się, że ona to na pewno będzie na starość zadbana. No. To się doczekała. Dwie pieluchy na dzień i radź sobie, jak nawet nie wiesz, kiedy i gdzie z ciebie leci. Piła jak najmniej, żeby pielucha się zbytnio nie na-

pełniała. Ale im mniej piła, tym bardziej śmierdziała. No. Lekarz jej mówi, że ma pić wodę, żeby nerki filtrować. Zimną wodę! Sam niech sobie takie ohydztwo pije.

(...)

Pamiętała dokładnie, który grób w jakiej alejce, jakie lubi kwiaty. Czy ktoś inny tam przychodzi. Jakie stawia znicze. Czy przynosi też kwiaty. Kiedy. Jakie. To ważne informacje. Z tego można wywnioskować, które święta są najważniejsze. Albo kiedy ta osoba bywa. Taki migotliwy kod grobów. Język tych, którzy pamiętają. Przynajmniej starają się. Trzymają się tej pamięci. Trzymają bardzo natarczywie. Ale zanim doszłaby do pani Wisławy ta myśl, której dopuścić do siebie nie chce, bierze drugi łyk i rozkoszuje się ciepłem. Na szczęście z zewnątrz nikt nie wie, że ona nie wie. Bo jak po latach – widać pamięć już nie ta – rozpoznać, czy to grób twojego męża, czy brata. Jeszcze ojca czy dziadka od biedy oddzielisz, odejmując daty narodzin i śmierci, ale przecież pokolenia się przenikają. Ochłapy informacji na nagrobkach to wszystko, co jej zostało w głowie. Chce złożyć jakąś historię z tych skrawków, ale warkocz wątków się ciągle rozplata. Trzeci łyk.

– O! Nie przeholuj, Wiśka! – droczy się z sobą, mamrocząc.

Ludzie się oglądają. Pociąga nosem, ale tak naprawdę łyka łyzy.

– Trzy starczą. To pamiętam – mówi na głos i do chłopaka, który znad notatek z dziwnymi wzorami na nią zerka, i pije jego zdrowie. Czwarty łyk, który wypadł z rachunku.

(...)

– A pamiętasz, Wisławo, rzekę? – Amelia chwyta jej rękę i głaszcze jak pieska. Tylko tak potrafi odwracać uwagę od niewidzącego niczego poza czubkiem własnego nosa Władysława.

Tak. Wisława pamięta. Pamięta rzekę. Te masy kropel, które przeciekają przez koryto, czy na nie patrzymy, czy nie. Pamięta, jak starała się ich jak najwięcej zatrzymać, wykorzystać, ale one wytracały się ciągle, czy tam była, czy nie. Mgła zasnuwa rzekę w jej wspomnieniach. Wisława patrzy na rękę. Chce zobaczyć,

w co nabiera wody, czy jej dłonie są dziecinne, czy starcze, ale nie może tego zobaczyć. Wspomnienie urywa się, gdy Wisława próbuje uchwycić jakiś szczegół.

– A jak tam Euzebia? Wyszła za męża? Ma dzieci? – Władysław nie podnosi oczu, gdy o to pyta.

– Ach, Euzebia! Sam wiesz, jaka jest – i tu urywa, bo sama nie wie, jaka jest, choć jeszcze chwilę temu wiedziała. Euzebia i co u niej, było tak oczywiste, że aż namacalne. Widziała, że Władysław chciałby wiedzieć, że nie wie, ale nie może dalej dopytywać. Nie ma do tego prawa z jakiegoś ważnego powodu. Nie wiadomo, co to za powód, ale to nieważne. Nie wypada, to nie wypada. Nic nie trzeba tłumaczyć.

Z rozkosznego hałasu jej bliskich, bliskich nieokreśloną bliskością, wyrwał ją głos.

– A, to znowu pani! – wykrzyczał mężczyzna w czerni, namierzając swoją ofiarę. – Chłopaki, chodźcie tu! To ta złodziejka.

Pani Wisława instynktownie spakowała swój artretyzm i nietrzymanie moczu do (nomen omen) kupy i kuląc się, zniknęła między nagrobkami.

(...)

Do tramwaju wsiada trzech chłopaków. Z piwką i napojami energetycznymi w rękach. Pani Wisława przysypia. Nie obchodzi jej krzyki, dopóki ktoś jej nie szarpnie za kołnierz.

– To ty, karaluchu jeden, tak śmierdzisz? Co? Zatkaną kakao?

– Chyba nie zatkało, jak tak cuchnie! – dorzuca bystrą uwagę kolega, pociągając napój monster.

Pani Wisława nic nie mówi, ale czuje, że to się dobrze nie skończy. Rzucają ją na podłogę. Kopiają. Wykopują w końcu z tramwaju. Ale to nie koniec. Jak piłkę przekopują bezwolne ciało na skwerek przy Wszystkich Świętych i czują się jak Robert Lewandowski strzelający piątą bramkę w meczu.

– Tu se możesz śmierdzieć. Ścierwo.

Plują na nią i sikają, a gdy odwracają się, widzi napis na plecaku jednego z nich: „Mogę się za Ciebie pomodlić”.

„Za siebie się pomódl, synciu” – chce powiedzieć pani Wisława, ale z jej ust nie dochodzi nic oprócz bulgotu. Leży na środku placu Wszystkich Świętych w centrum Krakowa. Słyszy, jak obok przelewa się międzynarodowy tłum, jedzących, pokrzykujących, pijących. Liczy, że ktoś podejdzie, że zadzwoni na policję, że w końcu sama policja przyjdzie, mają tu przecież monitoring. Ale nikt się nie orientuje. Jakby jej zupełnie nikt nie widział, jakby jej tu nie było.

Placze z bezsilności, a w jej gardle rośnie kamień. Mijają godziny, aż w końcu nawet ta bezsilność się kończy. Pani Wisława grzebie głębiej w sobie, ale nic nie ma. Chociaż nie. Coś pod dłoń. Ziarenko. To gniew. To gniew, który zaczyna rosnać, staje się coraz większy i większy. Zaczyna krzyczeć, zaczyna formułować przekleństwa. Do tych chłopców, współpasażerów, którzy udawali, że nie widzą, do oseska giganta i jego szefa w czerni, do mężczyzny, który opróżnił z nią dziś piersiówkę i nic po sobie nie zostawił, oprócz niesmaku w ustach. Krzyk ubiera się w słowa, zdania. Mijający ją ludzie w popłochu odchodzą, odwracają wzrok. Ona czuje, że w tej złości nie jest już sobą. Jest silna. Nikt jej nie pokona. Nie zaakceptuje już żadnej rzeczy, którą rzucają jej jak ochłap. I jej bluźnierstwa zamieniają się w śmiech, a śmiech odbiera jej przytomność.

Można by powiedzieć, że umarła ze śmiechu, ale stare kobiety, takie jak pani Wisława, nie umierają tak po prostu, one się zacieśniają. Ciągłe mówią o swojej śmierci, aż już nikt ich nie pociesza, nie zauważa, a gdy umierają, długo jeszcze chodzą po kuchni, skrzypią podłogą, świszczą oddechem, a gdy je w końcu zakopie my na cmentarzu, to dzwoniemy do nich na imieniny i martwimy się, gdy nikt nie odbiera. Coś umarło w pani Wisławie tamtej listopadowej nocy na placu Wszystkich Świętych w Krakowie, ale czy to była ona, czy nadzieja, a może jakaś zupełnie inna obecna w niej osoba, której nikt nie pamiętał – tego nawet ja nie wiem, chociaż staram się być narratorem wszechwiedzącym.

Pani Wisława czuje, że gdy tak leży na placu Wszystkich Świę-

tych, czas przyspiesza, jej ciało się rozpada na atomy, a jej świadomość razem z cząsteczkami ciała rozchodzi się po ciałach innych organizmów, które rozkładają się znowu, a ich ciała pożerają kolejne istnienia. Gdy pani Wisława załapuje ten rytm wiecznego pożerania i umierania, odkleja się od tego świata i staje poza czasem. Jest tylko ona. Patrzy na rzekę i wtedy rozumie, że się od niej oddziela. Jest nierzeką. Jest brzegiem. Jest ziemią. Patrzy na ziemię i widzi, że jest nieziemią. Jest drzewem. I wtedy widzi ludzi. I jest nieczłowiekiem. Jest tą, na którą ludzie patrzą. Jest tą, którą ludzie chcą zobaczyć. Na którą wiecznie patrzą, ale nigdy jej nie zauważają.

– Przebudź się, Mokosz! – piskliwe słowa docierają do jej skroni. Wcale nie przez uszy wdzierają się do środka.

Otwiera oczy i nie widzi nikogo. Siedzi w zakolu Wisły. Na Skałce, ale nie ma kościoła, nie ma też Wawelu. Jest wzgórze, są drzewa, a przy rzece kobiety piorą ubrania. Jest gaj. W końcu ich dostrzeżga. Skaczą przed nią, malutcy jak w Alicji w Krainie Czarów. Dwa gadżety ze sklepu dla turbosłowian. Kubek z wyhodowanym grzybem i koszulka z zaschniętym kebabem.

Bierze ich na dłoń, żeby przyjrzeć im się z bliska. Grafika na gadżetach porusza się.

– Zobacz, co oni z nami zrobili! – krzyczy Perun z sosem czosnkowym w miejscu skalpu. – Ludziom nie można ufać. To ty ich stworzyłaś. Zrób coś z nimi!

– Oni nas oszukali. To wszystko ich wina, Mokosz. Możemy być jeszcze szczęśliwi razem. Pamiętasz, jak było bez nich. Jak nie rozmnożyli się ponad miarę.

– To na nic. Ona nic nie rozumie. Może to nie ona. – Perun splunął, co wyglądało dość komicznie, bo uszy z rękawów koszulki chodziły mu powoli, więc plwocina wylądowała na nich.

– Nie, to musi być ona. Widzę to w jej ustach. Mokosz, przebudź się.

– Proszę się przebudzić. Słyszysz mnie pani? No widzi pan doktor, że nic tu się nie da zrobić.

Pani Wisława otwiera oczy. Niedawno wyremontowany i poświęcony oddział intensywnej terapii na Kopernika ciągle świetnie przemieniał ludzi w obiekty. Czytała o jego otwarciu w starych gazetach, więc pewnie było to już jakiś czas temu.

– Pani nas słyszy? Proszę powiedzieć, jak się pani nazywa.

– Mokosz – wymamrotała ledwo słyszalnie, jej wargi sklezione były wyschniętą śliną.

– A imię? – Pani Wisława spojrzała na pielęgniarkę. – Imię! – krzyknęła pielęgniarka, robiąc miny, które miały pomóc w zrozumieniu, ale tak naprawdę odwracały uwagę.

– Wisława.

– Wisława Mokosz – powtórzyła i zapisała pielęgniarka. – No to jedna NN mniej. Dobrze. Jaki mamy dzień tygodnia?

Pani Wisławie przypomniało się, że przecież gołębi nie nakarmiła. Nie mogła tak po prostu siedzieć i gawędzić z opryskliwą pielęgniarką i lekarzem, który udawał, że go nie ma. Tego się nie robi gołębiom. I to w Krakowie. Co takie biedne gołębie by jadły. I ten chleb zmarnowany. Tylko ona wie, co lubią. I gdzie chcą jeść. Ona nie może przecież tak beczynnie leżeć. Nie teraz. Nie ona. Niech sobie szukają jakiejś innej Mokoszy.

Powyciągała sobie wprawdzie kroplówki, zabrała worek z rzeczami prywatnymi, który wisiał na jej łóżku, i wymknęła się niezauważona, chociaż przecież z intensywnej terapii nie tak łatwo po prostu wyjść, i to niezauważonym. Ale jej się udało. Dziwne, nie?

Greta

Jest 2 kwietnia 2005 roku, godzina 21.47, krakowskie Błonia, a Greta myśli: „Bóg umarł”.

Jest godzina 22.48, gdy nucąc Barkę, Greta myśli: „O, Boże, mam rozmazany makijaż i jestem zapuchnięta jak świnia”.

Ten przeskok (wręcz metafizyczny!) możliwy jest dzięki jednej istocie, która w ciągu tej jednej godziny i jednej minuty pojawiła się za plecami Greta, a nie był to Bóg ani żadna istota nie z tego świata. Zwykły mężczyzna o imieniu Jędrak.

Dla Greta jednak nie okazał się taki zwykły. Byli ze sobą na roku, kserowali sobie nawet notatki (co stawało się w oczach Greta symbolem zaufania), bywali na tych samych imprezach (przebież nie mogło to być przypadkiem). Nawet dyskutowali ze sobą na zajęciach z taką pasją, z jaką ich rówieśnicy uprawiali seks na pralce z dogorywającymi łożyskami. Ale nigdy jeszcze nie rozmawiali ze sobą. Sam na sam.

On miał niesforne kędziorki, wydatne, kwadratowe piersi z widocznymi (czasami!) brodawkami oraz (tylko w sesji!) brzuszek. Ona nosiła bezszwową beżową bieliznę i udawała, że dzięki temu nic nie widać. Jej twarz, z lekko widocznymi śladami po trądziku i często podkrążonymi oczami, podkreślały włosy wycieniowane à la Jennifer Aniston (w roli Rachel z Przyjaciół!). Wiedziała, że – według ówczesnych kanonów – jest atrakcyjna, ale wiedziała też, że do tego samego kanonu należy również udawanie, że się tego nie wie.

W chórze głosów błagali Boga o wieczny odpoczynek dla zmarłych, a ona czuła, jak cała tylna część jej ciała zamienia się w potężny magnes, który krzyczy: „Zbliź się, przytul mnie, teraz!”. Potem, przy „pokój nam wszystkim”, jego dłoń chwyciła jej dłoń i utonęła w niej, a za chwilę jego oczy spotkały się z jej oczami i też w nich utonęły. I tak obydwójce zatonęli w sobie nawzajem, w zbiorowej rozpacz, ale też w czymś o wiele głębszym.

Greta wynurzyła się z tej toni dopiero dwanaście lat później, gdy wzięła oddech, a nie wzięło go jej czwarte dziecko, które właśnie urodziła. Wydała na świat trójkę dzieci i wiedziała, że coś jest nie tak, gdy nie podali jej maleństwa. Coś sprawiło, że wyskoczyła z łóżka, coś sprawiło, że popchnęła pielęgniarki i zobaczyła małe, fioletowe ciało, które nie krzyczało. I wtedy straciła przytomność.

„Jedna na cztery ciąży kończy się poronieniem” – słyszała to zdanie milion razy. Mogła je powtarzać i miliard razy, a jej ból nie

przemijał. Była czysta, chodziła do ginekologa, jadła pięć porcji warzyw dziennie, starała się nie przeklinać, zdawała wszystkie egzaminy w pierwszym terminie, nie pożądała żony bliźniego swego ani żadnej rzeczy, która jego jest.

Zawsze jej się wydawało, że jej inne dzieci wiedzą, co się stało. Miał być braciszek, nie ma braciszka. Gdzie jest braciszek? W limbo, kochane dzieci. To specjalne miejsce, które kościół stworzył na takie wypadki. Czy go spotkamy? Kiedy przyjdzie? Czy nas widzi? Będzie z nami po śmierci? Tak, tak, a teraz idźcie posprzątać zabawki.

W tej historii przestał pojawiać się Jędrzej, zauważyliście? Tak się akurat złożyło. Awans, kryzys, nadgodziny.

„Przecież wiesz, że cię kocham” – mówił, całując ją tylko w czoło, po czym dodawał: „I dzieci”. A ona słyszała: „Tylko troje dzieci, bo czwarte zabiłaś”. I tak jak kazał psycholog, za każde takie stwierdzenie w myślach powtarzała sobie: „Jedna na cztery ciąży kończy się poronieniem. To nie jest twoja wina”.

Zaczęli uprawiać ze sobą seks, bo nie mogli już więcej uprawiać miłości. I tak poczęli dziecko piąte.

Była jednak matką, nosiła godnie swoją ciążę, choć było to upalne lato. Piąty miesiąc. A gdy odstawiła dzieci do szkoły, wracała do domu bez klimatyzacji i lały się z niej siódme poty, uznała, że wejdzie do kościoła św. Katarzyny, trochę się ochłodzić. Jak zwykle kruchtę zamiatał pan (czy ten człowiek jest tu zawsze?!) z (nomen omen) miotłą. Szelest miotły, chłód posadzki, twarze świętych, wysokie sklepienie. Moja matka powiedziałyby, że to szok termiczny, ale Greta mówi, że doznała tam oświecenia.

Czyli tak zwanym jednym słowem wymiotło ją poza czas linearny. Tam, gdzie wszelkie chwile są równoczesne i można je zaplatać zgodnie z wybraną dla siebie kategorią umysłu. Coś wybrało kategorię „Strażniczka Bożego Ciała”. I była ona – Greta – i było Jego płuco. A gdy przyzwyczaiła się do tego płuca, zobaczyła kobiety po swojej lewej i prawej stronie. A była to największa różnorodność kobiet, jaką było dane jej spotkać w ziemskim żywocie. Różne czasy, różne kasty, różne kolory skóry, różne przekonania.

Zajęła miejsce w tej układance. I poczuła akceptację. Zapłakała, a jej łzy spływały na posadzkę, która wyżłobiona była od stóp wiernych. I od tego czasu, aż do swojej śmierci, tu była. Ale otrzymała też dar bilokacji, więc gdy się ocknęła i zobaczyła siedemnaście nieodebranych połączeń, zerwała się z miejsca i pobiegła do domu.

To nie było nawrócenie, bo Greta zawsze wierzyła. To było pocieszenie. Jedno i na zawsze. Musiało wystarczyć na przeszłość i przyszłość. Były z Gretą te wszystkie kobiety, a przede wszystkim Plotka. Ta, która była po jej lewej stronie, w nieskończonym rzędzie kobiet. Ona pomogła jej zobaczyć: „Jesteśmy matkami żywych dzieci i jesteśmy matkami martwych dzieci”, mówiła jej wtedy, uspokajając. A dzieci Grety były bezpieczne. Przynajmniej to martwe, ale o nie zawsze najbardziej się martwiła.

To była jedna z tych nocy, w których księżyc świeci tak mocno, że ciągle myślisz, że jest już ranek. Greta od dwóch godzin przewracała się w łóżku. Jędrka ciągle nie było. Domowe kapcie są jeszcze wygodne. Ale za ich ciepłymi, przepoconymi brzegami zaczyna się katastrofa. Koniec świata. Naszego subiektywnego świata, który jest wirującym dyskiem na wieży z żółwi. Dalej czeka czeluść i to nic, że nie mieścisz się w życiu, w które cię wtłoczono. Każdy boi się kroku w ciemność. Tak mam ja, ty i tak miała też Greta.

Dotknęła swoich piersi. Wypomniała im w myślach, że już nie twardnieją, jak kiedyś. Nie są takie okrągłe i jędrne. Na szczęście zaraz wróci moda na takie bardziej naturalne, pocieszyła się. Czytała o tym u dentysty w czasopiśmie „Nostalgia”.

Rozebrała się i odsłoniła okno. Nie włączyła światła. Aż tak to nie! W ogóle nie myślcie sobie, że cała ta zabawa to coś normalnego. Opowiadam o tym, bo właśnie to było do Grety zupełnie niepodobne. Ona sama w tym momencie nie umiałaby wytłumaczyć, co nią kierowało i co tak naprawdę było na końcu tych czynności. Fascynowała ją sama możliwość, że ktoś ją zobaczy. Jej nagie ciało. Prawdopodobieństwo nie grało tu roli. To była tylko fantazja. Biała skóra w nocy odbijała światło księżyca. Z daleka na pewno nie było widać żadnych mankamentów. To dodawało jej odwagi.

Zebrała włosy z karku i dotknęła swojej szyi. Przesunęła delikatnie palcami w dół, do piersi, ujęła je w dłonie i poczuła ich ciężar. Przypomniała sobie o prezencie, który dostała na wieczorne panieńskim. Wtedy wydawało jej się, że nigdy z tego nie skorzysta. Oł, tradycyjny sprośny żart. Rzuciła go na dno szafy razem z suknią ślubną, notatkami ze studiów i ciuchami z czasów, gdy ważyła piętnaście kilo mniej. Zanurzyła się w odmętach porzuconej przeszłości, nie skupiając się na innych rzeczach. Znalazła. Ładne, ciemne pudełko. Atlasowy woreczek. Włączyła nastrojową muzykę (żeby dzieci nie usłyszały) i zrobiła unboxing po latach. Starła się być bardzo cichutko, akurat tak, żeby nie było słychać, żeby nikt się nie obudził. Włączyła. Dołączone baterie nie straciły jeszcze swojej mocy. Przytknęła go do skóry dłoni. Jest delikatny, oczywiście różowy, wygląda niewinnie. Wibracje też są delikatniejsze, niż zawsze sobie wyobrażała. Zaczęła kreślić okręgi na swoich sutkach, ale dopiero gdy dotknęła lechtaczki, poczuła, po co zostało wynalezione to urządzenie. Wibracje wywołują podniecenie i równocześnie roznoszą pobudzenie na całe ciało. Dzięki temu człowiek nabiera świadomego czucia na każdym centymetrze swojej skóry. Przyjemność jest tak duża, że Gretę zaczyna łaskotać podniebienie. I wtedy go widzi. Nie zauważyła, jak wszedł do pokoju, ale pierwsze, o czym myśli to to, że na szczęście nie jest to żaden z jej synów. Czuje się przyłapana.

– Kontynuuj, Greto – słyszy zimne słowa zza pleców. Trochę się boi.

A on wchodzi w nią, korzystając z tego, że jest podniecona. Nigdy wcześniej nie było im tak dobrze. Dawno już namiętność między nimi nie była tak intensywna. Było coś nowego i obcego w jego zachowaniu. Jakby nauczył się zasad nowej gry, w którą nigdy jeszcze razem nie grali. Greta czuje, że po tej nocy nie będzie już umiała ignorować faktu, że on ma kochankę. To ona nauczyła go rzeczy, o których Greta wstydziła się marzyć. Ale przynajmniej stoi już po drugiej stronie strachu – strachu, który towarzyszył jej każdego dnia. To przeświadczenie z tyłu głowy, że kobieta z wiekiem traci swoją atrakcyjność, a mężczyzna ją zyskuje. Jakby żywił się żoną i po jakimś czasie potrzebował świeżej krwi, nowego paliwa. Lęk, że on odejdzie do innej, zaczął rosnąć w jej głowie na chwilę przed tym, jak powiedziała „tak” w kościele,

i ciągle przybierał na sile. Ale teraz już było po wszystkim, to już się wydarzyło. I było jej z tym lepiej niż ze strachem, choć nie wiedziała jeszcze, co z tym zrobić. On nie przestawał uderzać penisem o dno miednicy. Doszła drugi raz. Jej myśli, emocje i odczucia cielesne rozbiegły się na wszystkie strony. Chciała więcej, bała się i równocześnie chciało jej się płakać. Trzeci orgazm przyszedł jeszcze szybciej niż dwa poprzednie i przeszył jej ciało falą dziwnego zimna. Poczula strużkę cieczy na swoim udzie: „To moje czy jego?”.

W swojej głowie słyszy głosy: „To ostatni raz. Teraz już nic nie będzie takie samo. Nie kocha ciebie. Nie kocha twoich dzieci. Nie kocha siebie z wami”.

Świadomość tego wbija się w nią jak gwoździe. Nie czuje bólu. Ale wie, że niedługo przyjdzie i będzie rozrywający.

I po tym wszystkim Greta szuka jej. Kochanki męża, a jej tropy znajduje na wyciągach bankowych. Trafia w miejsca, których nie zauważała, chociaż przechodziła koło nich co dzień. „Akcesoria jeżdżiackie”, „Private Apartments”, „Sexcape Room”. Szuka śladów, urywków, ale zawsze w końcu ludzie zamykają się przed nią na klucz, jakoś wiedzą, że nie jest jedną z nich, nie może uzyskać żadnej informacji, aż w końcu spotyka ją. Nie musi nic wiedzieć. Domyśla się, że to ona. Kolejne awantury z mężem kończą się na niczym.

Tego dnia, kiedy poroniła po raz ostatni, była w kościele z Plotką oraz w sklepie z warzywami. Wiedziała, że jest za wcześnie na akcję. Wody odeszły, a razem z nimi skrzepy krwi. Plotka była z nią przez cały ten czas. Po lewej stronie. Jak zawsze. Dar bilokacji w takich momentach się przydaje. Trzymała Gretę za rękę i oddychała równo. Oswajała ją z tym, co się dzieje. W jej czasach kobiety roniły o wiele częściej. Gdzie to było i kiedy, tego Greta nie umiała określić. Może jakby czytała więcej Malinowskiego czy Frazera, to umiałaby powiedzieć, ale i wtedy pewnie nie, bo co możesz powiedzieć po rysunkach na piersiach, ciepłe głosu i szorstkości skóry. Plotka miała nieskończenie mądre oczy. Greta zobaczyła trzy kobiety przez sobą. Dole. Samej jej się nasunęło to słowo. A jej synowi żadna dola nie była pisana. To on był

pisany im. Wzięły ze sobą chłopca. Greta chciała iść za nim, ale Plotka przytrzymała jej rękę i zaczęła śpiewać kołysankę, której monotonne brzmienie uspokajało.

– Jak się czuje poronienie... – Spokojne godzenie się ze stratą przerywa lekarz. Greta stara się go nie widzieć. – Pani mąż przyszedł.

– Nie mam męża. – To jedyne, co powie Greta do lekarza, a on wpisze w jej kartę „niewspółpracująca”.

Greta nie wraca do domu. Ma adresy, ma poszlaki, obserwuje Jędrka, śledzi każdy jego ruch, sprawdza jego konto. Obserwuje dom, do którego chodzi, i w końcu ją zauważa. Ogolona na łyso, ubrana na czarno, z pięknymi, wielkimi oczami, w których można by zatonać. To w nich utonął jej mąż. Jej oczy już nie były wystarczająco głębokie. Może za dużo wody się z nich wylało. Nie tak sobie ją wyobrażała. Nigdy nie powiedziałyby, że takie kobiety lubi jej mąż. Była dokładnie jej przeciwieństwem. W klubach, do których chodziła, mówili na nią Layla. Umiała niepostrzeżenie zniknąć, dlatego gdy Grecie w końcu udawało się ją zobaczyć, desperacko starała się ją zatrzymać. Pewnego dnia było w tym zdecydowanie za dużo desperacji. Greta doskoczyła do niej, zaczęła ją szarpać, a dziewczyna wywinęła się sprytnie, więc Greta rzuciła się na nią całą sobą i wtedy poczuła, że ciało Layli już nie stawia oporu. Stała nad nią i nie wiedziała, co zrobić.

I wtedy mija Gretę pani Wisława. Ale nic nie robi, bo jeszcze nic nie wie, jeszcze się nie znają. Są dla siebie tylko dźwiękami zza ściany, obrazami, które przesuwają się przed oczami, gdy poruszamy nogami na ulicy.

Klekot, Lel i Polel

Rytuały trwają dłużej niż sens, więc pozwalają nam przetrwać, gdy sens się gubi.

Klekot wstał, rozejrzał się po okolicznych ławkach. Nikogo nie było. Nikt tu dziś nie spał. W tle samochody rozwoziły pachnące

bułki, świeże mięso, w nocy stworzone z ciał niedzikich zwierząt, i nieświeże oddechy, luki w pamięci oraz ciągle jeszcze gazety, których od dawna już nikt nie czyta. Pizga, to i amatorów drzemki na powietrzu brakuje.

Tę porę roku lubił najbardziej. Wreszcie trochę prywatności. Trochę palce marzną, ale to aż tak nie uprzykrza życia jak inni ludzie.

Powoli przesuwiał się w stronę najbliższego klonu, nie odrywając stóp od krzywego chodnika. Wybór o tej porze roku zawsze pada na drzewa, bo krzewów jest niewiele, poza tym trzymanie się ich w połączeniu z rozklekotaniem Klekota przynosi efekt dla postronnych osób być może zabawny, jednak dla samego zainteresowanego przykry, jeśli nie tragiczny. Klekot na trzeźwo nie panował nad ciałem. Rzuciły się jego kończyny niczym w dziwnym pogo. Niby sztywne, a takie ruchliwe. Gdyby umiał całą energię włożoną w klekotanie spożytkować bardziej świadomie, daleko by doszedł. Nie mógł, więc ledwie dotarł do drzewa. Opuścił zasikane spodnie i stanął w rozkroku, żeby mu nie spadły do kostek. Wsadził łapę w majtki. Może jest zasikany, ale obsrany nie będzie. Tak nisko nie upadł. Poza tym nikt nie widzi. Nikogo prawie nie ma, a jak jest, to niech sam się wstydzi. Treść jelit wylewa się na dłoń w majtkach i przelewa się. Klekot opierała w myślach swoje własne odchody, ale właściwie wcale nie w myślach. Przecież robi to dla tych, co patrzą. Pokazuje, że to nie jest normalne. Bo normalnie takie rzeczy mu się nie zdarzają. Co zostało na ręce, to rzuca na tory. Trafia akurat w tramwaj, który wyjeżdża na trasę. Klekot uśmiecha się do siebie. Wyciera dłoń w korę klonu. Zdrowy ludzki obornik.

Nikt nie widzi, bo nawet ci, co patrzą, odwracają wzrok.

Sam tego nie wymyślił. Nie jest tak dziwaczny. Usłyszał kilka razy, jak czyściutcy ludzie opowiadali historie, te same historie o kaźmierskiej żulii. Aż drżały im rozdwojone końcówki włosów, tak podniecały ich te opowieści, więc zaczął robić tak, jak opowiadali. Chcieli, mają. Klekot bardzo się starał, żeby ludzie mówili prawdę.

– Ja im się do domu nie wpierdalam. To niech i oni podarują mi

trochę prywatności – rzuca do siebie Klekot.

Droga powrotna na ławkę wydłuża się nadspodziewanie. Jedna myśl, ciepła myśl pieści jego zwoje mózgowie. Za złoty trzydzieści są jeszcze browary z dzisiejszą datą ważności w monopolowym tuż za rogiem. Eleganckie. Młodzież je pije. Tylko to złoty trzydzieści skołować i będzie elegancki. Zacznie się życie. Tylko złoty trzydzieści. Da radę.

Wtem widzi na horyzoncie światłość. To Lel i Polel. Lel mocno wczorajszy, Polel go prowadzi. Lel i Polel to duma ulicy. Chłopaki nie mieli prostego życia. Matka im młodo zmarła. Nawet gdy ich rodzila, była nawalona. Dole uznały, że nie ma co dla takich marnować dobrego przeznaczenia i dostały się chłopakom najgorsze losy z dostępnych. A jak mawiał Klekot, gdy jeszcze pisał poezję, z gówna bata nie ukręcisz. Ojciec standardowo nieobecny. Dorastali w okolicznym poprawczaku. Wołali na nich Lel i Polel. Nikt nie wiedział, skąd ich matka to wzięła. Oni sami zawsze mówili o tym w inny sposób. Z czasem tych historii była taka masa, że już nikt nie wnikał.

„Lel i Polel to bogowie! Jak słońce i księżyc, jak dzień i noc!”, czasem tak to tłumaczyli, a czasem zupełnie inaczej. Trzymali się razem, to fakt. Byli najlepszymi złomiarzami w Polsce. Jedyńymi, o których swojego czasu wszyscy mówili. Cały tydzień na wszystkich kanałach w telewizorze. Nie to, żeby po imieniu, ale na Kaźmierzu wiadomo było, komu należy się chwała. Królowa dała im zlecenie, żeby ukradli napis w z bramy w Oświęcimiu. Nieco byli zdziwieniu, że tylko sam napis, dlaczego nie od razu całą bramę. Lekko się nawet chcieli obrazić na Królową za ten brak wiary, ale jak powiedziała im cenę, to nie wnicali, a i obawy o ich dumę zostały ukojone. Nawet na bilet im dała. W obie strony! To był dla nich wszystkich magiczny czas. Oczywiście napis zabrała Królowa, ale urwali z tej akcji tyle, że przez trzy tygodnie nie trzeźwili. Do tej pory, jak Lel otwiera pierwszego na kacu browara, bierze pierwszego łyka i wzdycha, to zaraz potem cisną mu się na usta słowa: „Praca czyni wolnym”. W końcu Królowa podrzuciła jakąś podróbkę. Jej mąż Pantoflarz, co prowadzi sklep metalurgiczny – jak sam mawia – zrobił kopię piękniejszą niż oryginał. I nikt się nie kapnął. Policji też na rękę było mówić,

że to oryginał, bo afera przecie rozpętała się międzynarodowa. Ale przygoda jedna z tych, co robią renomę na całe życie. I tak było też w wypadku Lela i Polela. Jak się w Puszczy Białowieskiej ludzie łańcuchami przykuwali do drzew, to chłopaki nie byli w stanie wytrzymać, ile to się tego marnuje – w sensie łańcuchów, nie drzew. Pojechali i w nocy ukradli strajkującym wszystkie. Co do jednego. Mieliby pewnie przekichane, gdyby nie to, że ukradli też sprzęt tym, co las mieli zrównywać z ziemią. Polel wyklinał brata, że to była zbyt duża chciwość, ale Lel po prostu załadował wszystko na traktor, bo odwagi dodała mu krowa, rozpita z bratem tuż przed akcją. I tak opatrność nad nimi musiała czuwać, bo hałasu narobili, holując jeszcze harwestera, ale o dziwo nikt nic, nikt o niczym nikogo nie zawiadomił, a i szybko upłynąć udało im się wszystko pod białoruską granicą. Złom to złom. Obydwu stronom sporu o puszcę było trochę głupio, że dali się okraść, więc dziennikarzom pierwszy raz zgodnie mówili, że trwają pertraktacje. Ale na Kaźmierzu wszyscy dobrze wiedzieli, jak było. Od tej akcji wycinania puszczy mówiono o nich, że są harvesterami wśród złomiarzy. Nie było w Polsce takiego kabla, toru czy innego chodliwego żelastwa, którego by nie byli w stanie skombinować. Teraz to już nie to co kiedyś, ale ciągle marzą o tym, żeby głowę Mitoraja zajmować. Akurat przed komendą wystawiły go sobie mendi, żeby bracia mieli wyzwanie. Tak to sobie tłumaczyli, bo przecież z jakiego innego powodu ktoś miałby składować na rynku w Krakowie tyle złomu.

– Lel, Polel! Wspaniali! Z nieba żeście spadli! – Gdy tylko bracia zobaczyli Klekota w stanie, od którego miał swoją ksywkę, wygrzebali resztkę naleweczki.

– Żebyś wiedział! Pa-tu-no, chłopie. Od Brytoli mamy takie frykasy. Sami nas zapytują, co kupić, to im pokazujemy w sklepie, że to, to i to. Po czym oni po paru łykach w kimę walą tu obok w podworcu. Przykryliśmy ich materacem, co na gabarytach żeśmy wygrzebali.

– A co! Niech znają polską gościnność – wtrąca Lel.

– I dawaj, wyzwoliliśmy trochę wódeczki z łap turystów. Akurat jeszcze dla ciebie, Klekot, zostało. Pij, jak ci życie miłe. Za ojczyznę.

Klekot pije do dna na raz. Od razu czuje dobre mambo-jambo w żyłach. Od razu świadomość we łbie się budzi. Ba, godność człowieka wraca! No tak to można żyć. Wtedy świat jest lepszy, wino i kobiety nie takie niedostępne, a i wzrok bliźnich nieco łaskawszy.

O powieści

Zemsta starych bogów to opowieść o pięciu wykluczonych kobietach, które przemieniają się w superbohaterki walczące ze złem, niekoniecznie z tym wielkim, ale właśnie takim najbliższym świata codziennego. Rolę komentującego chóru odgrywają panowie żule siedzący na ławce na ulicy Dietla na krakowskim Kaźmierzu, gdzie toczy się główna akcja tej książki. Miejsce jest stałe, ale czas nie, bo równolegle powieść wydarza się *in illo tempore*: współcześnie, ale również we wszystkich innych czasach, do których ma dostęp pani Wisława. To starsza żulica, w której odradza się Mokosz – słowiańska bogini, której kiedyś pozbyli się Weles i Perun. W tle toczy się mała (remont ulicy, budowa hotelu na miejscu średniowiecznego cmentarza) i duża historia (bliskość Wawelu i wszelkich postaci, które mogą z niego zmartwychwstać). Po ulicy biegają zmyry i strzygi, a po niebie unoszą chmury obłoczniki, które materializują siły rządzące współczesną Polską.



Kolacja szczęśliwych par

Aneta

Obudziła się od promienia światła przebijającego się przez niedosuniętą zasłonę, tylko po to, by zaraz schować głowę pod kołdrę. Resztki snu leniwie oplotły jej oddech i wciągnęły z powrotem w niedokończone historie. Stała na szczycie góry. Maje-
statyczny widok rozciągał się po zielonych falach drzew, przetykanych iskrzącym błękitem strumieni. Aneta wiedziała, że wzrokiem może sięgnąć dalej, zobaczyć więcej. Ostrość widzenia była zaskakująca i taka oczywista, nie do zakwestionowania. Chłonęła lekkość przestrzeni, wypełniała nią płuca. Była gotowa skoczyć i dołączyć do ptaków odprawiających pokręcone tańce na niebie. Tyle że nie mogła. Wbrew prawom natury, to ona czuła ciężar góry. Stopy odmierzały każdy gram skały. Musiało to trwać dobrą chwilę, bo w palcach pojawiło się irytujące mrowienie. I już, już chciała potrząsnąć nogą, by zrzucić tysiące chodzących po niej mrówek, ale powstrzymała się. Wiatr omiatał ją z każdej strony. Złośliwe, zimne prądy powietrza tylko czyhały na niewystarczająco dobrze opatulony kawałek skóry. Starła się dobrze przygotować na wyprawę. Założyła na siebie wszystko co miała. A przecież jak drgnie naruszy szczelną konstrukcję z ubrań. Tak wysoko w górach musi być jej ciepło. Nie może zmarznąć. Po prostu nie może. Jak zmarznie, będzie po niej. Aksamitny głos pojawia się znikąd. Padają ważne słowa ułożone w pytanie. Ta obecność jest kuszącym zapachem. Trzeba się jej przyjrzeć, dosłuchać umykający znak zapytania. Aneta zaskoczona spogląda

na kobietę. Dojrzałość głosu nie pasuje do młodej twarzy. Chce coś powiedzieć, ale zdaje sobie sprawę, że nieostrożnym ruchem zrobiła to, czego tak się bała. Odsłoniła swoje ciało. Jednak coś tu nie pasuje, drażni w logice wydarzeń. Ma buty do wspinaczki i dobre skarpety, ale to właśnie stopa drętwieje i zamarza. Chłód, jak wijąca się rzeka, sięga coraz wyżej do kolana, do uda. Oczy kobiety wyczekująco świdrują. Napierają. Aneta nie wie co ma najpierw zrobić: szukać odpowiedzi, choć ciągle nie zrozumiała pytania, czy natychmiast powstrzymać drętwienie z zimna. W końcu nadludzkim wysiłkiem woli rusza nogą. I rzeczywiście stopa chowa się pod kołdrę. Aneta pociera ją o drugą, tę ciepłą. Realność tego ruchu powoduje, że zostaje wytrącona ze snu, choć potrzeba odpowiedzi na pytanie ciągle jest. Pierwiastki paniki pączkują w obiegu Anety, przeradzając się w szarpiający niepokój, który wcale nie znika, gdy otworzy oczy, wysunie głowę spod kołdry i rozpozna znajome ściany sypialni. Jeszcze chwilę będzie musiała rozcierać zimną stopę. W końcu przeciąga się i teraz wracają wszystkie zmysły. Głowa momentalnie naprowadza na właściwy dzień tygodnia. Jest sobota. A co najważniejsze zaraz przychodzi do niej świadomość, że pierwszy raz od kilku miesięcy, nie musi zrywać się, pędzić, docierać gdzieś na czas. Wysuwa rękę spod kołdry i sięga poza materac, ostrożnie omija uzbierane przez ostatni tydzień kubki i kieliszki, ignoruje płaski kształt telefonu, aż palce łapią pożądany kształt, który przyciąga do siebie. Otwiera książkę tam, gdzie wczoraj uśpiły ją słowa. Nie śpieszy się. Nie zaplanowała nic na dzisiejszy dzień. Za dużo ostatnio miała stresu w pracy, zbyt wiele nerwowych sytuacji. Jedynie czego potrzebuje to spokoju i relaksu. Upłynie jeszcze pół godziny, zanim głód wygoni ją z łóżka, ale tylko na chwilę, bo szybko wraca ze śniadaniem i stara się tak manewrować małą taczą, żeby nie rozlać. Kolejne strony kryminału przepływają z prawej do lewej, kiedy sączy poranną kawę, przegryzając zeschniętą bułką z miodem. Fabuła Żmijowiska jest wciągająca, ale w pewnym momencie poczuła, że już wystarczy i doczyta tylko do ostatniego kęsa pieczywa. Kiedy się podnosi, może zbyt gwałtownie, pod powiekami miga kobieta ze snu, ale natychmiast się chowa za obrazem rzeczywistości. Aneta zostaje z niepokojącym poczuciem, że coś ważnego zrodziło się w jej głowie i że ta myśl niestety uciekła.

W rozwleczonej piżamie stoi na progu małego salonu i z przykrością stwierdza, że mieszkanie woła o sprzątanie. Mogłaby zrzucić winę na długie godziny spędzane w pracy, które nie sprzyjają pilnowaniu porządku. Ale Anecie już od dłuższego czasu trudno było znaleźć energię na coś więcej niż zarabianie pieniędzy. Łatwiej jest iść wytyczonym rytmem kontrolowanym przez denerwującego przełożonego, niż szefować własnemu życiu. Trzydzieści parę metrów jest umeblowanych podstawowymi, naprawdę niezbędnymi sprzętami. Mimo że Aneta mieszka tu już trzeci rok, ciągle ma poczucie, że jest to tylko na chwilę. Z suszarki, która stała się nieodłącznym elementem wystroju salonu i jednocześnie podręczną szafą, ściągnęła dawno wysuszone dzinsy i skarpetki. Nie kwapi się, żeby poskładać resztę. Jutro w końcu też będzie musiała coś na siebie włożyć. A teraz spróbuje zdążyć do ulubionej piekarni po pieczywo, może jakimś cudem zostały jeszcze uwielbiane przez nią słodkie bułki. Będą idealne do przegryzania podczas przerabiania po raz kolejny Chirurgów. Kanapa, serial na kolanach i przeświadczenie, że poniedziałek nie nastąpi, a czas można rozciągać jak gumę, nie robiąc nic. Najbliższe godziny zapowiadały się dla Anety obiecująco.

Ale natura nie znosi próżni. A już tym bardziej social media, które wciskają się w każdy wolny zakamarek, niezagospodarowaną komórkę człowieka, gotowe wypełnić je sensacyjnymi wiadomościami o celebrytach, katastrofach z linkiem do wpłaty i kompilacjami domowych filmików z rozrabiającymi kotkami. Telefon zapikał tym razem ambitnie, przypominając o wydarzeniu kulturalnym, co do którego Aneta nieostrożnie zadeklarowała się na Facebooku, że weźmie udział. Sięgnęła po telefon i postanowiła, że „odweźmie” swoje uczestnictwo i nie będzie już udawać, że interesuje ją spacer z przewodnikiem po wystawie polskiej rzeźby współczesnej. Aneta obiecała sobie, że dziś nie będzie zaglądać do komórki, biegać z jednej aplikacji w drugą i przepalać minut na oglądanie obrazków. Niestety niebieski software został już uruchomiony, a palec odruchowo był gotowy do scrollowania.

To był pierwszy post na wallu. Algorytm Fabebooka zdecydował, że to będzie najważniejsza informacja, która Anetę zainteresuje tego dnia. Lajki, serduszka i komentarze z gratulacjami puchły

pod zdjęciem dawnego narzeczonego. Ale Facebook nie mógł się bardziej mylić.

Aneta wyeksponowała środkowy palec w kierunku zdjęcia roześmianej, przytulonej do siebie głowami pary. I zaraz potem wycelowała jeszcze drugi, z lewej dłoni. Na tylko tyle mogła sobie pozwolić. Punktem centralnym zdjęcia był pierścienek na serdecznym palcu. Choć eksnarzeczony już ją nie obchodził, to fala emocji, która się pojawiła, kazała zwątpić, czy na pewno tak jest. A gdzie jego kara za dwulicowość, niedojrzałe zachowanie? Czy świat nie miał odpłacać dobrem za dobro, złem za zło? Spadanie na cztery łapy. Umiejętność, którą posiadał niczym superbohater, niepoddająca się prawom powracającej rzekomo karmy. Mały ekran świecił ich szczęśliwymi twarzami, kiedy w głowie Anety rozbłysła okrutna myśl. Życie nie musi być sprawiedliwe, a co więcej nie każdemu daje po równo i według zasług.

Gdyby mogła, cisnęłaby komórką przez okno, z satysfakcją obserwując, jak szkło rozdrapuje uśmiechy z ich twarzy, a potem tłuką się o chodnik i giną w zniszczonym ekranie. Bardzo powoli kliknęła na jego profil. Znalazła opcję, dzięki której zmieniła status znajomości. W końcu przestanie zachowywać dyplomatyczne pozory. Już nie będą znajomymi na Facebooku. Nie pozwoli na inne zdjęcia z lekkością wpadające w newsfeed. Szkoda tylko, że ten gest nie ma najmniejszego znaczenia. Bo ona nie ma dla niego najmniejszego znaczenia. Złapała głęboki oddech, zamknęła oczy i zaczęła liczyć: jeden, dwa, trzy, cztery, pięć...

Dwadzieścia trzy i do złapania równowagi ciągle było daleko. Dzwoniący telefon też nie pomógł.

– Widziałam. Sonda nie jest potrzebna – uzbroiła się na wszelki wypadek.

– Yhmm.

– Ale nie naszykowałam żyletki i nie napuszczam teraz wody do wanny, której zresztą nie mam.

– Cudownie. To jest czas na świętowanie. Celebrowanie nie popełnienia życiowego błędu. Koleś z wrodzonym skrętem szyi. –

Wiola łapała żart, ale mimowolnie odetchnęła z ulgą.

– Niewykluczone, że się zmienił – ta hipoteza zabolą Anetę, bo oznaczała, że odbyło się to jej kosztem.

– Ehhh... Tak. A ja schudłam, nie ruszając się z kanapy.

– Racja – Aneta bezwiednie przytaknęła głową. – Zresztą nie chcę o nim już więcej gadać.

– Co planujesz dziś robić?

– Teraz kupię bułki, a potem... potem... obejrzę Chirurgów.

– To twoja terapia? Serial przegryzany bułką?

– Jest miłość, kłopoty, a potem znowu miłość. Innych szczęśliwych par nie znam. Poza tym nie chcę terapii.

Lubiła śmiech Wioli. Było w nim coś zaraźliwie frywolnego.

– Sorry, sorry, oczywiście twój związek jest szczęśliwy.

– Co ja ci będę tłumaczyć. Chcesz poznać, co to prawdziwe szczęście w parach, delektując się krewetkami? Bo mogę cię dziś zabrać na kolację do Mileny i Artura.

– Znam ich?

– Nie. To paczka przyjaciół ze studiów Patryka. Spotykamy się raz na ruski rok. Mój kochany mąż się przeziębził – Wiola zain-tonowała ostatnie słowo w sposób, który nie pozostawiał wątpliwości, że to przesadne określenie na stan faktyczny – więc był plan, że ja też, ale dla ciebie zrobię wyjątek.

– Czy to będzie komedia na żywo? Bo dramatów mam dosyć.

– Powiem ci tyle: podziękujesz mi później.

Nawet przyjaciółce nie chciała się przyznać. W końcu to dwa i pół roku od zakończenia siedmioletniego związku. Absurdalne. Kto po takim czasie z powodu zdjęcia eksnarzeczonego znowu się rozkleja? Wbrew rozsądkowi ciało Anety rozwarstwiało się i znikało. Było wszystkim i niczym. Ile można? Miała ochotę do niego zadzwonić i wykrzyknąć, że to niesprawiedliwe. Albo po

prostu otworzyć buzię i zacząć wrzeszczeć do słuchawki. Ale nie zrobiła tego przy rozstaniu, nie robi tego teraz.

Rozejrzała się po mieszkaniu. Wiola pojawi się u niej dopiero za kilka godzin. Czas się ogarnąć. Ale najpierw podeszła do lodówki, nalała do szklanki wina z dyżurnej butelki i przechyliła kieliszek. OK. Można się zabrać za sprzątanie.

Milena

W kuchni unosiła się mieszanina orientalnych przypraw, zdecydowanie ostrzejszych niż łagodnych. Milena stała odwrócona plecami do drzwi i kroїła paprykę z prędkością szefa kuchni. Dźwięk przecinał powietrze na setki kawałków i trzeba było bardzo uważać, żeby nie znaleźć się na linii cięcia. Plecy lekko i płynnie poruszały się w rytm wybijany przez nóż, tak jakby stanowił naturalne przedłużenie dłoni. Nie musiała się odwracać. Artur zatrzymał się na progu.

– Marudziły? – postanowiła zacząć pierwsza.

– Może tylko trochę.

– Mam nadzieję, że twoja mama nie przesadzi z chipsami i słodyczami.

– Raz na jakiś czas im to nie zaszkodzi. To tylko jedna noc.

Milena zsunęła z deski paprykę na salaterkę i zabrała się za marchewkę.

– Pomóc ci? – w odpowiedzi dała mu bliżej niezidentyfikowane cmoknięcie. Po tylu latach już powinien wiedzieć.

– No tak. Dużo ci jeszcze zostało do zrobienia?

– Nie. Już kończę. Zaraz idę się malować.

– Wolę cię bez makijażu. – powiedział to z nutą czułości, jakby zapomniał, że są już dziesięć lat po ślubie. Wiedziała, że ma urodę, której się nie kwestionuje. Taki prezent od losu, za który czuła się zobowiązana dziękować. Posłała mu szybki uśmiech. Mignął jej wyraz napięcia na twarzy męża, ale wolała zignorować tę obserwację. Nie miała na to czasu.

– Wiesz, że nie musiałaś robić tego aż tyle. Mogłaś powiedzieć, żeby każdy coś przyniósł i też by było OK.

Westchnęła zniecierpliwiona.

– Ale chciałam przygotować wszystko sama. Wiesz, że to lubię.

– Po prostu mogliśmy to popołudnie spędzić razem.

Wolała mieć dom dla siebie. W końcu cisza, bez zastanawiania się, czy te krzyki to początek płaczu, czy tylko wstęp do śmiechu, czy kaszel to zapowiedź choroby, czy może czymś się któryś już dławi. Trójka dzieci – to jak małe przedszkole. Kiedy byli wszyscy razem, nie było miejsca w mieszkaniu, gdzie mogłaby spokojnie odpocząć, bez pukania do drzwi, zagładania i pytań: „Mama, a co robisz?”. Miały radar. Niezawodny sygnalizator momentu, w którym chciałyby się od nich oderwać. Łapała oddech i po pięciu minutach któreś zaczynało wzywać, przybiegać, domagać się. Jej. Ciągle jej. Mamy. Nie Mileny kochającej czytać biografie. Nie Mileny fascynującej się średniowiecznym Krakowem. Nie Mileny, która potrafi prawie bezbłędnie zrobić stanie na głowie na jodze. Chcieli tylko mamy.

Ale było coś jeszcze. Kuchnia to było jej laboratorium tworzenia smaków, kreowania zapachów. Kochała przygotowywanie skomplikowanych posiłków, a nie tych zdrowych i mdłych potraw dla dzieci. Z satysfakcją stawiała gotowe dzieło na stole. Jak każdy twórca potrzebowała widowni i oklasków. Jej kubki smakowe były nieomyłne, ale ekscytacja innych to był pełen sukces. Obserwowała, jak z twarzy gości znikało napięcie, wygładzały się zmarszczki na czole, rozluźniały się kąciki ust. Potrafiła rozpoznać, kto kłamie. Zbyt lekkomyślne podejście Mileny do jedzenia, kończyło się brakiem gości na kolejne spotkania. Nieostrożne wspomnienie o diecie i prośba o usunięcie laktozy czy glutenu mogło doprowadzić ją do wycofania zaproszenia, albo „przez przypadek” komponowała menu tak, że biedny gość mógł co najwyżej wypić kawę.

Milena spodziewała się, że po tej krótkiej wymianie zdań, mąż dyskretnie się wycofa, pójdzie do sypialni i sięgnie po którąś z książek, które właśnie czyta. Ostatnio coś o startupach. Albo

znowu będzie maglował tę o zwierzętach – *Poza słowami*. Już musiała oprotestować koncepcję psa w domu. Artur oderwie się od książki dopiero, kiedy przyjdzie mu powiedzieć, że już są goście. Jak go nie przypilnuje, to nawet się nie przebierze. Ale Artur ciągle stał na progu kuchni. Czyli ta mina jednak zwiastowała problem, który nosi w sobie, który wcześniej czy później będzie również jej. Wolałaby, żeby to było później, ale zanosilo się, że nie odpuści, że go nie zniechęci milczeniem i siekaniem. Sięgnęła teraz po pomidory.

– Artur, chcesz mi coś powiedzieć? – zdecydowała się go ponaglić.

– Szykują się zwolnienia w firmie. Nowy prezes zaczyna robić porządki.

– Yhym. – W duchu odetchnęła. Nie wie czemu, ale spodziewała się, że ją czymś zaskoczy. Potrafił podrzucić nieprzyjemnie niespodzianki. – Idź z nim na lunch. Zrób prezentację. Umiesz zjednywać sobie ludzi, jesteś w tym dobry. – Miewał trudniejsze sytuacje w pracy.

Usłyszała jakieś niewyraźne chrząknięcie, ale postanowiła się nie odwracać.

– No to znajdź inną pracę. Do tej pory wyrywali sobie ciebie. Podwyżka nam się przyda.

Zapadła cisza tak długa, że nawet przez moment pomyślała, że w końcu wybrał książki. Ale nie. Podszedł i oparł się o blat. Celowo unikała jego wzroku. Wcale nie miała ochoty mu ułatwić. Cokolwiek by to było.

– Milena, nie wiem, czy chcę. Jestem zmęczony tą robotą. Każdego dnia nienawidzę siebie coraz bardziej.

Artur zrzucił ciężar, który teraz zawisł gdzieś między nimi. Jak odbezpieczony granat. Milena dobrze wiedziała, że nie zniknie, że ktoś będzie musiał go przejąć. Przytrzymać zawleczkę. Inaczej wybuchnie. Rozwali wszystko. Zrobiło się jej aż ciemno przed oczami.

Nóż przestał ciąć warzywa i powietrze, ale nie stało się od tego przyjemniej w kuchni. Rozbiegane oczy Artura skanowały jej twarz, próbując znaleźć zrozumienie. Nie da mu tego. Jeszcze nie teraz. Wróciła do krojenia warzyw.

– Chcesz mi powiedzieć, że jeśli cię zwolnią, to przyjmiesz odprawę i zmieniasz zawód?

– Coś... w tym stylu – potwierdził. – Taka nietypowa wersja kryzysu wieku średniego – próbował zażartować, nawet dotknął jej ramienia, ale nie roześmiała się.

– Chciałam ci przypomnieć, że masz trójkę dzieci i mnie na utrzymaniu. Do tego kredyt na mieszkanie. Nie czas na kryzysy.

– Mila, czemu jesteś taka obcesowa?

– Bo chodzi o moje dzieci – warknęła.

– To są też moje dzieci – zareagował urażony.

– OK. OK. Trochę mnie zaskoczyłeś – postanowiła stonować. Musi ogarnąć tę sytuację trochę inaczej. – To jaki masz pomysł?

Znała go dobrze, znała go bardzo dobrze. Nie wie, jaki był w pracy, ale w domu był sterowalny. Mogła namówić go na cokolwiek, nawet jeśli wykraczało to poza zdrowy rozsądek. Tak jak to było z mieszkaniem. Trochę się przy tym napracowała, ale udało się. Kupili niebotycznie drogie metry kwadratowe w wymarzonej dzielnicy. Niestety raz na jakiś czas miał pomysły, irracjonalne koncepcje, od których nie umiała go odwieźć. I czuła, że to jest jeden z nich. Na szali było komfortowe życie, które płynęło z jego pensji. Nawet ona wiedziała, że o takie zarobki nie jest łatwo.

– Chcę wejść w startup. Aplikacja na telefon. Jeszcze się przyglądam i analizuję. Nie będzie przynosiło na początku zysków. Ale się rozkręci.

– Skąd wiesz, że się rozkręci? – mogła się domyślić wcześniej. Wyjątkowo dużo czytał na ten temat ostatnio.

– Nie wiem. Tego się nigdy nie wie – wzruszył ramionami.

– Rób obie rzeczy na raz. Nie stawiaj wszystkiego na jedną kartę.

– Nie da się. Poza tym musiałbym ruszyć fundusze inwestycyjne, a to nie jest dobry moment. Patrzyłem na nasz budżet domowy – zrobił pauzę jakby ostrożnie chciał zrobić grunt pod to co zaraz Milena usłyszy. – Chłopaki nie muszą wcale iść do prywatnej szkoły. – Po chwili padło coś, czego już zupełnie się nie spodziewała. – Może wróciłaś do pracy?

Najpierw chciała się roześmiać. Potem tym nożem, którym teraz kroїła czerwone, soczyste pomidory, miała ochotę zboczyć z deski i przejechać „niechcący” po jego ciele. I tak siedem razy.

– Milena, muszę coś zmienić. Nie wiem, dlaczego udało mi się w tym wszystkim wdrapać tak wysoko, ale dłużej nie jestem w stanie ciągnąć tej roboty.

– Nas też nie możesz zdzierzyć? – wiedziała, że pytanie nie jest fair. Nieważne. Ważne, żeby zasiać coś pod wyrzuty sumienia, zbudować podwaliny pod późniejsze manewry i negocjacje.

– Nie mów tak – zawahał się, ale dodał: – W dłuższej perspektywie będę zarabiał jeszcze więcej.

Krojenie na moment znowu zdominowało dźwięki w kuchni.

– Ale takiej gwarancji nie ma. Porozmawiajmy o tym po kolacji.

Obserwował ją jeszcze przez chwilę, ale udawała, że tego nie widzi. Jak tylko dostrzegła, że chce dotknąć jej ramienia i jeszcze coś dodać, zaprotestowała:

– Po kolacji.

W końcu się ruszył. Na pewno poszedł do swoich książek. Wyciągnął jedną z tych, które leżały na podłodze obok łóżka. Nigdy na stoliku nocnym. Nieważne, ile razy by je tam przekładała i porządkowała, zawsze lądowały w końcu na podłodze. Rozciągnął się teraz wygodnie i czyta. A ona miała ochotę wziąć salaterkę z pokrojonymi warzywami, rzucić nimi o podłogę i krzyczeć, krzyczeć z wściekłości.

Jola

Siedziała na brzegu łóżka i nawet nie chciało się jej dotknąć wypukłego brzucha. Słyszała szum wody spod prysznic. Mąż kąpał się przed wyjściem na kolację. Wiedziała dokładnie, co się dzieje za zamkniętymi drzwiami. Na pięknie wyrzeźbione ciało spływały szybko krople z deszczownicy, a dłonie bardzo metodycznie myły, potem subtelnie masowały każdy zakamarek skóry. Wie, bo kilka razy obserwowała go, siedząc na toalecie. Była pod wrażeniem, nie, nie, była zafascynowana, tym w jaki sposób dotyka swojego ciała. Miało to w sobie coś z nabożeństwa albo medytacji. Jedno z dwojga. Za pierwszym razem, kiedy zobaczyła go tak zajętego pod prysznicem, podnieciła się. Chciała wejść do niego, podotykać mokrej, naprężonej skóry. Zapragnęła, żeby ją też pomasował, popieścił. Nigdy nie kochała się pod prysznicem. I chyba nigdy już tego nie zrobi, bo powiedział: „Nie lubię siedzieć za długo pod prysznicem. To źle wpływa na warstwę ochronną skóry”. Tak powiedział. Warstwę ochronną skóry. Roześmiała się, biorąc to za żart i nie zważając na jego słowa, postawiła nogę w brodziku. Bardzo grzecznie ją wyprosił. Niby nic się nie stało, bo potem w łóżku położył się na niej i kochali się pod kołdrą. Tak właśnie lubił najbardziej: pod przykryciem. Wtedy też zauważyła, że nie patrzy. W czasie seksu prawie zawsze miał zamknięte oczy. Chciała go o to zapytać, ale bała się usłyszeć odpowiedź. Zmobilizowała się. Wprowadziła dietę i drakońskie ćwiczenia. Dopingował i dawał rady. Ogromnym wysiłkiem woli osiągnęła zamierzony efekt, ale też odkryła, że nigdy nie będzie mieć kobiecych proporcji. Wyrzeźbione ciało było ciągle bez talii, z ledwo, ledwo podniesionymi pośladkami, no i ucierpiała na tym jej największa duma, czyli biust. Nigdy nie był zbyt wielki, ale zawsze bardzo kształtny. Od nadmiaru ćwiczeń, zmałał i zrobił się obwisły. Pewnego dnia powiedział, że może osiągnąć wszystko, skoro potrafiła znaleźć w sobie taką motywację. Słowa pochwały puchły w głowie tak długo, aż zatarły się ich sens i znaczenie. Nie wspominała, że robiła to dla niego. Czuła, że może być na tej diecie do końca życia. Tylko w łóżku nic się nie zmieniło: ciągle zamykał oczy.

Kiedy w końcu zaszła w ciążę, poczuła się zwolniona z pilnowania diety. Pojawiły się też desery z prawdziwego zdarzenia.

Pączki. Jeden dziennie. Takie mikro-makro szczęście każdego dnia. Nie znosił ich. Szczególnie tego lukru, od którego zlepiąły się palce i usta. Trzeba było zlizywać go z dłoni, od czego robiło się jeszcze bardziej klejąco i słodko. Uwielbiała tę lepka, biało-porcelanową maź. W cukierni koło domu już nawet nie musiała prosić, by podali ten z największą ilością polewy.

Długo siedział pod prysznicem. To na pewno przez tę sytuację w kuchni. Nie chce na nią patrzeć. Nie dziwi się. Też woli omijać lustro. „A może on się tam masturbuje?” – ta myśl pojawiła się nie wiadomo skąd. Prawie jak nie jej. Nigdy nie myślała, że mógłby się masturbować. Faceci przecież to robią. Kochali się przeważnie dwa, trzy razy w miesiącu, a teraz odkąd jest w ciąży rzadziej. Wolałaby częściej, ale on nie potrzebował. Zabrakło jej odwagi na deklarację: „Chcę więcej”. Kiedy po roku małżeństwa i dwunastu testach ciążowych, poszła na konsultację, ginekolog, nie bawiąc się w subtelności, kazał im zwiększyć częstotliwość. „Bez tego szkoda czasu i pieniędzy na badania”. Natychmiast powtórzyła mu słowa lekarza. „Oczywiście kochanie”. Objął jej twarz i pocałował w czoło. Tyle, że nic się nie zmieniło. Patyczek z dwoma kreskami trzymała jak kupon totolotka z szóstką. Pełna oszołomienia pokazała mu wynik testu. Znów pocałował między brwiami i powiedział: „Mówiłem, że się uda”. Dopiero potwierdzenie od lekarza nadało objawom prawomocności.

Szum wody spod prysznica nie ustawał. Zamiast brzucha, dotknęła narzuty na łóżku. Chropowata faktura wzoru wcale nie była przytulna. Nie pamięta, dlaczego kupując ją, nie zwróciła na to uwagi. Powinna być miękka w dotyku. Westchnęła. Chciała zatrzymać wiadomość o ciąży tylko między nimi. Przynajmniej na jakiś czas. Ale już następnego dnia zadzwoniła z gratulacjami siostra cioteczna Filipa, Milena. Chyba nigdy nie zrobił jej większej przykrości. Kiedy płacząc, wydusiła z siebie, dlaczego jest jej tak smutno, rzucił coś o rozstrojeniu hormonalnym i że nie spodziewał się, że nastąpi tak szybko. Kiedy przytulał z przeprosinami, chciała jeszcze coś powiedzieć, ale sama nie wiedziała co. Niewypowiedziane trzymało się bardzo mocno w gardle. Dużo rozmawiał z Mileną. Wiedziała, że jej sprzyja. Na pewno pomagała mu wybrać pierścionek zaręczynowy. „W końcu!” – wykrzyknęła, kiedy pokazała jej dłoń. Uśmiechnęła się

z wdzięcznością za ten entuzjizm i aprobatę. Ale teraz już nie wie, co Milena miała na myśli. Ostatnio nastąpiła jakaś zmiana. Jola nie bardzo wiedziała, czy coś zrobiła, czy może powiedziała. Potrafiła strzelić „głupotkę”. Tak Filip to nazywał. „Te twoje głupotki”. Uśmiechała, ale w środku szalał niepokój, bo nigdy nie wiedziała, czy był to żart, czy nagana. Najbardziej stresowała się, kiedy byli tylko we troje. Nie chciała stracić Mileny. Na szczęście dzisiejsza kolacja to spotkanie starej paczki przyjaciół. Osiem osób. Tyle że po tym wydarzeniu w kuchni, ostatnią rzeczą, jaką chciała, to iść gdziekolwiek i rozmawiać z kimkolwiek. Jeszcze godzinę temu cieszyła się na wyjście, mimo że ciąża dawała się we znaki: bolał krzyż i ucisk na pęcherz był coraz bardziej uciążliwy. Rozciągnięta na kanapie w salonie, przerzucała bezmyślnie kartki magazynu, czekając cierpliwie na męża, aż się wyszykuje. Słyszała, jak kręci się po sypialni, wyciąga deskę i żelazko. Jego koszule były prasowane zawsze dwa razy: pierwszy raz przez nią, po praniu, drugi raz przez niego, przed założeniem. Nawet nie próbowała dorównać technice Filipa. Wiedziała, że zaraz wejdzie pod prysznic. Zawsze szykował się w takiej kolejności. Podniosła wzrok znad gazety. Z kanapy miała widok na ich otwartą kuchnię. Na blacie stał bukiet kwiatów dla Mileny. I wtedy przypomniała sobie, że rano kupiła dwa pączki. Jednego zjadła zaraz w drodze do domu. Drugiego trzymała w chlebaku. Rzadko tam zaglądał, bo praktycznie nie jadł już pieczywa. Nie, żeby jakoś celowo nad tym myślała. Po prostu tam je wsadzała. Nawet nie wie, jak znalazła się na chłodnej posadzce, kiedy sięgnęła pod pokrywę. Moment, w którym usta Joli zanurzyły się w okrągłym pączku, spłynął jak błogosławieństwo. Aż przymknęła oczy. Ten pierwszy kęs był najlepszy, drugi gryz i każdy następny nie sprawiał takiej radości, ale były niezbędnym dopełnieniem i nigdy nie było ich dość. Aż do końca. Ostatni kawałek to już tęsknota za kolejnym pączkiem. Otworzyła oczy, żeby zabrać się za obлизywanie palców z lukru i aż podskoczyła na widok wpatrzonego w nią męża. „Jesz pączka?” – zabrzmiało, jak pytanie o stan umysłowy. „Idziemy zaraz na kolację do Mileny” – przypomniał, wychodząc. Tego wyrazu zniesmaczenia na twarzy Filipa nigdy nie zapomni. Przegryziony kęs ciasta zatrzymał się w gardle. Już nie miała ochoty zlizywać lukru z palców. Odwróciła się do zlewu, żeby zmyć ślady niepoczytalności. Szybko pocierała dłonie.

Sięgając po papierowy ręcznik, ujrzała kształty w laminacie szafki. Odbicie było niewyraźne, ale dopiero teraz dostrzegła, to czego nie chciała zauważyć, patrząc prosto w lustro. Nie przypominała tych kobiet, które w ciąży wyglądały, jakby wsadziły sobie piłkę pod bluzkę. Piękna rzeźba ramienia zmieniła się w pulchną poduszkę rozlewającą się w każdą stronę. Miękka warstwa tkanki tłuszczowej rozprzestrzeniła się na tyłku i udach. A ona tego nie powstrzymuje. Je te cholerne pączki. Zawiodła. A tak ją wspierał, motywował, do bycia najlepszą wersją siebie. Nadchodzące mdłości nie przypominały tych ciężowych. Odbijały się odrazą do siebie. Filip miał rację. Jak zwykle miał rację. Poszła do sypialni i siadła ciężko na łóżku. Poczekaj tu na niego. Poglaskała rozłożone ubrania męża. Jak tylko Filip wyjdzie spod prysznicą, przeprosi. Jego i dziecko. Za to obżarstwo. Za tak słabą wolę. Siedziała i czekała słuchając szumu prysznicą.

Agnieszka

Przywitała ją cisza. Klucze zostawiła w miseczce na stoliku w przedpokoju. Bezwiednie zanotowała, że nie ma drugiej pary. Krzysztof ciągle pręży mięśnie na siłowni. Te obserwacje zajęły nanosekundy. Agnieszki myśli krążyły wokół studentów i ich coraz gorszego stanu wiedzy. Dylemat, który próbowała rozstrzygnąć to, czy zrobić łatwiejsze kolokwium i mieć ich z głowy, czy trzymać poziom i użerać się z poprawkami. Nie miała na to czasu i energii. Zsunęła buty i powędrowała do kuchni, ciągle trzymając torbę z książkami i laptopem na ramieniu. Krążyły plotki, że szefowa zakładu wybiera się na emeryturę. Coś w tym musiało być, bo wystarczyło popatrzeć na kolegów z katedry, którzy nagle zaczęli się starać. I może nie miała wcześniej takich ambicji, ale wsparcie profesora dało jej do myślenia. Poza tym właśnie zdobyła grant na badania. Praca habilitacyjna nabierała w końcu realnych kształtów i wolała cały wysiłek skumulować tutaj. Wyciągnęła z lodówki sok jabłkowy, napiła się prosto z butelki i odstawiła go do środka. Trzeba rozpocząć badania. A to zawsze oznacza niespodzianki. Skierowała się do sypialni. Brak chętnych doktorantów do współpracy. Zbyt niski response z ankiet. Wszystko trzeba posprawdzać jeszcze raz, żeby ci z komisji biotycznej nie przyczepili się. Potencjalne problemy pączkowały

w głowie, ale jednocześnie ekscytacja panowała się pod skórą. Rzuciła w końcu na podłogę dźwigane torby i zamiast zgodnie z planem jeszcze popracować, siadła na krawędzi łóżka. Opadła miękko na plecy. Jak odpuści studentom, to wcale się jej to nie przysłuży. Taki paradoks. Albo od nich wymagasz i cię nienawidzą, ale też szanują. Albo pobłażasz i zaczynasz się z nimi kumłować, ale zajęcia traktują lekceważąco. A Agnieszka chciała czegoś ich naprawdę nauczyć.

– Cześć kochanie.

Drgnęła. Nawet nie usłyszała, kiedy wszedł do domu.

– Ale mnie przestraszyłeś... – Sportowa torba wylądowała na podłodze tuż obok teczki. Dopiero teraz pomyślała o swoim laptopie, że jednak powinna bardziej o niego dbać. Nie może kupować co roku nowego.

– Jak ci dziś poszło? – nachylił się i pocałował ją prosto w czoło.

– Dobrze. Zastanawiam się, czy zrobić łatwiejsze kolokwium, czy trudniejsze. – Uśmiechnęła się. Lubiła jego zwichrowanego włosa, nad którymi wiecznie próbował zapanować.

– Zawsze łatwiejsze... nie bądź taka – puścił do niej oko i zaczął się rozbierać, rzucając ubrania na podłogę. – Jesteś gotowa do wyjścia?

– O boszzze... – uderzyła się dłonią w czoło – zapomniałam, że to dziś. No dobra. Muszę się ogarnąć. I nastawić psychicznie.

– Ej... Kiedyś ich lubiłaś. Przeżyjesz.

Podniosła się z łóżka i zdjęła w końcu kurtkę.

– No dobra, dobra. Nie kąpałeś się na siłowni? – Krzysztof wrzucił ramionami i zupełnie nagi powędrował do łazienki. Potoczyła za nim wzrokiem. Zawsze z przyjemnością oglądała jego pośladki. Krzysztof nie miał proporcjonalnych kształtów i mimo ćwiczeń ciągle nie nabierał nawet lekkiej muskulatury, ale te dwie okrągłości miał bardzo kształtne. Sterta ubrań na podłodze przypomniała, że musi nastawić pranie.

– Założyłeś nowy sweter na siłownię? – Nawet nie liczyła na odpowiedź, bo już słyszała, jak zamknęły się za nim drzwi. Lubił się dobrze ubrać, nawet na trening. Otworzyła swoją część szafy. Zebrała w ramiona „brudne” rzeczy i ruszyła do łazienki. Zatrzymała się przy rozrzuconych ubraniach Krzysztofa. Zrezygnowała z oceniania, co się nadaje do prania, a co nie. Po chwili wahania dziwnym gimnastycznym ruchem wzięła do ręki jedynie torbę sportową.

Para buchnęła prosto w twarz, kiedy otworzyła łokciem drzwi.

– Co tam kocico? Wskakujesz do mnie? – zauważył ją przez zaparowaną szybę.

– Dziękuję, ale nie potrzebuję na skórze oparzeń pierwszego stopnia.

– Jutro jesteś na uczelni znowu? Bo chcę pójść z chłopakami na ściankę. Ale jeśli masz wolne...

– Idź. Jutro mam z zaocznymi ćwiczenia.

Wrzuciła rzeczy do pralki. Rozpięła torbę i sięgnęła po strój sportowy. Już go miała dorzucić do reszty, ale zatrzymała się w połowie. Ergodynamiczna koszulka ciągle wydzielala zapach złotych orchidei. Wróciła z torbą do sypialni. Rzuciła ją w miejscu, gdzie była poprzednio.

Szafa pękała od naporu ubrań. O dziwo bardziej męskich niż damskich. I tak Agnieszce wydawało się, że nie będzie w stanie znieść ich do końca swoich dni, a przez większy wybór paradoksalnie marnuje minuty na podejmowanie decyzji. Strata czasu. Tak samo jak nadchodzący wieczór. Mogłaby przejrzeć artykuły, które podesłał jej profesor ze Stanów. Zrobić z tego notatki. Przygotować kolokwium. Za to będzie udawać, że pije. Że lubi gospodynię. Że słyszy świetne żarty.

– Już wiesz w co się ubrać?

Podskoczyła. Znowu nie usłyszała, jak wchodzi.

– Nie. I dlatego powinnam zostać w domu. – Coś ją świerbiło do kłótni.

– Widziałaś moją granatową koszulę? Chyba nie wrzuciłaś jej do prania?

– Nie. Ale chciałam uprać twoje rzeczy z siłowni, ale okazało się, że się w ogóle nie pocisz.

– Nie zabieraj się za coś, o co cię nie proszą.

Ten zarzut w głosie Krzysztofa był tak stanowczy, że prawie w niego uwierzyła. Odwróciła się tylko po to, by złapać jego orli profil.

– Nie byłem na siłowni, tylko w pracy. Załóż kombinezon z tym...

– Jest na lato. Jak to byłeś w pracy?

– Miałaś jeszcze taki czarny. Jechałem na siłownię, kiedy Jacek zadzwonił.

– Po co? – Sięgnęła do wieszaka.

– Nie umiał sobie poradzić ze sprzętem. Musiałem pojechać mu pomóc.

– W sobotę?

– To mój klient. Chce w sobotę, ma w sobotę.

Podszedł do niej od tyłu i ciepłe, nagrzane wodą ręce z gdzieniegdzie jeszcze uchowanymi kroplami objęły biodra i talię

– No przepraszam, ale nie chciałem mówić, że znowu pracowałem – wyszeptał do ucha i zaczął lekko kołysać swoim i Agnieszki ciałem. – Po co masz się denerwować.

– Strasznie zaborczy są ci twoi klienci. – Złość ciągle gdzieś tam krążyła pod jej skórą, jeszcze chciała coś powiedzieć Agnieszce. Ale trzymał ją mocno. Roztapiał bujaniem wątpliwości.

Odgarnął włosy z karku. Palce przebiegły po skórze.

Szybki pocałunek w szyję.

Nabrała powietrza.

Drugi. Dłuższy, by poczuć ciepłe, miękkie usta.

Zapomniała, co chciała wyartykułować.

I trzeci. Z muśnięciem przyjemnie drażniącego języka.

– Wiem. I tak należę do ciebie – powiedział to już we włosy.

Skóra Agnieszki przyjemnie naprężyła się, kiedy ręce Krzysztofa zeszyły w okolice brzucha, by rozpiąć guzik, potem suwak spodni. Znajome palce rozpychały się w bieliźnie.

– Za dużo pracujesz... – To nie były te słowa, ale innych nie umiała przywołać. Gdzieś uleciały.

– Potrzebujemy więcej kasy... yhym – kolejny pocałunek tym razem w ucho – ale dzięki temu, że nie byłem na siłowni, mam bardzo dużo energii... zaraz ci pokażę, jak dużo...

Spojrzała na zegarek.

– Już powinniśmy tam być. – Uśmiechnęła się.

– Tiiiiiaaaa.... Myślałem, że tym razem będziemy wcześniej.

W powietrzu jeszcze ciągle latały przyspieszone oddechy. Krzysztof przesunął dłoń na jej pierś i lekko ścisnął. Uśmiechnęła się na ten mały rytuał. Uwielbiał to robić.

– Co tam? – wymruczała. – Powtórka?

– To byśmy już w ogóle mogli sobie odpuścić kolację. – Oparł się na przedramionach. – Masz przepiękne piersi. A jak będziesz w ciąży... yhym. – Przekręcił oczami.

– Kręciłby cię widok przyssanego dziecka? Chyba nie będą już tak...

– Kręciłoby mnie to.

– Zboczuch. – Klepnęła go w udo.

Nabrał powietrza, ale dopiero przy drugim oddechu odezwał się.

– Przydałby się remont łazienki.

– To będzie trudniejsze niż moja habilitacja. Na to grantu nie dostaniemy.

Odwróciła głowę w stronę biurka. A właściwie dwóch niemodnych szafek i położonych na nich blacie. Zgięta w usługowej pozie niebieska lampka. Stos notatek posegregowanych tematycznie. Kolorowe karteczki na korkowej tablicy. Długopisy, ołówki, mazaki w okrągłej puszcze. Prace studentów w plastikowych szufladkach, podzielone na dwie części, sprawdzone i do sprawdzenia. Książki poukładane w zależności od tematu, którym się akurat zajmowała. Pozostałe lądowały na półkach, które toczyły swoje rzędy wzdłuż ścian sypialni. Świetnie wyprofilowany fotel, który każdy szanujący się architekt wewnątrz kazałby wyrzucić. W całym mieszkaniu mógł panować chaos, ale w tym jednym miejscu panowała niezachwiana harmonia. Pierwszy i ostatni widok każdego dnia. Tutaj odprawiała swoją modlitwę poranną i wieczorne nabożeństwo. Prosto z łóżka zasiadała w piżamie, żeby pracować. Bez kawy, bez śniadania. Czysta strona i świeży umysł. Wierzyła w poranki. W ich siłę i moc patrzenia na nowo. Ufała wieczorom i rozgrzanym aksonom. Bardzo rzadko pozwalała sobie na większą ilość alkoholu. I dziś na kolacji u Mileny postara się, jak najmniej pić. Będzie to trudne, ale nie chciała tracić tego, co jutro może jej głowa stworzyć.

– Pewnie będą znowu pytać.

Kiedys już mieli wyznaczony termin, ale tata Krzysztofa ciężko się rozchorował i postanowili przełożyć ślub na bliżej nieokreśloną przyszłość, w której będą czas i pieniądze. Kiedys o tym wspomniała Wioli. Kiwała głową ze zrozumieniem, a potem rzuciła: „To zróbcie bez tego cyrku. Tylko dla siebie”. Proste. Nawet rodzice nie liczyli, że będą się bawić na weselu trzydziestoparoletnich dzieci. Byle się tylko pobrali.

Z udanym przejściem westchnęła.

– Masz gotową odpowiedź? – roześmiał się.

– Tak. Że moja narzeczona woli książki ode mnie.

– Wiesz, że ja ciebie bardzo?

– Ja ciebie też. – Sięgnął do jej brzucha i lekko nim potrząsnął.

Wycinała czasownik, bo bała się kiczu. A i tak te najbardziej wyswiechtane słowa wyznania, nieustannie wprowadzały miękkość do jej ciała. Zupełnie jak z najtańszego romansu. Z niepokojem czekała na pustkę wyrazów, która kiedyś musi nadejść.

– Chodźmy już na kolację – ale zamiast się podnieść, przekręciła się na bok i wsunęła mu rękę między uda. Wysoko.

– Nie kuś. Nie uda ci się bardziej odwlec wyjścia – zamruczał. – Idziemy.

Milena

– Sama upiekła.

Żart koleżanki Wioli wcale nie rozbawił Mileny. Śledziła uważnie, jak ściągają bez zażenowania plastikową siatkę z butelki czerwonego wina. W tym domu na zakupy chodzi się z ekologiczną torbą, a cztery kosze na śmieci stały w kuchni, na długo zanim pojawił się obowiązek segregacji. Co za bezmyślność.

– Cudownie. – Milena rzuciła okiem na etykietę. – Zupełnie świeże. Musisz dać mi przepis. – Puściła oko i na jej twarzy pojawił się uśmiech numer cztery. Ten na pokaz.

Wszystko zaczęło się nie tak. Artur ze swoimi rewelacjami. Wiola, która przyszła z przyjaciółką zamiast Patryka. W pierwszym odruchu miała ochotę powiedzieć, że to jest „ich” spotkanie i odbywa się w zamkniętym gronie. Ale oczywiście uprzejmie ugryzła się w język. Patryk podobno się rozchorował. Wiola dorzuciła szeptem, że przyjaciółka-singielka miała dziś trudny dzień i nie powinna być sama w czterech ścianach. Zdaniem Mileny mogłaby zostać gdziekolwiek, byle nie na tej kolacji. Jednak obiecała sobie w duchu, że będzie się zachowywać wobec Anity, nie Anety, chyba Anety, bardzo poprawnie. W końcu to był beznadziejny pomysł Wioli, żeby ją tu ściągnąć. Mogła przynajmniej uprzedzić, ale wiadomo, że Wiola jest zbyt „na luzie”. Będzie musiała powiedzieć jej coś na ten temat. Co to w ogóle za historia, że Patryka nie ma. Wysłała Wiolę i Anetę, nie, Anetę!, do salonu, a sama wróciła do kuchni kończyć tartaletki. Przechodząc koło łazienki,

zastukała energicznie w drzwi, żeby Artur się pośpieszył. Chwilę później słyszała tubalny głos męża, który rozentuzjasmował się na widok Wioli. Jak dziecko, ten jej Artur. Jak dziecko. Pokręciła głową. To prawda, że dawno się nie widzieli wszyscy. Rok? Tak, jakiś rok temu. Przyjaciele z akademika. I ich żony, albo partnerki. Od dłuższego czasu te same pary.

Oczywiście nie usłyszał dzwonka i znowu musiała oderwać się od doprawiania curry. Filip stał z butelką whiskey i naręczem kwiatów. Jednodniowy zarost przyjemnie odbił się na prawym policzku i czule podrapał drugi. Zapach fioletowej minevry rozpanoszył się i rozpuścił napięcie Mileny. Stał przed nią brat, przyjaciel i ratownik. Kiedyś usłyszała określenie *My person for life*. Filip był jej człowiekiem. Ona jego. Nigdy takie słowa głośno nie padły, bo banalność oświadczeń zapowiada upadek. A takiego tutaj nie będzie.

Oboje byli jedynakami. Ich matki próbowały nadrobić im brak rodzeństwa. Chodzili do tego samego przedszkola, szkoły, na te same popołudniowe zajęcia, do tego niezliczone kolonie i wyjazdy wakacyjne. Nie było rzeczy, której nie wiedziałyby o Filipie i nie było kawałka historii z jej życia, którego on by nie znał. Ich matkom się udało. Na moment na studiach ich drogi się rozeszły, kiedy w końcu pojawiły się oddzielne zajęcia, zagraniczne stypendia i randki. Ale to Filip pierwszy zjawiał się w szpitalu, kiedy dostała poważnego bólu brzucha. Napadały ją od czasu do czasu, ale ten był na tyle groźny, że koleżanki wezwały pogotowie. Szukał później lekarzy do konsultacji i towarzyszył na każdej wizycie. Na szczęście objawy, które tak tajemniczo się pojawiały, równie niespodziewanie zniknęły. Ta cała historia nie tylko przyniosła Milenie na powrót brata, ale pomogła też znaleźć męża. Artur był jednym z przyjaciół Filipa ze studiów.

Jola

Do Mileny i Artura dotarli minimalnie spóźnieni. Filip lubił być na czas i nawet dziesięć minut wywoływało w nim irytację. Nic jej nie powiedział, chociaż to Joli łzy były tego przyczyną. Jak tylko wyszedł spod prysznic, zaczęła tłumaczyć się z tego pączka. W efekcie musiała zmyć i na nowo położyć makijaż. Całą dro-

gę w samochodzie wykladał, dlaczego tak ważne jest trzymanie zbilansowanej diety. I dla niej i dla dziecka. Małeństwo już w brzuchu nabiera nawyków... i tak dalej. Kiwała głową i nawet obiecała, że nigdy więcej, ale gdzieś tam głęboko coś szeptało, że wizyty w cukierni nie skończą się szybko. Najważniejsze, że się odzywał. Ulżyło jej. Nie wie czemu, ale bała się, że kiedyś przestanie. Drzwi otworzyła im Milena. Od razu jej powiedziała, że wygląda ślicznie. I naprawdę tak było. Miała na sobie szmizjerkę w kolorze butelkowej zieleni, która pięknie odznaczała się od włosów: długich, grubych, ciemnobrązowych. Jola pomyślała o swoich cienkich piórkach, które odkąd była w ciąży, masowo zbierała z ubrań.

O powieści

Kolacja szczęśliwych par to współczesna powieść obyczajowa o kobietach.

Na kolacji spotykają się cztery pary. Aneta, sfrustrowana singielka, trafia tu przez przypadek. Oni przyjaźnią się od dawna, ona zna ich raptem od godziny. Nie licząc jednej osoby. Okazuje się, że na kolację przyszedł Krzysztof, z którym Aneta poznała się dwa lata wcześniej za sprawą aplikacji randkowej. To była krótka, ale bardzo namiętna znajomość. Nie zrobiłoby to na Anecie wrażenia, gdyby nie fakt, że tuż obok przy stole siedzi jego wieloletnia partnerka. Agnieszka jest na wskroś racjonalną osobą i z dużą dozą dystansu przygląda się wydarzeniom. Jest całkowicie oddana pracy naukowej, będącej dobrym pretekstem do ciągłego przekładania ślubu z Krzysztofem. Analityczna na wskroś nie potrafi dostrzec faktów z własnego życia. Milena, perfekcyjna pani domu, tuż przed posiłkiem dowiaduje się o planach zawodowych męża, które mogą zburzyć precyzyjnie poukładaną codzienność. Przybycie Anety na kolację również nie napawa jej entuzjazmem. Niespodziewanie dla siebie, Milena odkrywa, czego naprawdę pragnie. Wśród gości jest również ciężarna Jola, ślepo

zakochana w mężu Filipie. Stoi na straży rodzinnego szczęścia i porządku. Bardzo stara się nie dostrzec relacji, którą jej partner ma ze swoją siostrą cioteczną, Mileną.

Aneta, Milena, Jola i Agnieszka – każda z nich ma pomysł na szczęśliwe życie. Wydarzenia z wieczoru stają się pretekstem do zrewidowania własnych osądów. Bohaterki powieści mają możliwość zatrzymać się na chwilę i przyjrzeć się relacjom z najbliższymi, a także odpowiedzieć sobie na pytanie, czy utarte schematy, w których przywykły funkcjonować, rzeczywiście im służą. Najważniejsze pytanie, jakie muszą sobie postawić na koniec, to: czy mogą i chcą coś z tym zrobić.

Książka składa się z dwóch części. Pierwsza prezentuje wydarzenia z kolacji. Druga przedstawia historię każdej z kobiet po odkryciach dokonanych w czasie wspólnego posiłku.



O autorach

Łukasz Borowiecki

Z wykształcenia inżynier mechanik oraz filozof. Opublikował dwa opowiadania oraz kilka reportaży. Pisywał też scenariusze komiksowe. W swoich tekstach prozatorskich często nawiązuje do filozofii. Interesują go szczególnie zagadnienia z pogranicza metafizyki, nauki i życia codziennego.

Natalia Ciejka

Absolwentka Akademii Górniczo-Hutniczej oraz Politechniki Rzeszowskiej na kierunku inżynieria środowiska. Od pięciu lat zajmuje się pisaniem, zainteresowana powieściami gatunkowymi z pogranicza fantasy i science-fiction, dotychczas publikowała teksty na portalach pisarskich. Obecnie pracuje nad powieścią, której fragment został umieszczony w niniejszej antologii. Ma w planach napisanie trylogii osadzonej w wykreowanym przez nią świecie. Prywatnie właścicielka podejrzanie wyglądającego psa, podobno rasowego.

Krzysztof Gałaj

Ukończyła Szkołę Pisarzy Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kursy Kreatywnego Pisania poświęcony reportażowi (tekst rekomendowany przez KBF) oraz Kurs Pisania Powieści organizowany przez Kraków Miasto Literatury UNESCO. Pracuje jako arteterapeutka. Przed debiutem prozatorskim.

Krzysztof Gałaj

Urodził się w Łodzi, wychował w Rawie Mazowieckiej, a mieszka w Warszawie. Nie ukończył dziennikarstwa na Uniwersytecie Warszawskim, ale psychologię na Uniwersytecie SWPS już tak. Piśze prozę, rzadziej poezję. Jego ostatnie opowiadanie ukazało się w czasopiśmie „Wakat” – jednym z bohaterów *Strażników prawdy* jest autonomiczny traktor, który dostał szału. Ponadto publikował w „Fabulariach”, „Frazie” i „Helikopterze”. Jego wiersze znalazły się w cyklu Pocztywki Literackie Karola Maliszewskiego.

Obecnie pracuje nad sensacyjno-awanturniczą powieścią osadzoną we współczesnej Warszawie. Jej protagonista, Wojtek, poznaje iluzjonistę, który oferuje mu górę pieniędzy za pomoc w zniszczeniu kilku billboardów.

Autor posiada pięcioletnie doświadczenie w pracy w branży kreatywnej na stanowisku copywritera i konsultanta. Lubi sparingi na treningach boksu tajskiego, ale jeszcze bardziej lubi się włóczyć.

Kamila Jarońska

Absolwentka Uniwersytetu Wrocławskiego. Z wykształcenia archeolożka i językoznawczyni. Urodziła się w Opolu, wychowywała się w małej wiosce Krzywa Góra wśród mniejszości niemieckiej. Jej rodzina pochodzi z Żywca i z Kujaw. Obecnie pracuje jako nauczycielka i tłumaczka języka francuskiego. Po pracy zajmuje się aktywizmem społecznym i swoją działalnością.

Bogusława Łuka

Nie ma w niej nic niezwykłego, poza tym, że jej rozwichrzone krótkie włosy odsłaniają wysokie czoło. W poszukiwaniu nowych tematów do powieści jeździ na rowerze i stosuje swoisty test na spontaniczność: liczy, ile osób się do niej uśmiechnie w odpowiedzi na jej uśmiech. Prowadzi zwykłe życie od świtu do nocy, w które wplata pracę zawodową, zarządzanie domem i potomstwem oraz opiekę nad psem i kotem. O świcie biega z psem we mgle cieplej jak oddech, która otula szczyty gór i szuka magicznego urzędnika, które wydłuża dobę i pozwala znaleźć czas na pisanie historii o życiu.

Michał Łukowicz

Średniego wzrostu brunet z Katowic. Z wykształcenia prawnik i polonista, z zamiłowania reżyser filmowy i teatralny, z powołania nauczyciel. Z sobót na niedziele pisze sztuki teatralne i krótkie formy literackie – z nadzieją na dobry pomysł na powieść.

Suzanne Novaque

Absolwentka Wydziału Filozofii Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. W 2014 roku otrzymała wyróżnienie w Ogólnopolskim Konkursie Literackim „Śląski Shakespeare” oraz w XVIII

Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. Zdzisława Morawskiego. W 2019 roku ukazał się jej dramat *Mata Syrenka* w antologii Narodowego Starego Teatru im. Heleny Modrzejewskiej. Jej teksty to mieszanka realizmu magicznego i fantastyki. Pracuje nad powieścią o superbohaterkach walczących ze złem – w tej walce uczestniczą zarówno współczesne bohaterki, jak i istoty z mitologii słowiańskiej. Lubi stare budynki, meble, ubrania – wszystko, co wykluczone i wyparte.

Barbara Woźniak

Absolwentka Wydziału Filozoficznego UJ, pracuje na tej samej uczelni na Wydziale Nauk o Zdrowiu i Wydziale Lekarskim. Zawodowo zajmuje się przede wszystkim gerontologią, prowadzi badania i zajęcia dla studentów.

Od trzech lat interesuje się pisaniem prozy. W 2019 roku w ramach odskoczni od uniwersytetu, problematyki starości i zagadnień z nią związanych, a także by przed czterdziestką wrócić na chwilę do wczesnej młodości, postanowiła napisać powieść erotyczną o dwóch kobietach, które spotykają się po wielu latach, wchodzą w relację intymną, porzucają swoje poukładane życia i przy okazji wspominają schyłek XX wieku – ich okres liceum. Tymczasem napisała książkę o niemłodym już nauczycielu akademickim, wrażliwym samotniku, który opiekuje się ojcem chorującym na alzheimera i niekiedy powraca pamięcią do czasów, których autorka nie może pamiętać. Uważa to za fortunną zmianę planów literackich.

Sylwia Zielińska

Z wykształcenia psycholog. Lubi ludzi. Fascynuje ją emocjonalność współczesnego człowieka. Fanka dobrej powieści, bez względu na gatunek. Przedkłada emisję słuchowiska *Cztery przebudzenia Lucyny* w Radiu Radom nad przebyte szczyble kariery w korporacji. Tworzy prozę obyczajową, dramaty oraz słuchowiska radiowe.

Kurs Kreatywnego Pisania Krakowa Miasta Literatury UNESCO

W styczniu 2020 zakończyła się piąta edycja Kursu Kreatywnego Pisania Krakowa Miasta Literatury UNESCO – po dotychczasowych odsłonach poświęconych między innymi twórczemu pisaniu, kryminałom czy reportażowi, przyszedł czas na warsztaty powieściowe.

Podczas 10 weekendów od września 2019 roku do stycznia 2020 roku dwanaścioro początkujących pisarzy i pisarek uczyło się warsztatu pod okiem kilkunastu prowadzących – pisarzy, redaktorów, specjalistów z branży wydawniczej, marketingowej i psychologii twórczości. W ramach programu obejmującego 90 godzin wykładów i warsztatów młodzi twórcy rozwinęli swoje umiejętności pod okiem doświadczonych kolegów i koleżanek po fachu i zyskali wiedzę potrzebną do zaistnienia na niełatwym rynku wydawniczym.

W programie spotkań znalazły się intensywne treningi warsztatowe prowadzone zarówno przez pisarzy, jak i redaktorów. Krzysztof Zajas poprowadził spotkanie dotyczące budowania atmosfery napięcia w powieści, a Anna Brzezińska skupiła się na przedstawianiu świata historycznego i równowadze między fikcją a źródłami historycznymi. Jacek Dehnel i Piotr Tarczyński opowiedzieli o konstrukcji fabuły oraz intrygi, a prof. Bohdan de Barbaro zdradził, jak pisać zmysłowo o miłości. Grupę od pierwszego pomysłu do ostatniego zdania powieści prowadził Filip Modrzejewski, redaktor książek m.in. Mariusza Czubaja czy Zyty Rudzkiej.

Kurs, którego autorkami są Karolina Macios i Magdalena Zielińska – redaktorki z wieloletnim doświadczeniem wydawniczym, jest elementem Szkoły Pisania KMLU, będącego częścią systemu wsparcia dla powstających debiutów literackich. Należy do niego także przyznawana corocznie Nagroda Conrada, mająca wyróżnić najlepszych debiutantów i ułatwić im drogę dalszej kariery. Organizatorem kursu jest KBF, operator programu Kraków Miasto Literatury UNESCO.

SZKOŁA
PISANIA
KMLU



Copyright © for texts by Authors, 2020
Copyright © for this edition by KBF, 2020

Wydawca i organizator:
KBF, ul. Wygrana 2, 30-311 Kraków

Dyrektor KBF:
Izabela Błaszczuk

Koordynatorka Szkoły pisania:
Oliwia Fryc

Program Kursu Pisania Powieści:
Karolina Macios, Magdalena Zielińska

Redakcja:
Filip Modrzejewski

Współpraca redakcyjna:
Katarzyna Kojzar

Korekta:
Anna Mazur, Izabela Osiadły

Kreacja graficzna:
Nina Gregier Proste Kreski

Skład i łamanie:
Polkadot Studio Graficzne

Koordinacja graficzna:
Weronika Kierzkowska

pisz.miastoliteratury.pl / pisz@miastoliteratury.pl
Kontakt z autorami poprzez pisz@miastoliteratury.pl.

